POWSTAJĄ PATROLE OBYWATELSKIE

Polacy na własną rękę zaczynają bronić się przed multi-kulti

Operacja „Sobowtór" – Putin głosuje na Trumpa czy jednak na Bidena?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 40/598 30 WRZEŚNIA–6 PAŹDZIERNIKA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NOWA KSIĄŻKA PAWŁA LISICKIEGO: „MIT STARSZYCH BRACI W WIERZE"

Osobliwa historia Giacoma Casanovy

Jak nas rujnuje Unia Europejska

MIAŻDŻĄCY RAPORT TOMASZA CUKIERNIKA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 46 500 egzemplarzy

eprasa.pl 15389caf8e

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. BOGUSŁAW KOWALSKI W ROZMOWIE Z KATARZYNĄ SZKARPETOWSKĄ:

„CHŁOPAK Z PRAGI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~514~~ ZŁ

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 281ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 15389caf8e

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Amok i dogmat

Nie myślałem, że kiedykolwiek to zrobię, ale nie ma wyjścia. Otóż w sporze między prezydentem Andrzejem Dudą a wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, co się tyczy warunków przystąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej, muszę napisać, że całkowitą rację ma ten drugi. Wszystko wskazuje na to, że polski prezydent nadal znajduje się w stanie ciężkiego amoku i najzwyczajniej w świecie nie jest w stanie, z bliżej nieznanych powodów, reprezentować polskiego interesu narodowego w relacjach z Ukrainą.

Nie wiem, jakie są tego przyczyny. Nie wiem, czy chodzi o względy psychologiczne, o to, że występowanie w roli światowego obrońcy interesów Kijowa polskiemu prezydentowi tak imponuje, czy może o tajemniczą grę polityczną, którą prezydent prowadzi w sobie tylko znanym celu. Być może, jak wielu innych polskich polityków, tak i Andrzej Duda uważa, że wystarczy, by Warszawa prowadziła politykę przeciw Rosji. Dość, że któryś raz z rzędu polska głowa państwa porzuca troskę o polską rację stanu i wybiera rolę rzecznika i adwokata Ukrainy.

A oto słowa polskiego prezydenta: „Jeżeli ktoś mówi […], że będzie blokował dostęp Ukrainy do Unii Europejskiej, to tym samym wpisuje się w politykę Władimira Putina". Andrzej Duda powiedział to w wywiadzie dla telewizji Polsat News. Była to odpowiedź na słowa Władysława Kosiniaka-Kamysza, który zwrócił uwagę, że zanim Kijów wejdzie w struktury UE, musi rozwiązać kwestię odpowiedzialności za rzeź wołyńską.

Cóż, właściwie stanowisko prezydenta nie powinno zaskakiwać. Jest on tym polskim politykiem, który najpełniej i najbardziej bezkompromisowo przyjął zasadę, że Polska ma być sługą Ukrainy. Można tu przytaczać wiele jego słów i gestów, które to potwierdzają, choć zapewne i tak nic nie jest w stanie dorównać niesławnej wypowiedzi na temat śp. ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, kapelana rodzin wołyńskich. „Wolałbym, żeby ks. Isakowicz-Zaleski nie zajmował się polityką, tylko tym, czym powinien zajmować się ksiądz" – stwierdził prezydent Andrzej Duda, odnosząc się do dyskusji na temat uczczenia ofiar zbrodni wołyńskiej przed rokiem. Mówiąc o 80. rocznicy zbrodni wołyńskiej, polski prezydent dodał: „My prowadzimy spokojną politykę, a nie politykę biegania z widłami; politykę spokojnego szukania porozumienia w sprawach trudnych historycznie, które liczą sobie wiele dziesięcioleci, są bardzo skomplikowane, niezwykle bolesne dla istotnej grupy naszych rodaków". W ten sposób agresja wobec księdza miała przykryć nieudolność i brak jakichkolwiek sukcesów w rozmowach z Kijowem, jeśli chodzi o ekshumacje.

Teraz, ponad rok później, prezydent poszedł jeszcze dalej: okazuje się, że domaganie się od Ukrainy zgody na ekshumacje zwłok polskich ofiar to… występowanie w roli zwolennika Putina. Domagasz się ekshumacji polskich ofiar i sprzeciwiasz się kultowi banderowskich zbrodniarzy – głosisz propagandę Moskwy. To gorsze niż słynna pomroczność jasna prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, bo wszystko wskazuje na to, że prezydent Duda mówi to, co mówi, na trzeźwo.

Co ciekawe zresztą, i co najlepiej świadczy o poziomie refleksji geostrategicznej pana prezydenta, stwierdził on, że powodem ataku Rosji na Ukrainę było zatrzymanie jej integracji z UE. To dość osobliwe stanowisko, biorąc pod uwagę powszechne przekonanie, że celem ataku Moskwy było uniemożliwienie przystąpienia Ukrainy do NATO. Najwyraźniej dla polskiego prezydenta jedno i drugie są tożsame.

Ale w tym stanowisku prezydenta szokuje nie tylko lekceważenie polskich ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Są one, jeśli wziąć pod uwagę ogół wypowiedzi prezydenta, czymś w rodzaju balastu, niepotrzebnym zakłóceniem w inaczej doskonałych stosunkach z Ukrainą. Równie dziwaczny jest całkowity brak refleksji nad pytaniem o to, czy ewentualne przystąpienie Ukrainy do UE, niezależnie od kwestii pamięci o ofiarach Wołynia, leży w ogóle w polskim interesie.

Przynależność Ukrainy do Unii jest dla prezydenta dogmatem. Nie pyta o konsekwencje dla polskiej gospodarki, dla polskiego rolnictwa, polskiego transportu i przemysłu. Nie zastanawia się, jak państwo, którego granice są co najmniej kwestionowane i które toczy wojnę, miałoby stać się częścią Unii. Nie dostrzega też, a przynajmniej robi wrażenie, jakby tego nie widział, stanowiska Berlina i Paryża, które to wiążą zgodę na ewentualne rozszerzenie Unii o Ukrainę ze spełnieniem warunku, którym byłoby zniesienie zasady weta, czyli de facto z rezygnacją z suwerenności narodowej Polski. To wszystko nie zaprząta uwagi prezydenta.

Z niepokojem myślę o tym, jakie jeszcze deklaracje w imieniu Polski wobec Ukrainy może złożyć Andrzej Duda. Smutne, że prezydentura, która miała być symbolem odzyskiwania przez Polskę podmiotowości i suwerenności, kończy się w oparach absurdu. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

TEMAT TYGODNIA

12 TOMASZ CUKIERNIK
TAK NAS RUJNUJE UE
Budujemy sobie gorszy świat

KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„DRUGIEGO TUSKA NIE MAMY..."
Walka ponad wszystko

21 PIOTR SEMKA
PREZYDENT W OBLĘŻENIU

24 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
WYJŚĆ POZA ZAPRZAŃSTWO I GŁUPOTĘ

26 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
MUZEUM UŚMIECHNIĘTEJ POLSKI

28 KACPER KITA
ŚREM, CZYLI MULTI-KULTI JUŻ TU JEST

32 RADOSŁAW WOJTAS
FALA POMOCY

34 ŁUKASZ WARZECHA
RATOWAĆ PSA CZY CZŁOWIEKA?

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
KARY DLA BANDYTÓW DROGOWYCH

KULTURA

38 ROZMOWA Z MARKIEM TELEREM
EKRAN Z WDZIĘKIEM
Amantki II Rzeczypospolitej

42 PIOTR GOCIEK
CZAS POGARDY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ LISICKI
KTO WYMYŚLIŁ STARSZYCH BRACI W WIERZE?
Książka „Mit starszych braci w wierze"

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PRZEMILCZANA REWOLUCJA

56 ROBERT BOGDAŃSKI
NA KOGO GŁOSUJE PUTIN?

HISTORIA

58 ŁUKASZ CZARNECKI
STAROŚĆ CASANOVY
Jak skończył awanturnik

ŚWIAT

62 WITOLD REPETOWICZ
OPERACJA „PAGER"
Pokazowy sukces bez strategicznego znaczenia

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
„LUDZKA TWARZ" ROSJAN NA WOJNIE

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
PLAN PRZYSPIESZONEJ AGONII
Co nam szykuje Mario Draghi

72 ROZMOWA Z DANIELEM OBAJTKIEM
PAŃSTWO POLSKIE WYKORZYSTAŁO ZBÓJECKIE PRAWO

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 15389caf8e

TYGODNIK POLSKI
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Beata Zawrzel/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA
FIRMA RODZINNA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Oszustwo klimatyczne", rozmowa z dr. hab. inż. Piotrem Kowalczakiem, „DRz" nr 38/2024

Szanowna Redakcjo,
w nr. 38/596 „Do Rzeczy" ukazał się wywiad z dr. hab. inż. Piotrem Kowalczakiem dotyczący aktualnie nam panującej polityki klimatycznej i systemu wymuszania pieniędzy od rządów – czyli de facto od nas, obywateli – oraz od gospodarki/przemysłu przez żerujące na niej/nim podmioty. W jednej z wypowiedzi dr. Kowalczaka przewinął się temat tzw. CCS, który, jak sądzę, z uwagi powiązania olbrzymich kosztów z tragikomicznym działaniem wymaga większej uwagi. Z terminem CCS (Sekwestracja/wychwytywanie dwutlenku węgla, ang. CO_2 Capture and Storage, CCS) po raz pierwszy zetknąłem się jakieś 14 lat temu, podczas pracy w polskiej spółce córce Norweskiego Instytutu Badania Powietrza (NILU).

Już wówczas Norwegia była liderem w tej technologii, polegającej – mówiąc skrótowo – na wychwytywaniu CO_2 podczas procesów produkcyjnych (np. cementu lub spalania węgla bądź gazu w elektrowniach), gromadzeniu go w zbiornikach, a następnie transportowaniu na wybrzeże, skąd rurociągami bądź zbiornikowcami transportuje się ten gaz i zatłacza do podwodnych skalnych przestrzeni. Koszty są olbrzymie, skutki dla klimatu żadne. A to, jak ten gaz będzie zachowywał się w górotworach, jest niewiadome. Norwegia jest tak bogata, że stać ją na podobne bzdety. Czy jednak wiedzą państwo, że Orlen w 2023 r. zawarł umowę z jedną z norweskich firm na przekazywanie jej do tłoczenia CO_2 wychwyconego w Polsce? Czy wszystkim wiadomo, że w sierpniu zeszłego roku Sejm przegłosował nowelizację ustawy Prawo geologiczne i górnicze, gdzie wprowadzono pojęcie sekwestracji prywatnych działek pod składowanie pod nimi CO_2 bez możliwości odwołania się? Głupota czegoś takiego jak CCS sięga zenitu, ale być może będziemy zmuszeni płacić za to wszyscy.

Z poważaniem
Leszek Sebesta

Szanowna Redakcjo,

w nr. 38/2024 Piotr Kowalczak pięknie opisał manipulowanie opinią publiczną w artykule „Oszustwo klimatyczne" bez wspominania o drugim źródle wahań klimatu, a mianowicie cieple geotermalnym dostarczanym przez Ziemię całkowicie poza ludzką kontrolą. Mamy zwiększoną aktywność wulkanów i kopalnie, w których jest zbyt ciepło, aby normalnie pracować. Rejestr temperatury skał leżących kilkaset metrów pod powierzchnią ziemi w ciągu co najmniej kilkunastu ostatnich lat mógłby wykazać zmiany całkiem niezależne od atmosfery i ludzi. To mogłoby pomóc nam w uwolnieniu się od antywęglowego terroru.

Z poważaniem
Bogumił Fic

eprasa.pl 15389caf8e

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Był Kostro, nie ma Kostry

Nie pomogły apele wybitnych naukowców, w tym postaci z obozu obecnej koalicji. Apele Andrzeja Friszkego, Dariusza Stoli, Tomasza Nałęcza, Aleksandra Halla czy Juliusza Brauna nie przekonały Ministerstwa Kultury. Dyrektor Muzeum Historii Polski został odwołany. Na jego miejsce Ministerstwo Kultury powołało Marcina Napiórkowskiego związanego ze środowiskiem lewicowej „Krytyki Politycznej". Odwołanie Kostry pokazuje, jak bardzo obecna władza lekceważy nawet ważne postacie, które uważano za zaplecze intelektualne obecnej koalicji. Nie pomogło nawet wstawiennictwo nowej rady muzeum powołanej już po 13 grudnia 2023 r. przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Michał Płociński, publicysta „Rzeczpospolitej", zapytał na Twitterze: „Czy na pewno tak miała wyglądać ta demokratyczna zmiana?".

Chętnie odpowiem: tak. Tak miała wyglądać i tak ją Donald Tusk zaplanował. Tyle że jest to zmiana, która niewiele ma wspólnego z demokracją, bo zakłada trwałe wyeliminowanie przegranego rywala z jakiegokolwiek wpływu na życie publiczne, a wraz z nim wszystkie osoby, które kojarzone są z prawicą. Czemu Robert Kostro miałby nie podlegać tej zasadzie? Tym bardziej że dymisja Kostry to element znacznie bardziej długoterminowego planu. Tusk chce wchłonięcia przez Platformę lewicy politycznej poprzez zagospodarowanie jej intelektualnego i medialnego zaplecza. To dlatego Barbara Nowacka otrzymała władzę nad resortem edukacji, a związany z „Krytyką Polityczną" Adam Leszczyński otrzymał na tacy dawny Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej.

Teraz Tusk łaskawie wręcza Marcinowi Napiórkowskiemu władanie nad Muzeum Historii Polski. Umiarkowani zwolennicy koalicji 13 grudnia, tacy jak Aleksander Hall czy Kazimierz Ujazdowski, nie chcą zauważyć, że jest to element szerszego zwrotu Tuska ku lewicy, a nie tylko pojedyncza decyzja personalna. A Tusk pragnie, by Platforma była równie silna jak partia demokratów w USA, gdzie wsparcie dla Kamali Harris ze strony większości gwiazd mediów, celebrytów intelektualnych i koncernów Big Tech daje temu ugrupowaniu uprzywilejowaną pozycję w stosunku do obozu republikanów.

Nieprzypadkowo ekipa Tuska sięgnęła po twórcę scenariusza musicalu o przełomie 1989 r. W wizji Napiórkowskiego to wysłodzona, popkulturowa opowieść o triumfie Wałęsy, Kuronia i Mazowieckiego. Nie ma w niej pytań o okoliczności Okrągłego Stołu czy późniejsze koszty reform Balcerowicza. To wysłodzony mit, na który od lat czekał obóz III RP. Zabawne tylko, że stworzył go autor, który zwalcza w swych książkach prawicową mitologię. Ale nie od dziś wiadomo, że w obozie postępu odbrązawiać się chce tylko to, co ważne dla przeciwników. Dla swoich ma się zawsze wspaniałe hagiografie i mitologie.

A wujek Donald już dopilnuje, by ta wizja nie miała żadnej poważnej konkurencji. ©℗

O NOWYM DYREKTORZE MHP
CZYTAJ NA STRONIE 26

FOT. TALGO

SZYBKIE POCIĄGI Z POLSKI

Podczas targów InnoTrans w Berlinie polska Pesa oraz hiszpańska firma Talgo ogłosiły decyzję o współpracy przy rozwoju sieci kolei dużych i bardzo dużych prędkości nad Wisłą. To oznacza, że firmy m.in. wspólnie przygotują ofertę na zamówienia taboru dużych prędkości, które mają być ogłoszone w przyszłym roku. Budowa szybkiej kolei, która ma łączyć największe miasta w Polsce, będzie realizowana w ramach projektu CPK. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wszyscy myśleli, że tematem tygodnia będzie bohaterstwo walczącej z powodzią Platformy, ale okazało się, że były nim bobry. Zły Donald z Sopotu zapowiedział bowiem walkę z bobrami jako winnymi powodzi. Ze wszystkich światowych reakcji najbardziej spodobał się nam fragment depeszy Politico, w którym wypowiedź Tuska streszczono słowami: „Talking nonsense". Lepiej byśmy tego nie ujęli, a przecież wiecie, że chcieliśmy.

Tak naprawdę to nawet już nie chce nam się szydzić, bo historia powtarza się jako farsa. Pamiętamy bowiem, jak Platforma ogłosiła w maju 2010 r., że winnym ówczesnej powodzi są bobry. Cóż, PiS wziął władzę dopiero w 2015 r., więc pytamy głośno: Co zrobiliście przez tamtych pięć lat, żeby rozwiązać problem bobrów? Przecież wasz prezydent był myśliwym!

Niepokoi nas to, że w sprawie bobrów nie wszystko jest jasne. Na przykład kilka lat temu ówczesny minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski wzywał, żeby wpisać bobra na listę zwierząt jadalnych, gdyż jego ogon to afrodyzjak. Istotnie, to ważny argument za odstrzałem. Lepszy niż rzekome sprawstwo pomocnicze w powodzi. Co za sojusz! Jeden chce strzelać, drugi – pożerać!

Nim jeszcze wybuchła afera bobrowa, Ardanowski zarejestrował partię Wolność i Dobrobyt, co nas martwi, gdyż kiepsko się to skanduje. Spróbujecie sami: „WiD, WiD, WiD!". Trzeba więc ukuć skrót. Proponujemy WoDo. A jako że patronem duchowym partii jest Ronald Reagan – to może nawet WoDoRo. To skanduje się lepiej: „Wo! Do! Ro!".

Zamykając sprawę bobrów: najtęższe umysły zastanawiają się, jak usprawiedliwić antybobrowe filipiki Złego Donalda z Sopotu. My, jak zwykle, podajemy pomocną dłoń. Oto nasze hasło. Gratis. „Bić bobry! Bo bobry to Ziobry!".

Tymczasem w PiS. Dwudziestu posłów, jak słyszeliśmy, szykowało się całkiem serio do wyjścia z partii. Ale nie do Ardanowskiego, tylko do nowej inicjatywy. A ową nową inicjatywą, przekonywali, której jeszcze nie ma, powinna być partia byłego premiera Mateusza. Mateusz jednak nie wyraził zainteresowania. Mądrzy ludzie mówią, że tektoniczne ruchy zaczną się po wyborach prezydenckich. Oczywiście chodzi o przegrane wybory prezydenckie.

Tymczasem w Sejmie. Niejaki Tadeusz Samborski z PSL wspólnie z innym kolegą zagłosowali ramię w ramię z PiS przeciw kandydaturze Jerzego Marka Nowakowskiego na ambasadora w Armenii. A konkretnie na kierownika placówki, bo Nowakowski ma zerowe szanse na podpis prezydenta, więc może być co najwyżej chargé d'affair. Samborskiego poznaliśmy, kiedy w latach 90. był członkiem komisji ścigającej nadużycia w ambasadach. Ścigano wówczas głównie solidaruchów, którzy zasilili dyplomację po 1989 r. To wówczas Samborski znielubił Nowakowskiego, który mówił na niego „postkomuch". Ot i kulisy dzisiejszej niechęci.

Oczywiście w polityce wszystko ma drugie dno. Wiewiórki sugerują więc, że chodzić może o coś więcej: głosowanie w sprawie ambasadorów to próba badania spójności koalicji i wybicia się na niepodległość PSL. Ciekawa, tym bardziej że na komisji PiS, PSL i Konfa mieli razem tyle głosów co Peło.

Najbardziej przykry jest jednak dla nas sposób rozwiązania problemu Nowakowskiego przez przewodniczącego Pawła Kowala. Przerwał on po prostu na jedną noc posiedzenie bez ogłaszania wyniku przegranego głosowania. W tym czasie dokooptował do komisji jednego członka Platformy i głosowanie powtórzył. Tym razem Nowakowski przeszedł. A dlaczego jest nam przykro? Bo znamy Kowala od lat, czytaliśmy jego książki, więc wiemy, że niewątpliwie można go określić mianem intelektualisty. Powstrzymuje nas od tego zastosowanie bondaryzacji prawa, jak już tam oni je rozumieją.

Tymczasem otrzymaliśmy kolejny dowód na to, że Platforma Obywatelska to partia, która zabiera biednym, a daje bogatym. Jest nim historia Marcina Kierwińskiego. Wegetował chłop na chudym wikcie ministerialnym, ledwo kasy starczało na wykarmienie gromadki dzieci. Jego los się odmienił, gdy został posłem do europarlamentu, gdzie – jak wiadomo – waluta, dobrobyt, złota klatka. Niestety, za sprawą Złego Donalda z Sopotu musiał wrócić do Polski, żeby za skromną pensyjkę walczyć z powodzią. A mandat ubogiego Kierwińskiego obejmie bogata Hanna Gronkiewicz-Waltz. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Ani tym bardziej w Platformie.

Obiecaliśmy państwu relacjonować, jak to będzie z rezydencją państwa Schnepfów w Rzymie. Otóż w gmachu przy Szucha znaleziono rozwiązanie pozwalające obejść zasadę, że rezydencja przysługuje tylko ambasadorowi, ale nie kierownikowi placówki. Znaleziono przepis, który stanowi, że w wyjątkowych przypadkach można kierownikowi dać rezydencję. Na razie jednak Schnepf mieszka w hotelu, bo jeszcze nie znaleziono nic godnego państwa Schnepfów.

Kronika towarzyska. Jak opowiadają wiewiórki, słynny polski astronauta Sławosz Uznański ma pojąć za żonę nie mniej słynną posłankę KO Aleksandrę Karolinę Wiśniewską. Czy też ona ma go pojąć za męża, bo nie wiemy, która forma jest obecnie poprawna. Zatem zapraszamy na ślub. W przyszłym roku jakoś. Zapraszamy, bo nas przecież nie zaproszą. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Adwokatów dwóch

Jest takie prawnicze powiedzonko: Czym się różni dobry adwokat od bardzo dobrego adwokata? Dobry adwokat zna kodeksy, artykuły i paragrafy, a bardzo dobry zna sędziów.

Ze względów procesowych zaznaczam z całą mocą, że to powiedzonko nie ma nic wspólnego z zasadniczym tematem mojego komentarza. Bo cóż mogłoby mieć do tego, że obrońcą poszukiwanego (pod nader marnym pretekstem, jeśli chce ktoś znać moje zdanie) przez bodnarowców Pawła Szopy okazał się znany z antypisowskich protestów Jacek Dubois? Że Michała Dworczyka bronić ma w sprawie o wyciek listów z jego skrzynki e-mailowej Ryszard Kalisz, ongiś prawnik prezydenta Kwaśniewskiego, a ostatnio „piwotalny" sędzia PKW, którego głos zadecydował o odebraniu PiS pieniędzy za kampanię wyborczą? Oczywiście, że nic a nic. Sławni adwokaci, dając się zatrudnić prominentnym „PiS-owcom", pokazali po prostu, że potrafią oddzielić swoje powszechnie znane afiliacje plemienne od pracy.

Ale patrząc od strony ich mocodawców… Wiadomo, oczywiście, że o wyborze tych właśnie pełnomocników zadecydowały wyłącznie kryteria merytoryczne, niemniej mógłby ktoś podejrzewać, że dają oni nękanym przez obecną władzę nadzieję, iż ich obrońca prędzej się z nękającymi dogada.

Z drugiej strony, Dubois broni Szopy w parze ze znanym z działalności w Ordo Iuris mecenasem Bartoszem Lewandowskim. Nie wiem, czy podobnie nie dobrał drugiego obrońcy Dworczyk. Powinien. Bo czyż rzecz nie jest oczywista?

Każdy, kto ma z polskimi sądami do czynienia – a ja trochę doświadczenia mam – wie, że jeśli sprawa ma cokolwiek wspólnego z polityką, to wyrok de facto zapada w chwili „wylosowania" do sprawy sędziego. Wchodzisz na salę, wrzucasz w Google nazwisko Wysokiego Sądu – i już wiesz. Czyż nie jest oczywiste, że na wszelki wypadek dobrze jest mieć dwóch obrońców? Jednego na wypadek sędziego z Iustitii, drugiego na wypadek „neosędziego"? A i dla adwokatów to też dobra strategia, bo w końcu nigdy nie wiadomo, czyje ostatecznie będzie na wierzchu. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Hymn o miłości

Ograniczona dystrybucja niepoprawnych politycznie filmów to już tradycja w naszych kinach. Oczywiście tradycja chwalebna dla nonkonformistycznych dystrybutorów. Tak było z „Charette'em" czy „Cristeros", tak teraz jest z „Reaganem".

Większość recenzentów twierdzi, że to film „naiwny". Tyle że w tym wypadku „naiwność" ta gwarantuje doskonałą spójność formy i przedmiotu. Podobnie protekcjonalnie bowiem komentowano pół wieku temu antykomunizm Ronalda Reagana i jego wiarę, że można wygrać zimną wojnę. A filmy typu Franka Capry, opowieści o idących pod prąd przywódcach realizujących wbrew wszelkim przeszkodom dobro wspólne, to kanon kultury amerykańskiej – i czynnik jej siły. Gdy zrobiono badania, ilu Amerykanów podziela wartości konstytucji amerykańskiej, okazało się, że trochę ponad dwie trzecie. Ale to dostatecznie wiele, by ustanowić niepodważalny narodowy consensus. Amerykanie podziwiają swoje instytucje i chcą mieć przywódców, których mogliby podziwiać. Kultura to nastawienie odtwarza, w obu tego słowa znaczeniach. Oczywiście jest nurt krytyczny, filmy w rodzaju „JFK" Olivera Stone'a, ale heroiczna epika zawsze w amerykańskiej kulturze powraca.

Wróćmy więc do „Reagana". Osobną wartością filmu jest wspaniała wiązanka przebojów, od Franca Sinatry do Genesis. Sama scena, w której – z „Take Me Home, Country Roads" w tle – słyszymy (oczywiście najzupełniej historyczny) testament prezydenta, jest warta, by ten film obejrzeć parę razy.

„Gdy Pan powoła mnie do swego domu, kiedykolwiek ta chwila przyjdzie, odejdę przepełniony miłością do naszego kraju, zachowując na zawsze wiarę w jego przyszłość. Wchodzę na drogę, która prowadzi do zmierzchu mego życia. Wiem jednak, że dla Ameryki zawsze wstanie promienna jutrzenka. Dzięki, przyjaciele, niech Bóg błogosławi Was wszystkich".

O taką miłość trzeba się modlić.

O takich przywódców należy się modlić. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O szaleństwie

O Ilarii Salis już wam opowiadałem. Jest nauczycielką, a przede wszystkim aktywistką antyfaszystowską. Pojechała do Budapesztu lać się z neonazistami na ich dorocznej demonstracji. Trafiła do aresztu. Oskarżono ją o udział w ciężkim pobiciu. Groziło jej wieloletnie więzienie. Wyszła na wolność, bo włoska partia oszołomów – Sojusz Zieloni-Lewica (AVS) – w wyborach do PE umieściła ją na pierwszym miejscu swoich list. Została wybrana i dzięki temu jest bezkarna. Wyszło na jaw, że Salis przez wiele lat w Mediolanie okupowała mieszkania socjalne. Jest winna miastu za czynsz 90 tys. euro. Była kilka razy karana za stawianie oporu policji. Zapewne zgodnie z logiką Komisji Europejskiej wybrano ją do komisji... spraw obywatelskich, sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, co zakrawa na ponury żart eurolewactwa.

Działalność europarlamentarną Salis rozpoczęła od wielu zdumiewających propozycji. W związku z tym, że włoskie więzienia są przepełnione i panują w nich fatalne warunki, kobieta zapowiada walkę o likwidację wszystkich zakładów karnych, szczególnie tych dla nieletnich. Tym bardziej że włoskie więzienia i wymiar sprawiedliwości to siedlisko rasizmu. Dlaczego? Bo obcokrajowcy, 9 proc. populacji, to aż jedna trzecia wszystkich osadzonych. Salis tłumaczy, że przestępczości przybyszów winien jest rząd, bo nie potrafił ich zintegrować i zapewnić im godziwej pracy. Nic więc dziwnego, że w tej arcytrudnej sytuacji popełniają przestępstwa: kradzieże, włamania, napady i handel narkotykami. Państwo włoskie nie dało im wyboru – powiada niewiasta.

Poza tym Salis domaga się, by znieść wszelkie kary za okupowanie nieruchomości, bo każdy człowiek powinien mieć prawo do mieszkania i na tej podstawie również do zajmowania cudzej własności.

W lecie Salis opublikowała swoje zdjęcie z ojcem na wakacjach w motorówce w malowniczej zatoczce. We włoskim Internecie, a potem w wielu gazetach pojawiło się teraz ponownie z komentarzem: „A tę motorówkę to wynajęliście czy okupujecie?”.

©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 15389caf8e

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

SŁOWOTOK STOP

Czy w czasie powodzi można się śmiać? To pytanie rozbudziło w ostatnim czasie ogromne emocje u rodzimych celebrytów. Bo niby przykro i ludzie tracą domy... Ale, z drugiej strony, co ma Warszawa do Kłodzka? Na temat ten postanowiła wypowiedzieć się Monika Goździalska, prezenterka kanału Zero. W prześmiewczym wideo opowiedziała, czego rzekomo nie można robić ze względu na trudną sytuację w kraju. – Ponieważ trwa powódź... nie masz prawa się uśmiechać; nie masz prawa reklamować swoich biznesów; nie masz prawa wywiązywać się ze swoich zobowiązań; wszystko, co zrobisz z uśmiechem na twarzy, jest niewskazane; powinieneś nie zajmować się swoimi biznesami, tylko pomocą; nie masz prawa zajmować się swoim życiem, tylko życiem ludzi, którzy teraz tego potrzebują; nie masz prawa zajmować się swoim życiem, tylko zajmować tym, co tyczy się mieszkańców zalewowych terenów; ludzie zastanawiają się nad tym, co mogą, a czego nie mogą; wszyscy dookoła są rozliczani, w jaki sposób pomagają – wyliczała z widoczną kpiną. – Jeśli nie wrzucisz nic na Instagram, to znaczy, że nie pomagasz. Powinieneś rzucić swoje życie i jechać pomagać ludziom. Skoro masz więcej – powinieneś oddać wszystkie swoje oszczędności na pomoc powodzianom – mówiła Goździalska, przedrzeźniając tych, z którymi się nie zgadza. – Pomagać trzeba, ale żyć też trzeba. Nie rozliczaj nikogo, jaką pomoc ofiaruje powodzianom. Żyj i pomagaj na tyle, na ile możesz – podsumowała modelka. Celebrytce przyklasnął fit influencer „Qczaj". „No właśnie... niestety, z jednej skrajności w drugą, a co zrobisz, to i tak nie dogodzisz wszystkim. Ja żyję, uśmiecham się, ale też jest mi tak po ludzku przykro. Pełna akceptacja" – napisał. W tej rubryce zdarza się to rzadko, ale trzeba przyznać rację Karolinie Korwin-Piotrowskiej, która wywody Moniki Goździalskiej skomentowała tak: „Ponieważ trwa powódź, można się zamknąć – tylko tyle i aż tyle". Generalnie jest tak – myśleć można wszystko, ale nie wszystko trzeba mówić.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

SŁABA WIZJA

Teraz o sprawach znacznie lżejszego kalibru. Na antenę Polsatu wraca po przerwie muzyczne talent show „Must Be the Music". Oprócz prowadzących zmienił się też skład jury. W 12. edycji uczestników będą oceniać Sebastian Karpiel-Bułecka, Dawid Kwiatkowski i Natalia Szroeder. Elżbieta Zapendowska, która była w jury wszystkich 11 edycji, nie jest zadowolona. W rozmowie z „Faktem" wskazała, że nowe jury jest słabe. – Głupio mi się wypowiadać, bo to będzie porównywanie do nas, starego jury, ale powiem krótko, to słabe jury – stwierdziła wprost. – Jedynie Karpiel-Bułecka mi tu pasuje. To świetny kompozytor, wokalista, instrumentalista. On jest trafiony. Co do reszty... Mam wątpliwości, ale zobaczymy w praniu – ocenia specjalistka do spraw emisji głosu. – Słabiutko to widzę, chyba nie chciało im się szukać. Przecież Dawid i Natalia sami walczą o swoich słuchaczy i wciąż się uczą, trudno więc powiedzieć, że będą kreować nowe gwiazdy – dodała Zapendowska. News z kategorii „sympatycznie".

JEST AFERA

Dosłownie. Jest afera. Wybuchła po emisji drugiego odcinka „Tańca z gwiazdami". Zgodnie z przypuszczeniami nie zabrakło emocji. Z programem, decyzją widzów (jurorzy przedstawili pozytywne noty), pożegnali się Olga Bończyk i jej taneczny partner Marcin Zaprawa. W sieci rozgorzała emocjonalna dyskusja. Internauci się wściekli. „Absolutnie się z tym nie zgadzam. Niestety – przez to, że na werdykt niebagatelny wpływ mają widzowie, jest festiwal popularności. Dla mnie dziś powinien był odpaść Piotr Świerczewski; tańczyli naprawdę pięknie! Szkoda, że odpadli. Myślę, że tutaj była to również kwestia popularności. Powinno głosować jury, a nie widzowie. Wiadomo, że wygra ten, kto jest popularny i ma dużo fanów, jak np. taka Julka [Żugaj – przyp. red.]. Bardzo niesprawiedliwy werdykt wobec Olgi Bończyk. Pani taniec to było coś pięknego. Szkoda. Wcale nie byli dzisiaj najsłabsi. Nieporozumienie! Najgorzej dziś tańczył jednoznacznie Michał, potem ewentualnie Piotr, ale na pewno nie Olga! Przepaść między nimi!" – czytamy. Pojawiają się podejrzenia, że wszystko jest ustawiane, a głosowanie widzów to ściema. „A to nie juniorzy mieli ostatecznie rozstrzygać, kto odpadnie? Tak było mówione w pierwszym odcinku, więc coś tu nie gra. Przestańcie reżyserować ten program. Wywalacie parę, która nie była najgorsza i swoim tańcem dawała coś więcej" – przekonują internauci. „Brawo Olga Bończyk, bo taniec był przepiękny. Ustawka, jak zawsze w »Tańcu z gwiazdami«. Olga niepotrzebnie powiedziała, że nie zależy jej na opinii jury w pierwszym odcinku, i dlatego odpadła, wszystko jest ustawione" – zarzucają fani programu. Poczekajmy, aż widzowie tego rodzaju show dowiedzą się, że prezentów pod choinką nie zostawia św. Mikołaj. To dopiero będzie. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, obserwujemy pewne, delikatne na razie, zaniepokojenie mainstreamu, iż w Polsce jest zbyt wielu absolwentów kierunków humanistycznych, takich jak kulturoznawstwo, a zbyt mało osób kończy studia techniczne, inżynieryjne, matematyczne itd. I że to spowoduje spadek innowacyjności Polski, będzie tragedia i w ogóle wszyscy zginiemy.

Otósh nie xD.

Wyobraźcie sobie taką rzecz: liczba rzek na świecie nie rośnie, a zatem potrzebna będzie skończona liczba mostów. Podobnie istnieją ograniczone możliwości podróżowania pomiędzy dwoma dowolnymi punktami na ziemi, a więc tym samym istnieje skończona liczba możliwości, według których można poprowadzić drogi.

A zatem, jak już zbudujemy wszystkie drogi i mosty, to co niby ci wszyscy inżynierowie będą robić? Już nawet nie mówimy o budynkach mieszkalnych, iż raz, że mamy nadpodaż, a dwa – niebawem Polaków będzie tylko 20 mln. Więc w zasadzie po co tu jeszcze coś budować? Po co nam ci wszyscy inżynierowie?

Temat skończyłby się zapewne tak, iż należałoby ich wszystkich przekwalifikować na kulturoznawców, socjologów miasta, osoby specjalistyczne w obszarach takich jak zaimki, krytyków sztuki nowoczesnej itd. Kultura jest to bowiem najdynamiczniej zmieniający się obszar naszego codziennego życia i w związku z tym, że zmiany te będą wciąż zachodzić, będziemy potrzebowali coraz większej liczby dobrze wykształconych osób, które będą w stanie opisać te zjawiska, zaproponować ich interpretację, a jak już którąś interpretację przyjmiemy i przekujemy w teorię, to wtedy ją zdekonstruują.

Wydawać by się mogło takiemu kucowi z polibudy o prostym rozumku, który mu notabene wystarczy, iż w matmie 2 + 2 to ponoć zawsze 4, że taka dynamika kultury to prosta sprawa i żeby o niej dyskutować, nie trzeba studiów. A jak jest, sami wiecie.

Dobrze więc, iż w czasach tak ważnych i dynamicznych zmian idących ramię w ramię ze świeckim duchem postępu ten kraj będzie gotów odpowiedzieć na najważniejsze wyzwania współczesności. Być może wreszcie wniesiemy jakiś swój dorobek do ogólnoświatowego dyskursu, iż do tej pory było z tym kiepsko, a zamiast myśli socjologicznej eksportowaliśmy na zachód Europy grzyby i jabłka.

W ogóle to właśnie zauważyliśmy, iż użyliśmy sformułowania „krytyk sztuki nowoczesnej". Of kors popełniliśmy dwa błędy. Pierwszy z nich polegał na tym, iż powinniśmy byli napisać „osoba krytyczna" lub „krytyczne sztuki", iżby zachować neutralność.

Drugi natomiast to w ogóle samo użycie słowa odnoszącego się do pojęcia krytyki. Wiecie, jak jest w Polsce. Na początek małe osobodziecko jest traumatyzowane krytyką ze strony osoborodziców i osobodziadków, potem dotyka je krytyka ze strony funkcjonariuszy szkolnego aparatu opresji. Następnie ze strony przełożonych w pracy, otoczenia, komentujących na Instagramie, Jarosława Kaczyńskiego, bp. Jędraszewskiego. Przerąbane.

Za dużo w tym kraju jest krytyki, dlatego też nie chcemy, iżby w dyskursie o sztuce posługiwać się takimi kategoriami. Postulujemy używanie słów „osoba dyskutancka", „dyskutatoryszcze" lub cokolwiek pokrewnego, iżby tylko na chwilę i w przynajmniej tym jednym aspekcie przestać krytykować, a więc sączyć ten jad i żółć. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Co ma żywność do wiatraka

Halo, Paulina? Ula mówi. Pomocy potrzebuję.
Co tam?

Bo tu jestem w terenie, z pogadanką taką, że planeta się pali... No wiesz, z ludźmi, takimi zwykłymi. I oni mówią, że jak przejdzie ten nasz projekt, to im wiatraki będą szumieć pod oknem praktycznie. Co ja mam mówić?
Powiedz, że las też ładnie szumi, jak jest wiatr, i nikt się nie skarży.

„Las też szumi"... Dobra, zapisałam sobie. Coś jeszcze?
Że jak nie postawimy wiatraków, to się spalimy, powiedz.

A nie, to już mówiłam, ale wtedy dostałam pomidorem.
Powiedz, że nie wolno żywności marnować.

„Nie wolno marnować"... Zapisałam. Ty, ale co to ma do wiatraków? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Sikorski pozamiatał Rusków, Tusk polskich Rusków".

TOMASZ LIS, *publicysta, na portalu X*

eprasa.pl 15389caf8e

Tomasz Cukiernik

Euroregulacje i europodatki rujnują finansowo zarówno firmy, jak i mieszkańców Unii Europejskiej

Tak nas rujnuje UE

Unijne rozporządzenie odnoszące się do norm handlowych jaj, które decyduje, że jaja będą musiały być znakowane w miejscu produkcji, wejdzie w życie 8 listopada. Polska Izba Handlu wskazuje, że większość polskich producentów stempluje jaja w miejscu pakowania. Zmiany „będą więc wiązać się ze znacznymi perturbacjami działania wewnętrznego rynku. Z perspektywy handlu będzie skutkować to brakiem na półkach jajek oraz produktów zawierających jaja w składzie, a także znaczącą podwyżką ich cen".

Kilka miesięcy wcześniej, od lipca, w dyrektywie SUP eurokraci wprowadzili obowiązek stosowania zakrętek wykonanych z tworzyw sztucznych trwale przymocowanych do butelek. – Na zintegrowaną nakrętkę wydaliśmy już 30 mln zł. Musieliśmy modernizować maszyny, niektóre trzeba było wymienić całkowicie – mówił Tadeusz Mroczkowski, prezes Mlekpolu, podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

Z kolei realizacja wymogów Zielonego Ładu w zakresie dobrostanu zwierząt doprowadzi do wzrostów cen i jednocześnie spadku produkcji w branży mięsnej nawet o połowę.

Natomiast za dwa lata wchodzą w życie nowe unijne regulacje dotyczące certyfikacji zrównoważonej żywności, co również będzie generowało koszty, a polscy producenci będą mieli problem z dostosowaniem się do tych przepisów.

Tak właśnie UE za pomocą regulacji podnoszących koszty winduje ceny różnych towarów i usług, uderzając tym samym nie tylko w konkurencyjność firm, lecz także w konsumentów, czyli nas wszystkich.

ZIELONY (NIE)ŁAD

Niestety, to, co wymieniłem, to tylko niewiele szkodzące i mało znaczące przepisy, jeśli weźmiemy pod uwagę skalę

eprasa.pl 15389caf8e

FOT. ADOBE STOCK

wszystkich unijnych strategii, programów i regulacji. W tej chwili największym zagrożeniem ze strony Brukseli dla normalnego życia jest Europejski Zielony Ład wraz ze związanymi z nim inwestycjami, o czym piszę w mojej książce „Dwadzieścia lat w Unii. Bilans członkostwa". Francuski Institut Rousseau wyliczył, że aby zdekarbonizować całą unijną gospodarkę do 2050 r., potrzeba inwestycji w wysokości 40 bln euro! To ok. 1,5 bln euro rocznie. Podobne sumy podaje Komisja Europejska. Polska na dojście do zeroemisyjności ma marnować 90 mld euro rocznie (13,6 proc. PKB z 2022 r.) w inwestycjach publicznych i prywatnych, czyli łącznie ma wydać na ten cel 2,4 bln euro (ponad 10 bln zł). Kwota ta jest 40 razy wyższa niż te niecałe 60 mld euro, które jako kredyty i dotacje mamy dostać na tzw. Krajowy Plan Odbudowy. Te ponad 10 bln zł to prawie 15 razy więcej, niż wyniosły wszystkie dotacje netto (po odjęciu składki), które Polska uzyskała od UE przez 20 lat (163,5 mld euro od 1 maja 2004 r. do 30 kwietnia 2024 r.)!

Kosztem jest zakaz samochodów spalinowych, który po 2035 r. wymusza zakup znacznie droższych aut elektrycznych czy nakaz – zgodnie z tzw. dyrektywą budynkową – budowy budynków zeroemisyjnych oraz remontów istniejących.

Na przykład w drugiej połowie tej dekady mają być obowiązkowe instalacje fotowoltaiczne na dachach nowych budynków i istniejących budynków użyteczności publicznej. Zgodnie z przyjętą przez rząd w 2022 r. „Długoterminową Strategią Renowacji Budynków" niepotrzebne remonty będą kosztowały łącznie niewyobrażalną kwotę ok. 1,5 bln zł. Na każdego pracującego Polaka wychodzi ok. 100 tys. zł. To 10 razy więcej niż planowany koszt CPK wraz z całą infrastrukturą!

Podobnie w raporcie Konfederacji Lewiatan „Efektywność energetyczna budynków – szanse i wyzwania dla polskich firm" czytamy, że „dostosowanie budynków do standardu bezemisyjnego wymagać będzie przeprowadzenia ok. 7,5 mln termomodernizacji, wymiany ok. 6,9 mln źródeł ciepła na urządzenia i instalacje bezemisyjne, takie jak pompy ciepła czy elektryczne grzejniki i maty grzewcze. Realizacja tych inwestycji pochłonie 1,54 bln zł do 2050 r.".

Kosztowne będzie też unijne rozporządzenie AFIR, które wymusi budowę z podatków gęstej sieci punktów ładowania samochodów elektrycznych. Według Polskiego Stowarzyszenia Nowej Mobilności na koniec marca 2024 r. Polska spełnia unijne wymogi rozwoju sieci ładowania wzdłuż dróg sieci TEN-T na 2025 r. w 8 proc., a wymogi na 2027 r. – w 2 proc. Ponadto AFIR przewiduje budowę na sieci dróg TEN-T minimum 37 stacji tankowania wodoru. Aktualnie w Polsce nie ma ani jednej. Za niespełnienie unijnych wymogów przewidziane są kary finansowe.

Częścią Europejskiego Zielonego Ładu jest tzw. zrównoważony rozwój, czyli rozwój nieoptymalny, wolniejszy. W ramach ESG będzie on wymuszany poprzez kolejne regulacje wiążące się ze zwiększaniem kosztów. Chodzi o monitoring, raportowanie, inwentaryzację emisji, czyli znowu obciążanie firm dodatkowymi obowiązkami i przerabianie tych informacji przez biurokratyczne systemy. Coś, czym nikt w ogóle nie powinien zaprzątać sobie głowy. W ten sposób marnotrawi się zasoby nie tylko ludzkie, a tym samym ogranicza wzrost dobrobytu społeczeństw.

Rezultaty będą katastrofalne. Ministerstwo Finansów szacuje, że koszty dla przedsiębiorstw objętych obowiązkiem raportowania ESG w ciągu 10 lat wyniosą 8,72 mld zł. Znacznie większe sumy podaje Warsaw Enterprise Institute w swoim raporcie „Pod ciężarem ESG. Koszty raportowania ESG dla małych i średnich firm w Polsce". Pisze w nim: „Firmy bezpośrednio objęte unijną dyrektywą CSRD co roku będą ponosić koszt w wysokości od 1,4 do 2,6 mld zł. Dodatkowo poniosą jednorazowy koszt dostosowania się do tej regulacji w wysokości od 0,8 do 1,1 mld zł. Co więcej, wysokie koszty poniosą także firmy nieobjęte bezpośrednio CSRD, ale będące kontrahentami tych posiadających obowiązek raportowania ESG. Dla polskich MŚP ten koszt pośredni może sięgać nawet 8 mld zł rocznie. Małe i średnie firmy poniosą też jednorazowe koszty dostosowania się do przepisów na poziomie do 1,4 mld zł". Dopełnieniem absurdu będzie jeszcze bardziej uciążliwa dyrektywa w sprawie należytej staranności przedsiębiorstw w zakresie zrównoważonego rozwoju (CSDDD).

Zakaz samochodów spalinowych po 2035 r. wymusi zakup znacznie droższych aut elektrycznych

Kosztem są też regulacje dla rolnictwa w ramach „Strategii na rzecz bioróżnorodności 2030" oraz strategii „Od pola do stołu". Z raportu Departamentu Rolnictwa USA wynika, że wskutek wdrażania Europejskiego Zielonego Ładu produkcja rolna we wszystkich gałęziach ulegnie załamaniu. Drastycznie spadnie

eprasa.pl 15389caf8e

wydajność. Areał upraw roślin zbożowych zmniejszy się o 4 proc., a plony zbóż obniżą się o 11 proc. Dojdzie do znacznego zmniejszenia stad bydła, trzody chlewnej i drobiu. W rezultacie podaż mięsa spadnie o 14–16 proc., a podaż mleka o 10 proc. Efektem będzie wzrost cen tych produktów w sklepach o 17 proc., co z kolei pociągnie za sobą spadek popytu oraz problemy rolników ze zbytem i dalsze ograniczenie produkcji rolnej. Spadek dochodów rolników wyniesie 16 proc.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze unijne rozporządzenie w sprawie odbudowy zasobów przyrodniczych. Określa ono m.in. cele dotyczące rekultywacji torfowisk oraz zwiększenia bioróżnorodności i populacji owadów. Według serwisu Salon24 regulacje nakazują „zwiększanie odsetka gruntów rolnych z elementami krajobrazu o wysokiej różnorodności, liczebności pospolitych ptaków krajobrazu rolniczego oraz motyli, w tym szczególnie na obszarach trawiastych. Muszą również wzrosnąć zasoby węgla organicznego w glebach mineralnych". Same euroregulacje dotyczące obowiązku rekultywacji siedlisk złej jakości będą wymagać w Polsce inwestycji o wartości co najmniej 500 mln euro do 2050 r.

Olbrzymim kosztem jest także Krajowy Plan Odbudowy. A to dlatego, że unijny Fundusz Odbudowy to kredyt zaciągnięty na rynkach finansowych przez UE. Pożyczkę co prawda gwarantuje budżet Unii, ale przecież Bruksela nie ma swoich pieniędzy, a ma tylko tyle, ile zabierze podatnikom z krajów członkowskich. W tym celu Unia wprowadza m.in. nowe podatki. Ostatecznie to kraje członkowskie będą musiały ten zaciągnięty przez Brukselę kredyt i odsetki w całości spłacić. Pod koniec marca 2024 r. minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz napisała na platformie X, że „koszty obsługi KPO do dziś to 160 mln zł".

Efektem będzie wzrost zadłużenia publicznego. Spłata pozyskanych funduszy będzie następować do 2058 r. – To wszystko, co działo się w ostatnich latach z KPO, i domaganie się uruchomienia KPO w sytuacji, kiedy duża część KPO to jest dług, czyli żądania prawa do zaciągnięcia długu, pokazuje, jak zostaliśmy zdemoralizowani jako społeczeństwo – mówi dr Artur Bartoszewicz z SGH. – Przestrzegałem przed KPO i mówiłem, że mechanizm oparty na długu nie jest nam potrzebny. W momencie, kiedy Komisja Europejska zaczęła nam to blokować, uważałem, że jest dobra okazja do tego, żeby pożegnać się z tym narzędziem.

ZALEW EUROPODATKÓW

Zielona polityka Unii to również europodatki. Z odpowiedzi sekretarza stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska Krzysztofa Bolesty na interpelację posła Janusza Kowalskiego wynika, że deficyt uprawnień do emisji CO_2 w systemie EU ETS w 2023 r. wyniósł ok. 12,5 mld zł, a łącznie w latach 2021–2030 będzie to szacunkowa kwota aż 141 mld zł (dane Krajowego Ośrodka Bilansowania i Zarządzania Emisjami). W rzeczywistości kwoty obciążające gospodarkę (w szczególności energetykę) z tego tytułu są wielokrotnie wyższe (tylko w 2023 r. ok. 58 mld zł), ale niższa suma bilansu wynika m.in. z tego, że Skarb Państwa sprzedaje „darmowe" uprawnienia. To ma wymusić inwestycje, które jednak zdaniem europoseł Konfederacji Anny Bryłki nie przełożą się na redukcję emisji. – Pewne obszary są nie do zrealizowania, natomiast koszty związane z tym, że te polityki będą wdrażane, będą gigantyczne i w pewnych obszarach to będzie gigantyczne marnotrawstwo środków publicznych na polityki, których i tak nie dałoby się zrealizować – ocenia Bryłka.

KPO jest też olbrzymim kosztem. Bo unijny Fundusz Odbudowy to kredyt zaciągnięty przez UE

EU ETS już narobił wiele szkody. Działające w Unii firmy stają się mniej konkurencyjne, a produkcja wynosi się poza granice bloku. W związku z tym socjaliści w Brukseli zamiast wycofać się z tych regulacji, postanowili nałożyć kolejną – w postaci granicznego cła węglowego (CBAM). Raportowanie w zakresie tego podatku już funkcjonuje, ale płatności będą obowiązywały od 2026 r.

Chodzi o to, by importowane spoza wspólnego rynku towary (produkty

stalowe, aluminiowe, cement, nawozy sztuczne, energia elektryczna i wodór) były obciążane dodatkowym cłem tylko dlatego, że w swoim kraju ich producenci nie płacą podatku ETS, przez co są tańsze. Według rozumowania eurosocjalistów w ten sposób zatrzyma się zamykanie zakładów energochłonnych w Unii. Nie dociera do nich to, że każdy podatek jest przerzucalny i ostatecznie i tak zapłacą go konsumenci w Unii. A może doskonale to wiedzą i o to właśnie chodzi, żeby życie mieszkańców UE było jeszcze droższe i jeszcze bardziej im je uprzykrzyć?

Niestety, obłęd klimatyczny niebezpiecznie się nasila i już 1 stycznia 2027 r. ma zacząć obowiązywać nowy unijny podatek ETS2. Obejmie on transport i budownictwo. Jak czytamy w raporcie adwokat Wandy Buk, byłej wiceprezes PGE, i Marcina Izdebskiego, eksperta Fundacji Republikańskiej, byłego dyrektora w Ministerstwie Aktywów Państwowych pt. „Analiza wpływu ETS2 na koszty życia Polaków", „system obejmie opłatami emisje pochodzące ze spalania paliw przez gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa dotychczas nieobjęte systemem ETS1, m.in. małe ciepłownie, piekarnie, gastronomie, sklepy. Dodat-

eprasa.pl 15389caf8e

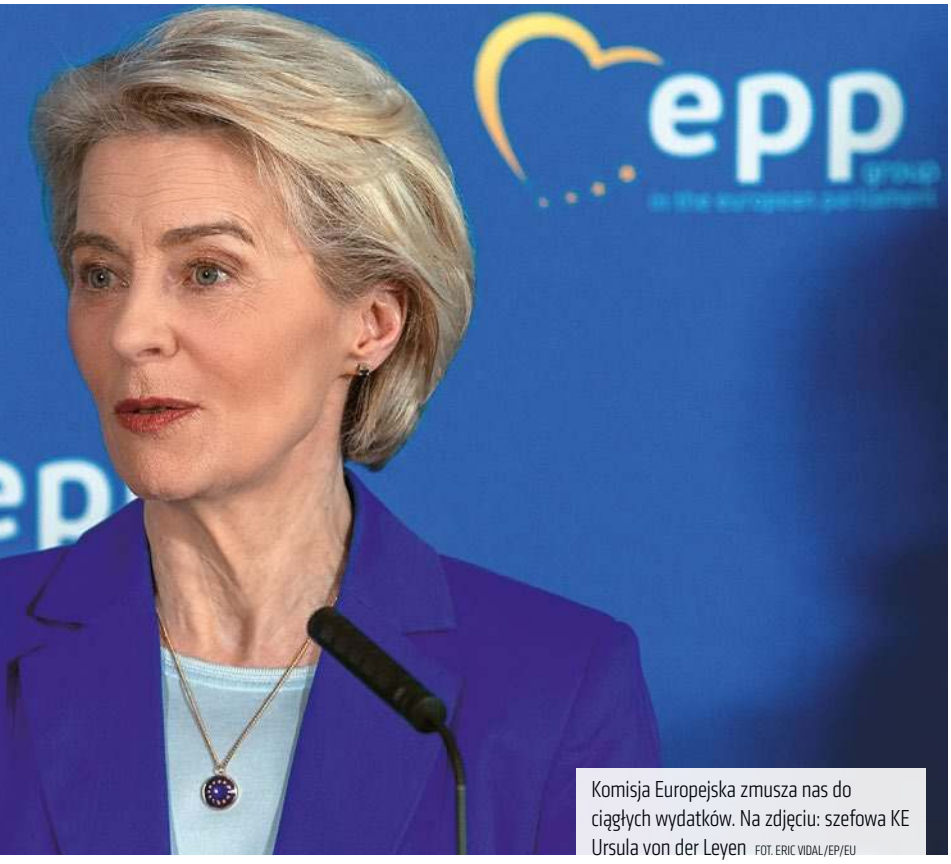

Komisja Europejska zmusza nas do ciągłych wydatków. Na zdjęciu: szefowa KE Ursula von der Leyen FOT. ERIC VIDAL/EP/EU

kowe koszty będą ukryte w cenie paliw kopalnych, m.in. węgla, gazu, oleju opałowego, paliw silnikowych. Koszt zakupu paliw wzrośnie nie tylko o wysokość opłaty emisyjnej, lecz także wysokość podatku VAT naliczanego od tej opłaty". Na przykład litr benzyny ma zdrożeć o ok. 50 gr.

Według raportu WEI „Zapłacą najubożsi. Koszty wprowadzenia systemu handlu emisjami dla budynków mieszkalnych oraz transportu" (autorstwa ekonomisty Marka Lachowicza) ETS2 w wariancie optymistycznym będzie kosztował Polaków 21,2 mld zł, a w wariancie pesymistycznym 96,5 mld zł rocznie. W najlepszym razie w 2030 r. statystyczna polska rodzina zapłaci dodatkowo ponad 1,5 tys. zł, a w scenariuszu pesymistycznym – 7,1 tys. zł rocznie.

Z kolei z raportu Buk i Izdebskiego wynika, że dla przeciętnej polskiej rodziny skumulowany dodatkowy koszt ETS2 w przypadku ogrzewania gazem ziemnym w latach 2027–2030 wyniesie 6,3 tys. zł, a w latach 2027–2035 – 24 tys. zł. W przypadku wykorzystania węgla dodatkowy skumulowany koszt w pierwszym okresie wyniesie 10,3 tys. zł, a w drugim – aż 39,1 tys. zł. Natomiast rodzina o wysokim zużyciu energii w latach 2027–2030 w przypadku ogrzewania domu gazem poniesie łączne koszty w wysokości 12,1 tys. zł, a w latach 2027–2035 będzie to 45,8 tys. zł. Jeżeli wykorzystuje węgiel, to wyniesie to odpowiednio 20,4 tys. zł i 77,3 tys. zł!

W ten sposób z tytułu podatku ETS2 w pierwszych czterech latach Bruksela wydrenuje nas dodatkowo na kwoty od niecałych 1,6 tys. zł do 5,1 tys. zł średniorocznie, a w okresie 2027–2035 – na sumy od prawie 2,7 tys. zł do aż 8,6 tys. zł.

Najbardziej dotknięte zmianami będą najuboższe gospodarstwa domowe na terenach wiejskich. W kolejnych latach będzie tylko gorzej, bo cena uprawnień do emisji CO_2 będzie rosła.

„System ETS2 przyczyni się do trwałego ograniczenia dochodów rozporządzalnych w gospodarstwach domowych. Docelowo system ETS2 obciąży każdego obywatela państw UE i jest wielce prawdopodobne, że doprowadzi do migracji przedsiębiorstw do bardziej przyjaznych jurysdykcji legislacyjnych i podatkowych (poza UE), prowadząc do spadku mobilności społeczeństwa zmagającego się z trwałym wzrostem cen, niebilansowanym dostatecznym wzrostem wynagrodzeń" – ocenił w specjalnym raporcie Polskiej Izby Paliw Płynnych prof. dr hab. Konrad Raczkowski z Instytutu Ekonomii i Finansów UKSW. Tymczasem eurokraci już myślą, by systemem handlu emisjami CO_2 objąć też rolnictwo.

Od 2021 r. Polacy uiszczają również podatek od masy odpadów opakowaniowych z tworzyw sztucznych niepoddanych recyklingowi. W 2023 r. z tego tytułu Polska zapłaciła do unijnego budżetu 2 mld zł (w 2021 r. było to 1,7 mld zł, a w 2022 r. – 2,6 mld zł). Natomiast zgodnie z szacunkami Ministerstwa Klimatu i Środowiska w 2024 r. z tytułu tego podatku trzeba będzie zapłacić 2,3 mld zł. Oznacza to, że w ciągu tych czterech lat tylko podatkiem od nierecyklingowanego plastiku Bruksela wzbogaci się naszym kosztem aż o 8,6 mld zł (2 mld euro)!

W ramach wdrażania kamieni milowych, by otrzymać szkodliwe dla nas kredyty i dotacje na KPO, w IV kwartale 2024 r. Polska ma wdrożyć podatek od rejestracji samochodu spalinowego dla wszystkich oraz na początku 2026 r. podatek od posiadania samochodu spalinowego dla przedsiębiorców pod nazwą „opłata środowiskowa". Kamieniem milowym są też opłaty od nowych autostrad i dróg ekspresowych, które mają zostać wprowadzone jeszcze w 2024 r. Z kolei 1 stycznia 2025 r. ma zacząć obowiązywać radykalnie zaostrzona wersja europodatku CAFE. Żaden samochód spalinowy nie spełni nowego limitu emisji CO_2 na poziomie 93,6 g/km, a za każdy przekroczony gram emisji dwutlenku węgla podatek wyniesie 95 euro. W efekcie samochody osobowe zdrożeją od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych. Wyznaczonego limitu nie będą w stanie spełnić nawet samochody hybrydowe.

Dodatkowo 1 stycznia 2025 r. ma wejść w życie implementowana do prawa polskiego unijna dyrektywa w zakresie podatku Pillar 2. To podatek wyrównawczy nałożony na duże międzynarodowe grupy przedsiębiorstw, tak aby efektywna stawka podatkowa grupy w danym kraju nie była niższa niż 15 proc.

To nie wszystkie obowiązujące i planowane europodatki. Już przed wejściem do UE Polska musiała podnosić akcyzę na paliwa i wyroby tytoniowe, by osiągnąć

eprasa.pl 15389caf8e

unijne minimum. A po akcesji na niektóre produkty i usługi (na roboty budowlane czy wyroby medyczne) trzeba było podnieść VAT ze stawki obniżonej na podstawową. Wprowadzono też opłatę recyklingową od foliowych toreb, opłatę roczną za wpis do BDO i opłatę środowiskową BDO oraz opłatę za obowiązkowe świadectwo energetyczne budynku. W 2025 r. wchodzi VAT od wypieków domowych. Są też plany wprowadzenia minimalnego europodatku od suszu tytoniowego.

Nie należy zapominać o unijnych cłach antydumpingowych. Najnowsze to tymczasowe cła na chińskie samochody elektryczne, ale wcześniej można wymienić całą litanię: cło antydumpingowe na przywóz pstrąga tęczowego z Norwegii i Wysp Owczych, cło wyrównawcze na papier powlekany z Chin, cła antydumpingowe na import biopaliw z Argentyny, Indonezji i USA, cło antydumpingowe na przywóz wyrobów walcowanych płaskich z aluminium z Chin, sklejki z drewna brzozowego z Rosji oraz spawanych rur i przewodów rurowych z żeliwa lub stali niestopowej z Białorusi, Chin i Rosji itd.

Będzie także obowiązywał swoisty podatek za nieprzyjmowanie imigrantów. Zgodnie z porozumieniem politycznym Rady Polska powinna przyjmować ok. 2 tys. imigrantów rocznie. W przypadku nieprzyjęcia obcokrajowców trzeba będzie wnieść opłatę 20 tys. euro na rzecz krajów bardziej obciążonych migracją. Oznacza to łączną kwotę 40 mln euro rocznie. Jednocześnie, gdyby rząd imigrantów przyjął, ich utrzymanie spocznie również na barkach podatników. Będą to niemałe kwoty, bo dyrektywa azylowa, która weszła w życie w czerwcu tego roku, mówi o konieczności świadczeń materialnych na rzecz migrantów, które obejmują miejsce zakwaterowania, wyżywienie, odzież i artykuły higieny osobistej, świadczenie na codzienne wydatki, a także zapewnienie dostępu do rynku pracy, niezbędnej opieki zdrowotnej, kursów językowych i edukacji ich dzieci.

Na dodatek unijne przepisy zmuszają kraje członkowskie do zapewnienia imigrantom odpowiedniego poziomu życia i porównywalnych warunków we wszystkich krajach członkowskich. „Jeżeli Polska będzie zmuszona zapewnić migrantom taki sam socjal jak w Niemczech, to będzie musiała płacić za jednego minimum 2455 PLN zasiłku bezterminowo […], do tego odpowiednik kindergeld w wysokości 1088 […]. Do tego mieszkanie socjalne opłacane minimum przez rok z pieniędzy publicznych. Powierzchnia minimum 50 mkw. dla pierwszej osoby, za każdą kolejną dodatkowe 10–15 mkw. Do tego opłacanie wszelkich kursów, a dla dzieci zajęć dodatkowych i wiele innych bonusów, jak na przykład bilety do kina czy darmowy wstęp na baseny itd." – napisał na portalu X dziennikarz Cezary Gmyz.

Wprowadzenie postulatów Zielonego Ładu przemieni Unię Europejską w nowy Związek Sowiecki

NOWA BIUROKRACJA

Do listy istotnych unijnych regulacji, za które zapłacimy, warto dodać jeszcze dyrektywę IED w sprawie emisji przemysłowych, konkluzje BAT, inicjatywę LULUCF czy rozporządzenie o wylesianiu EUDR. Ten ostatni akt prawny nakazuje firmom zajmowanie się nikomu niepotrzebną pracą biurokratyczną. Muszą gromadzić stosowne informacje dotyczące produktów, którymi firma handluje, takie jak np. dane geolokalizacyjne działek, na których wyprodukowano towary, które następnie wykorzystano do wytworzenia konkretnego produktu objętego regulacją. Za naruszenie przepisów EUDR grożą poważne sankcje, takie jak grzywny wynoszące nawet 4 proc. rocznego obrotu, konfiskata produktów i dochodów czy zakaz wprowadzania do obrotu towarów objętych EUDR.

Gigantycznym kosztem w skali całego kraju jest tworzona przez Brukselę biurokracja: od urzędników od BDO i specjalistów od RODO, poprzez urzędników zarządzających gospodarką śmieciową, do biurokratów zajmujących się rozdawaniem i pozyskiwaniem unijnych dotacji. Do tego dochodzą tak groteskowe urzędy jak resort funduszy, resort klimatu czy Krajowy Ośrodek Bilansowania i Zarządzania Emisjami. Dla biurokratycznych fanaberii wymyśla się też nowe zawody: poza specjalistami RODO są to też audytor i certyfikator energetyczny do wydawania certyfikatów energetycznych, specjalista do pozyskiwania dotacji unijnych czy audytor oraz specjalista do spraw ESG.

Eurokratom chodzą po głowie jeszcze inne pomysły, takie jak podatek od usług cyfrowych, opłata cyfrowa, podatek od transakcji finansowych czy podatek związany z sektorem przedsiębiorstw lub nową wspólną podstawą opodatkowania osób prawnych.

Do tego dochodzą jeszcze kary Trybunału Sprawiedliwości UE. Dotychczas Polska płaci m.in. za spór o sądy (prawie 560 mln euro), Turów (prawie 70 mln euro) czy za niewdrożenie na czas dyrektywy o sygnalistach (7 mln euro plus 40 tys. euro dziennie). Od 2023 r. gminy płacą kary za nieosiągnięcie odpowiedniego poziomu recyklingu odpadów. Unijne kary uiszczają też poszczególne firmy. Na przykład spółki węglowe będą musiały płacić za emisję metanu do atmosfery powyżej limitów ustalonych przez eurokratów. Do tej pory nikt nie policzył też kosztów związanych z brakami energii elektrycznej i blackoutami, które wystąpią w związku z wymuszoną przez UE transformacją energetyczną. No i nie zapominajmy o nadchodzącym Europejskim Niebieskim Ładzie, który zafunduje nam m.in. wzrosty cen wody i kary za jej zużycie powyżej ustalonego eurolimitu.

Składka członkowska Polski do budżetu UE (36,5 mld zł w 2024 r.) to drobiazg w porównaniu z gigantycznymi kwotami marnowanymi z powodu unijnych regulacji, biurokracji, strategii, (nie) ładów i programów. Jak czytamy w książce „Wielkie kłamstwo", „UE bardzo szybko zmierza w stronę totalitaryzmu i nawet się z tym nie kryje", a wprowadzenie w życie postulatów Europejskiego Zielonego Ładu „doprowadzi do przemiany Unii Europejskiej w nowy Związek Sowiecki, w którym ideologią służącą do nękania ludzi i radykalnego ograniczania ich wolności nie będzie marksizm-leninizm, lecz jakiś rodzaj »schwabizmu«, jak można określić ekologizm połączony z wizją pełnej cyfrowej kontroli. A za to nowe więzienie mieszkańcy Europy będą musieli słono zapłacić".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

REPUBLIKA

Interesujący goście. Ważne tematy. I bardzo konkretne pytania. Tu musi być wszystko jasne. Zapraszam do Republiki na mój nowy program publicystyczny **„Ewa Bugała. Wszystko jasne”**. Do zobaczenia **w każdy poniedziałek** o 17:30 – Ewa Bugała.

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 15389caf8e

„Drugiego Tuska nie mamy…”

Rafał A. Ziemkiewicz

Tusk nie chce już być „fajnym kolesiem”, który programowo kojarzy się tylko z tym, co miłe. Nieustająco eskaluje napięcie, demonstracyjnie łamiąc normy przyzwoitości oraz prawa. Jego zwolennicy wiedzą, czym to grozi

Słowa Jacka Żakowskiego, który na antenie przejętej przez rządzących TVP Info stwierdził, że transmitowane na żywo obrady „sztabu kryzysowego” z udziałem Donalda Tuska przypominają propagandowe spektakle Putina, wywołały wśród zwolenników PO i jej koalicyjnych przystawek furię. Żakowski – nie pierwszy raz zresztą – z punktu ogłoszony został zdrajcą i „PiS-owcem”, mimo wszystkich swych „zasług” w opluwaniu partii Jarosława Kaczyńskiego. A mówimy przecież o publicyście, który w czasie i w kontekście tzw. pandemii COVID-19 poszedł w tym najdalej, ogłaszając na łamach „Gazety Wyborczej”, że PiS „dokonuje ludobójstwa, zamordował już co najmniej 100 tys. Polaków, i nie jest to żadna metafora”; o publicyście, który po przegranych wyborach w roku 2015 nawoływał w „Polityce”, by zwolenników PiS i członków ich rodzin atakować i „zawstydzać” w miejscach publicznych, na uczelniach, w pracy i w życiu prywatnym. Wobec ogromu zbrodni, którą dla zwolenników władzy jest wyłamanie się z chóru chwalącego Tuska za walkę z powodzią, nie uznano jednak żadnych okoliczności łagodzących, nawet tego, że

eprasa.pl 15389caf8e

Donald Tusk zaryzykował bycie twarzą walki z powodzią, byle sukcesu nie przypisano komuś innemu

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

całość wypowiedzi Żakowskiego w oczywisty sposób powodowana była troską o wizerunek Tuska i, przede wszystkim, o trwałość jego rządów.

TO NIE TA KULTURA POLITYCZNA

„Czy ja dobrze słyszę, że demokratycznie wybrany polityk, premier Polski i jeden z liderów UE (były przewodniczący najwyższego jej organu) stosuje metody rosyjskiego tyrana – zbrodniarza i mordercy??? Nie dziwię się, że tę śmiałą tezę podchwycili dziś wszyscy politycy PiS!" – zagrzmiał na Żakowskiego Krzysztof Luft, od dawna wiernie giermkujący PO i jej przewodniczącemu, a jego głos powielony został przez dziesiątki innych podobnych mu giermków.

Widać w tej reakcji coś bardzo charakterystycznego: zwolennikom „demokratycznie wybranego premiera Polski i jednego z liderów UE" nie kłóci się nic z faktem, że ich wódz otwarcie zapowiada łamanie prawa i faktycznie wiele razy już je złamał; że ignoruje konstytucję, trzyma miesiącami przypadkowych ludzi w „aresztach wydobywczych", żeby wymusić na nich zeznania obciążające przeciwników politycznych, bezprawnie odbiera finansowanie partii opozycyjnej etc. – zebrało się już tego sporo w ciągu dziewięciu miesięcy „uśmiechniętych" rządów. Wszystko to nie czyni wodza mniej „demokratycznym" ani „europejskim".

Szokiem jest, że w rządowej telewizji prorządowy dziennikarz zauważa, iż powodziowa pokazucha Tuska nie byłaby do pomyślenia w żadnym kraju zachodnim. Choć przecież stwierdza Żakowski oczywisty fakt. Prezydenci USA, Francji czy kanclerz Niemiec nigdy nie urządzali transmitowanych na żywo całodobowych „posiedzeń sztabu kryzysowego". Nie występują w roli „dobrego cara", który publicznie ruga nieudolnych ministrów i chwali tych, którym coś wyszło. Podobno raz, na malutką skalę, próbował podobnej publicznej „odprawy" podwładnych w telewizji Emmanuel Macron i zostało to tak źle odebrane, że natychmiast się wycofał. Nie ma wątpliwości – ten styl funkcjonowania władzy i demonstrowania jej władczości przynależy do kultury politycznej, z którą nie chcielibyśmy mieć nic wspólnego.

Wypowiedź Żakowskiego już po kilku godzinach została usunięta ze stron TVP, co, nawiasem mówiąc, bardzo skutecznie kompromituje opowieści o „czystej wodzie", która rzekomo miała tam zastąpić partyjną propagandę – i było zwyczajnie głupie, bo przecież w Internecie nic nie ginie i można tę wypowiedź bez trudu nadal obejrzeć pod wieloma sieciowymi adresami.

Kto to zrobi, zauważy, że Żakowski o podobieństwie „sztabu kryzysowego" do odpraw u Putina mówił bynajmniej nie w tonie potępienia, ale troski. Z obawy, że ten niefortunny, jego zdaniem, pomysł rządowych PR-owców właśnie przez narzucające się podobieństwo do Putina na dłuższą metę zaszkodzi wizerunkowi i popularności Tuska. Chodziło mu zresztą o sprawę ogólniejszą niż wątpliwy pomysł ze „sztabem kryzysowym na żywo" – ten pomysł wynikał z ogólnej koncepcji, żeby wysunąć Tuska na pierwszą linię walki ze skutkami powodzi, uczynić go centralnym punktem propagandowej narracji, zaręczyć niejako za walkę z żywiołem jego osobistym autorytetem. To prawda, że na razie wydaje się to działać – 45 proc. respondentów sondażu United Surveys, deklarujących, że „rząd dobrze sobie radzi z powodzią", to lepszy wynik, niż można się było spodziewać. Ale co, jeśli na dłuższą metę przeważy niezadowolenie? Wyborcom może wtedy nie wystarczyć, że car zrugał już był „złych bojarów", i jeszcze obciążą winą jego samego. „A przecież drugiego Tuska nie mamy" – lęka się Żakowski. Jeśli on straci popularność, to rządy „obozu demokratycznego" mogą się załamać – i wróci PiS!

SYMBOLICZNA BLOKADA MEDIÓW

Do obaw Żakowskiego można by dorzucić charakterystyczną decyzję premiera – bo na pewno to on ją podjął, jak zresztą wszystkie decyzje obecnej władzy – żeby konsekwentnie nie dopuszczać do relacjonowania „walki z powodzią" Telewizji Republika. Praktycznie nie ma to żadnego znaczenia, bo Republika i tak może pokazać, co będzie chciała, ale niewpuszczanie jej kamer na konferencje i posiedzenia to symbol. Zważywszy proporcje – przypominający upór, z którym ekipa Śmigłego-Rydza aż do swego żałosnego końca odmawiała jakiegokolwiek, symbolicznego choćby dopuszczenia do głosu antysanacyjnej opozycji, jakiegokolwiek „rządu pojednania narodowego", co wobec zewnętrznej agresji byłoby w każdym kraju oczywiste. Pułkownik Wenda, zaufany Rydza i zresztą postać wyjątkowo paskudna, prawdopodobnie bezpośredni wykonawca uprowadzenia i zamordowania gen. Zagórskiego, jeszcze 5 września 1939 r. oznajmił domagającemu się ogłoszenia „pojednania narodowego" Maciejowi Ratajowi: „Nie będziemy się z nikim dzielić zwycięstwem". Nie w takich słowach, ale w sumie to samo usłyszał Melchior Wańkowicz od Rydza, Becka i innych, gdy w październiku i listopadzie tego samego roku przeprowadzał z nimi wywiady w Rumunii: żadnych gestów wobec opozycji, na wiosnę Francja

eprasa.pl 15389caf8e

i Anglia pokonają Hitlera i wtedy do Warszawy musimy wrócić my, uczniowie i następcy Wielkiego Marszałka, a nie jego i nasi wrogowie!

Wydaje się, że – raz jeszcze powtórzę, zważywszy proporcje – Tusk myśli o powodzi w taki sam sposób. To musi być jego, Tuska, zwycięstwo nad skutkami żywiołu, nie nikogo innego. Po pierwsze – w żadnym razie nie może Tusk dopuścić, by ktokolwiek pomyślał, że w obliczu pewnych żywotnych spraw, np. klęski żywiołowej czy innego zagrożenia, plemienna wojna „obozu demokratycznego" przeciwko PiS mogłaby zostać choć na moment zawieszona. A tym bardziej że w takiej sytuacji, dla zapobieżenia kataklizmowi, należałoby myśleć o jakimś ponadpartyjnym porozumieniu. Takie miazmaty obracałyby wniwecz podstawy polityki Tuska (dlaczego – o tym za chwilę). Właśnie temu – zaznaczeniu, że powódź powodzią, ale najważniejsza jest walka z PiS i ta walka trwa, i, jak uczył klasyk, zaostrza się w miarę przybliżania się pełnego zwycięstwa – służy z pozoru małostkowe, w istocie dobrze przemyślane wypychanie „PiS-owskiej" telewizji z obszaru premierowskiej „walki" z powodzią. I stąd też bombardowanie w trakcie powodzi Polaków odgrzewanymi rewelacjami o rzekomo „sprzedawanych za łapówki" wizach czy (skandaliczne skądinąd) ciąganie na przesłuchania ciężko chorego Zbigniewa Ziobrę. Nie chodzi tu tylko – jak uznała większość komentatorów – o „odwracanie uwagi" od powodzi, lecz także właśnie o podtrzymanie, mimo wyjątkowej sytuacji, imperatywu „wojna przeciw PiS ponad wszystko".

Powie ktoś, że przecież Żakowski jednak ma rację, wskazując związane z tym ryzyko: jeśli Tusk w oczach społeczeństwa z powodzią przegra, to runie cała władza „obozu demokratycznego". Rzecz w tym, że dla Tuska nie byłoby to wcale większym problemem niż to, że walkę z powodzią wygrałby w oczach społeczeństwa ktoś inny. Owszem, chowając się bezpiecznie w KPRM, jak na Olimpie, i rzucając na front kogoś innego, Tusk byłby bezpieczny: w razie czego ogłosiłby, że dany minister, specjalny pełnomocnik czy prezydent miasta sobie nie poradził, i odrzuciłby go, jak to się w polityce zwykło robić ze zużytymi zderzakami. Ale gdyby taki ktoś sobie poradził – wyrósłby nagle Tuskowi na silnego konkurenta. A na to Tusk nie może sobie pozwolić, jeśli zamierza walczyć o prezydenturę.

PLAN NA PREZYDENTURĘ

A zamierza. W tym punkcie różnię się w ocenie sytuacji od większości komentatorów, którzy dość zgodnie – i ci z lewa, i ci z prawa – przewidują, że PO wystawi do wyborów prezydenckich Trzaskowskiego, a jeśli nie jego, to prędzej Sikorskiego niż Tuska. Prawda jest inna: Tusk dąży do prezydentury konsekwentnie i za wszelką cenę. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że ma ogromny elektorat negatywny, ale widzi sposób na wygraną mimo to: musi wykreować się w oczach większości wyborców na „mniejsze zło", wzorem Macrona przerazić społeczeństwo wizją zwycięstwa „faszystów", doprowadzić je do skrajnej, wojennej histerii i powiedzieć mu wtedy wprost: nieważne, że macie do mnie tysiąc zastrzeżeń, że wielu z was ma mnie dość, że wielu zawiodłem, oszukałem czy skrzywdziłem, musicie o tym wszystkim zapomnieć, zacisnąć zęby i wybrać mnie, bo inaczej faszyzm, apokalipsa wyrzucą nas z Europy, będzie musiała wejść tutaj „siła zewnętrzna" – i cokolwiek jeszcze strasznego zdołają propagandyści wymyślić.

Tylko ta hipoteza pozwala w działaniach Tuska znaleźć sens i żelazną logikę. Inaczej nie sposób wyjaśnić – chyba że teoriami spiskowymi lub „kuchenną psychoanalizą" – dlaczego tak wytrawny polityk kompletnie porzucił socjotechniki, które dopracował do perfekcji w czasie swych poprzednich rządów i które wtedy znakomicie się sprawdzały. Dlaczego Tusk nie chce już być „fajnym kolesiem", który programowo kojarzy się tylko z tym, co miłe, nie robi polityki, tylko buduje stadiony? Dlaczego tym razem nie pozuje na eleganckiego, miłego dżentelmena, za którego brudną robotę wykonują jakiś Palikot czy Niesiołowski, tylko sam właśnie wciela się w nich obu razem wziętych i osobiście hejtuje PiS w mediach społecznościowych? I dlaczego nieustająco eskaluje napięcie, demonstracyjnie łamiąc normy przyzwoitości oraz prawa i prowokując do tego samego przeciwników?

Obawa Żakowskiego i jemu podobnych, że biorąc powódź na siebie i wysuwając się osobiście na front, ryzykuje Tusk przyszłość całego swojego obozu, przypomina nieco obawy, które środowisko lewicowo-liberalne żywiło w roku 2007. Większość, widząc ogromną popularność PiS w sondażach, chciała wtedy szerokiej antypisowskiej koalicji, od Giertycha i Leppera do skrajnej lewicy, z „premierem technicznym" Kaczmarkiem, by dać sobie czas na „komisje śledcze", które zniszczą Kaczyńskich, i wtedy dopiero, bezpiecznie, ogłosić wybory. Tusk się temu nie podporządkował, doprowadził do przyśpieszonych wyborów – i ta pokerowa zagrywka mu się opłaciła. Raczej tego doświadczenia, w przeciwieństwie do Żakowskiego, nie zapomniał.

W ogóle, przyznam, nie jestem w stanie zrozumieć sposobu myślenia tego ostatniego i wielu jemu podobnych, którzy zdołali kompletnie wyprzeć ze świadomości liczne dowody, że Tusk nigdy nie rozumował w kategoriach „obozu demokratycznego", obrony jakichkolwiek wartości czy wyższego dobra – ale zawsze, wyłącznie, podporządkowywał wszystko swojemu osobistemu wyniesieniu. Wszelkie odstępstwa od tej zasady miały charakter jedynie pragmatyczny i wynikały ze słusznego skądinąd przekonania, że lepszy sukces połowiczny, pozostawiający szansę na większy w przyszłości, niż „wszystko albo nic".

Dlatego miesiąc przed wyborami parlamentarnymi potrafił Tusk przełożyć wajchę o 180 stopni, odstępując od „jednej listy" i wzywając, by jednak nie traktować Trzeciej Drogi jako zdrajców i agentów PiS rozbijających jedność obozu demokratycznego, tylko przyszłych „uśmiechniętych" koalicjantów.

W podobny sposób może się zachować i w sprawie prezydentury – jeśli ktoś lub coś przekona go, że nie ma szans na wygraną, a może stracić wszystko, to wycofa się w ostatniej chwili i namaści innego kandydata (sądzę, że prędzej Sikorskiego niż Trzaskowskiego). Ale na razie nie daje za wygraną i chwyta się wszystkich sposobów, by klęska żywiołowa nie zaszkodziła jego planom, a jeszcze lepiej – by wyszła im na dobre.

Tak jak słusznie zauważył Żakowski: obóz lewicowo-liberalny nie ma drugiego Tuska – i o to właśnie Tuskowi chodzi, żeby tak zostało.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Prezydent w oblężeniu

Piotr Semka

Skala hejtu wobec prezydenta Andrzeja Dudy przypomina najgorsze okresy zmasowanego ataku mediów liberalnych na prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Prezydent nie ułatwia sobie jednak sytuacji, tolerując polityczne ambicje swoich podwładnych i przepuszczając wiele okazji na trafne punktowanie nadużyć ekipy Donalda Tuska. Mimo to już tylko Andrzej Duda pozostaje barierą przed całkowitym przejęciem wszystkich instytucji przez obóz „demokracji walczącej"

TVP Info, program „Trójkąt polityczny" Aleksandry Pawlickiej i Renaty Grochal z udziałem szefowej Kancelarii Prezydenta Małgorzaty Paprockiej. Pierwsze pytanie brzmi: „Czy prezydent jest memem?". Urzędniczka krótko odpowiada: „Nie", ale nie komentuje aroganckiego pytania dziennikarki. W innym programie TVP Info Dorota Wysocka-Schnepf swymi pytaniami wyraźnie zachęca swego gościa Leszka Millera do ataku na prezydenta. Pyta: „A jak radził sobie [z powodzią] prezydent? [...] Te dożynki najpierw w niedzielę w Pałacu Prezydenckim, później wypowiedź, że nie pojedzie (na tereny zalewowe), żeby nie zakłócać pracy ratowników. W końcu pojechał, widzieliśmy, jak tam sobie radził. Jak pan to ocenia?". Miller odpowiada: „Czuję, że pani chce mnie rozśmieszyć, mówiąc o panu prezydencie i jego aktywności w zwalczaniu powodzi. To jest nieustanny krąg kompromitacji".

W Radiu TOK FM ekspertka, prof. Anna Pacześniak, z emfazą załamuje ręce nad prezydenckim zachowaniem w czasie powodzi: „To fatalne. Dudę trzeba uczyć, czego nie robić".

TO JUŻ BYŁO

Dokładnie tak samo medialnie glanowano prezydenta Lecha Kaczyńskiego w latach 2005–2010. Każdą sprawę, każde wydarzenie przedstawiano jako dowód na nieporadność lub śmieszność głowy państwa. Dobrym przykładem jest kwestia decyzji prezydenta, by nie ruszać zbyt wcześnie na inspekcję terenów powodzi. Można się domyślać, że gdyby gospodarz Belwederu pojechał, wiele liberalnych mediów bez mrugnięcia okiem zaczęłoby się oburzać, że prezydent przeszkadza w akcji ratunkowej, „lansując się na wałach". Ale gdy Andrzej Duda postanowił poczekać chwilę, aż sytuacja się ustabilizuje, natychmiast wykreowano opowieść o „Dudzie, który spóźnił się na powódź". W opinii „Gazety Wyborczej", „Newsweeka" czy Onetu wszystko, co robi głowa państwa, jest do wyśmiania. A przecież niby dlaczego prezydent miał odwoływać tradycyjną uroczystość dożynkową w ogrodach Pałacu Prezydenckiego, skoro odłożył wyjazd na zalany Śląsk aż do czasu zakończenia pierwszej najważniejszej fazy katastrofy?

Dobrym przykładem atakowania prezydenta dosłownie za wszystko jest reakcja na zatrudnienie w urzędzie prezydenckim Beaty Kempy w roli doradcy. „Sieroty po PiS w Kancelarii Prezydenta" – ogłosiła „Gazeta Wyborcza". Przecież prezydent ma prawo współpracować, z kim chce. A dodatkowo niby gdzie mają teraz szansę znaleźć zatrudnienie ludzie związani z PiS? Ta skala nienawiści wobec Andrzeja Dudy nie wynika bynajmniej z jakiegoś agresywnego stylu głowy państwa. Owszem, prezydent mówi otwarcie, co mu się nie podoba w linii politycznej koalicji 13 grudnia, ale czyni to w sposób wyważony i kulturalny.

Jako prawdziwy powód zintensyfikowanej kampanii przeciwko prezydentowi jawi się raczej to, że blokuje on proces przechwycenia wszystkich organów władzy przez ludzi Platformy, Trzeciej Drogi i Lewicy. Dopóki Andrzej Duda urzęduje w Pałacu Prezydenckim, dopóty nie można rozwiązać uchwałą Trybunału Konstytucyjnego, zmienić prezesa Narodowego Banku Polskiego czy zlikwidować Instytutu Pamięci Narodowej. Prezydent zawetował ustawę o mniejszościach narodowych i etnicznych, przez co nie dopuścił do oficjalnego uznania „godki śląskiej" za osobny język regionalny. Za to wszystko bezsilna – na razie – koalicja rewanżuje się agresywną falą hejtu.

Prezydent stawia też ważne pytania o działania nowej ekipy. 19 września, przemawiając w Karpaczu, Andrzej Duda mówił: „Mówienie o walczącej demokracji to usprawiedliwianie łamania konstytucyjnych standardów". Zaznaczył, że zasady praworządności łamane są dziś w Polsce w absolutnie skrajny sposób. Przestrzegł też przed nowymi zjawiskami – brutalizacją życia publicznego, polityczną instrumentalizacją instytucji państwa, kryzysem konstytucyjnym i niepraworządnością motywowaną polityczną zemstą. Jak zaznaczył: „Obywatele z trwogą słuchają słów premiera Donalda Tuska, gdy ten mówi o walczącej demokracji".

eprasa.pl 15389caf8e

Było to bardzo potrzebne przemówienie i dobrze realizowało ono konstytucyjny obowiązek głowy państwa stania na straży praworządności. Tyle że prezydent znalazł się pod ostrym ostrzałem ze strony nowej koalicji w sytuacji chłodnych relacji z szeroko rozumianym obozem prawicy. I to bardzo osłabia jego obecną pozycję.

CO SIĘ DZIEJE W „DUŻYM PAŁACU"?

Relacje na linii Andrzej Duda – kierownictwo PiS są więcej niż chłodne. Na pewno jest to efekt trwającej od paru lat animozji z prezesem Jarosławem Kaczyńskim. Lider największej partii opozycyjnej zafundował zresztą dziennikarzom liberalnych mediów sporą frajdę, komentując wyprawę Andrzeja Dudy na tereny powodziowe jako „przedsięwzięcie o charakterze propagandowym".

Ale głowa państwa też po części przyczyniła się do tych złych relacji. Rzecznik prezydenta i jednocześnie szef jego gabinetu, Marcin Mastalerek, pouczał Jarosława Kaczyńskiego o konieczności odejścia z funkcji prezesa PiS. Potem prezydent tolerował snucie przez Mastalerka wizji startu w wyborach prezydenckich. Sytuacja, w której najbliższy współpracownik głowy państwa pozwala sobie na dywagowanie, że „nie wyklucza startu" w wyścigu o najważniejsze stanowisko w państwie, zadrażniła relacje między pałacem przy Krakowskim Przedmieściu a Nowogrodzką. W całą sprawę z lubością wdały się media liberalne – czy to snując wyssane z palca plotki o sojuszu Mastalerek-Morawiecki, czy też rozkręcając rozważania, czy kandydatem prezydenckim nie mógłby być z błogosławieństwem Andrzeja Dudy Jacek Siewiera, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Zresztą ekspresowa kariera wojskowego lekarza, który bez żadnego politologicznego czy dyplomatycznego doświadczenia objął funkcję szefa BBN, także nie wzmocniła pozycji prezydenta. Gdy w styczniu br., po skandalicznym nalocie policji na Pałac Prezydencki w celu aresztowania Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, wszyscy oczekiwali na jakieś ostre wystąpienie Siewiery, ten zawiódł na całej linii. Ogłosił, jak gdyby nigdy nic, że „procedura zatrzymania Kamińskiego i Wąsika była przeprowadzona w sposób legalny". Jak kpili wówczas politycy PiS, „mając takiego szefa Biura Bezpieczeństwa, można darować sobie ambicje sprawowania jakiejkolwiek kontroli nad własnym Pałacem Prezydenckim".

W tak trudnej sytuacji, w której znajduje się obecnie Andrzej Duda, potrzebny jest bardzo doświadczony sztab współpracowników. A obecny skład kancelarii na kolana nie rzuca

Tak naprawdę PiS od głowy państwa niczego nie potrzebuje, bo jego poparcie dla kandydata Zjednoczonej Prawicy nie ma zbyt dużego waloru politycznego. Krytyczne uwagi padają też w PiS na temat aktualnego personelu kancelarii. Gdy w czerwcu br. swoje stanowisko opuściła szefowa kancelarii Grażyna Ignaczak-Bandych, było to wyraźne osłabienie kancelarii. Jej następczyni – Małgorzata Paprocka – to być może dobry prawnik, ale żaden polityk ani strateg. Sprawami zagranicznymi kieruje jako dyrektor Departamentu Spraw Zagranicznych stosunkowo mało doświadczony urzędnik, Mieszko Pawlak. Szef gabinetu, Marcin Mastalerek, w większym stopniu odstrasza sporą część prawicowego elektoratu od prezydenta, niż pomaga głowie państwa znajdować sojuszników. Mastalerek zachowuje się jak człowiek z wielkimi ambicjami, ale nie zanotował zbyt wielu sukcesów politycznych.

Mocnym punktem oparcia w otoczeniu Andrzeja Dudy jest być może tylko jego wieloletni przyjaciel Wojciech Kolarski. Po bezskutecznym starcie do europarlamentu z list PiS powrócił do Kancelarii Prezydenta i jest solidnym wsparciem dla głowy państwa.

Ale znów, tak jak w wypadku fali krytycznych opinii dotyczących zachowania prezydenta wobec powodzi, nie

eprasa.pl 15389caf8e

Gdy Andrzej Duda postanowił poczekać chwilę, aż sytuacja powodziowa się ustabilizuje, natychmiast wykreowano opowieść o „Dudzie, który spóźnił się na powódź" FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP

najszczęśliwszy przebieg spekulacji wokół spotkania w USA w „polskiej Częstochowie" w Pensylwanii był też w dużej mierze efektem szumu medialnego, a nie realnych przewin prezydenta. Z rozmów z przedstawicielami kancelarii wynika, że zaproszenie na odsłonięcie patriotycznego pomnika w Doylestown przyszło do kancelarii i zostało akceptowane wiele miesięcy temu, co skojarzono z planowanym przez prezydenta uczestnictwem we wrześniowej sesji plenarnej ONZ w Nowym Jorku. Wiadomość o wizycie prezydenta Dudy w „polskiej Częstochowie" dotarła do sztabu Donalda Trumpa i na pewnym etapie uznano tam, że spotkanie kandydata republikanów z polskim prezydentem może pomóc zdobyć bardzo potrzebne Trumpowi głosy wyborców z polskimi korzeniami. Czy prezydent mógł się uchylać od możliwości takiego spotkania? Bardzo wielu komentatorów grzmiało potem, że takie spotkanie byłoby zaangażowaniem w amerykańską kampanię. Gdyby jednak to jakiś prezydent z Platformy był w czasie kampanii USA i miał szansę spotkać się z Kamalą Harris – na pewno by to zrobił i ubrano by to oczywiście w kostium okazji załatwienia dla Polski jakichś ważnych spraw.

Pechowo dla Andrzeja Dudy Trump, być może z racji wymogów bezpieczeństwa, wycofał się ze spotkania. Ale sprawę media proplatformerskie z lubością wykorzystały do ośmieszenia prezydenta.

W tak trudnej sytuacji, w której znajduje się obecnie Andrzej Duda, stykający się z totalną nienawiścią ze strony obecnej koalicji, do przeprowadzania prezydenta przez takie pole minowe potrzebny jest bardzo doświadczony sztab współpracowników. A obecny skład kancelarii na kolana nie rzuca.

NA WZBURZONYCH WODACH

Niełatwa jesień, pełna zagadek zima i wiosna w cieniu kampanii – tak przedstawia się polityczna mapa drogowa obecnej głowy państwa na najbliższe dziewięć miesięcy.

Prezydent miewa cenne pomysły, tyle że nie przebijają się one do mediów. To on zarządził ostatnio przegląd budżetu kancelarii i wygospodarowanie 3 mln zł na bezpośrednią pomoc ofiarom powodzi. Jego poprzednicy, np. Aleksander Kwaśniewski, w czasie powodzi w 1997 r. nie zdobyli się na taki gest. Tak samo bez większych ceregieli prezydent rozkazał, żeby swoją rezydencję w Wiśle przeznaczyć na potrzeby dzieci powodzian. Tylko kto o tym wie? Gesty te w małym stopniu przedostały się do świadomości społecznej.

W sytuacji coraz wyraźniejszego łamania prawa i przypadków krzywdy społecznej wynikającej z polityki odwetu aparatu państwowego kancelaria prezydencka mogłaby stać się miejscem dyskusji nad sposobami reagowania na łamanie demokracji i przekraczanie prawa przez ekipę Donalda Tuska. Prezydent mógłby być też rzecznikiem sprzeciwu wobec ograniczania praw ludzi wierzących, choćby zapraszając np. katechetów do Pałacu Prezydenckiego i wysłuchując ich wzburzenia na to, jak traktowani są przez Ministerstwo Edukacji pod wodzą Barbary Nowackiej. Mógłby również podjąć polemikę z narzucaniem przez ekipę Tuska wojującego „opiłowywania katolików". Przyjąć formułę prezydenta, który prowadzi monitoring wszystkiego tego, co w działaniach obecnego rządu jest działaniem na granicy prawa lub demonstracją arogancji władzy.

Do tego wymagany jest jednak polityczny zespół, który potrafi budować sojusze ponad podziałami i umie ściągać do kancelarii ludzi, którzy oburzeni są stylem działania nowej koalicji.

Prezydent ma przed sobą jeszcze ok. ośmiu miesięcy pełnienia funkcji głowy państwa. Owszem, nie ma realnych narzędzi zatrzymywania procesu unifikacji państwa ze strony Donalda Tuska, ale ma swobodę nagłaśniania tego, co uważa za łamanie prawa. Może budować front obywatelskiego sprzeciwu i moralnego wsparcia dla osób, które stają się ofiarami czystek. Każda końcówka kadencji prezydenckiej jest okazją do dania świadectwa i zademonstrowania swoich poglądów. Prezydent ma szansę skorzystać z tej okazji. Pytanie: Czy jeszcze znajdzie pomysł na to, jak to robić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Wyjść poza zaprzaństwo i głupotę

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady Rozwoju Wsi i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Został pan udziałowcem nowego projektu politycznego, który ma na celu integrację różnych środowisk prawicowych. Czy to oznacza, że zrezygnował pan z zamiaru założenia własnej partii politycznej, co zapowiadał pan kilka miesięcy temu po odejściu z PiS?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Sprawa jest bardziej złożona. Prawica organizuje się na różne sposoby. Sporo małych partii politycznych – takich jak Federacja dla Rzeczypospolitej Marka Jakubiaka, Kukiz'15, której liderem jest obecnie Jarosław Sachajko, Stowarzyszenie Ruch Obrony Polaków Witolda Gadowskiego czy ugrupowanie zainicjowane przez Ruch Kontroli Wyborów Marcina Dybowskiego o nazwie Wolność i Dobrobyt, do którego zostałem zaproszony – się integruje. Te nowe próby organizowania się polskiej prawicy dają jakąś nadzieję, że wyjdzie ona z matni, w którą została wpędzona polityką PiS. Polityką wobec prawicy, która w konsekwencji doprowadziła do przegranej w wyborach.

Gra idzie o wielką stawkę, bo jeśli środowiska konserwatywne, patriotyczne, niepodległościowe czy odwołujące się do tradycji narodowej i chrześcijańskiej chcą liczyć się w krajowej polityce, chcą mieć możliwość walki w wyborach o odzyskanie władzy i zatrzymanie procesu niszczenia państwa dokonującego się rękoma obecnie rządzącej koalicji Donalda Tuska, to muszą doprowadzić do skutecznej integracji szerokiego spektrum środowisk prawicowych.

A co z PiS? Można mówić, że Kaczyńskiemu partia się rozłazi w rękach, ale obiektywnie to wciąż najsilniejsze instytucjonalnie ugrupowanie po prawej stronie sceny politycznej. Czy wchodzi w grę alians z PiS wszystkich tych grup i środowisk prawicowych, o których pan mówi?

Owszem, PiS jest największą opozycyjną partią prawicową, ale z powodu swojej postawy stracił szansę na bycie integratorem prawicy. Mówię to ze smutkiem, bo wspierałem tę formację przez większą część swojego dorosłego życia. Doszedłem jednak do wniosku, że PiS uwikłał się w wewnętrzne problemy wynikające z coraz bardziej nielogicznego zachowania Jarosława Kaczyńskiego, traktującego partię jak swoją własność, oraz działań dworu pochlebców izolujących go od realnego życia. Ale cóż powiedzieć – ten dwór wybrał sobie sam Kaczyński. W efekcie PiS nie ma w tym momencie zdolności

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 15389caf8e

przyciągania innych środowisk prawicowych. Jest formacją, która, jak sądzę, będzie istniała na naszej scenie politycznej jeszcze jakiś czas, ale ze zmniejszającym się poparciem, co będzie prostym następstwem tego, że starsze roczniki sympatyków PiS będą odchodziły do lepszego ze światów, a młodzi o tej partii nie chcą słyszeć. W tej chwili zdolność integracyjna czy koalicyjna tej partii jest żadna.

Jarosław Kaczyński jest obecnie obciążeniem dla PiS. Między innymi to jego osoba powoduje, że różne środowiska konserwatywne nie chcą współpracować z Prawem i Sprawiedliwością. Różne środowiska prawicowe oczekiwały jakiegoś uczciwego ruchu ze strony PiS. Chciałbym wierzyć, że planowany wkrótce kongres tej partii nie przyniesie tylko pozornych, wizerunkowych zmian. Nie stworzy wrażenia, że wszystko się zmieniło, żeby nie zmieniło się nic.

Sytuacja na prawej stronie polskiej sceny politycznej zmieniła się jednak zasadniczo. Supremacja PiS to już przeszłość. Mocną pozycję wywalczyła sobie na niej Konfederacja. Jak inicjatywa integrująca środowiska prawicowe, w której pan uczestniczy, nastawia się do konfederatów?

Nastawienie do Konfederacji jest życzliwe, choć dostrzegamy w niej wewnętrzne podziały i konflikty. To są trzy oddzielne partie, które połączyły się z powodów praktycznych, związanych z przekroczeniem progu wyborczego i utworzeniem klubu parlamentarnego. Uważam, że na scenie politycznej wciąż jest duża przestrzeń dla wyborców o poglądach konserwatywnych i niepodległościowych, deklarujących szacunek dla tradycji patriotycznych i chrześcijańskich, którzy nie chcą głosować na PiS, rozczarowani błędami partii Kaczyńskiego. Ale są to również ludzie, którzy z różnych powodów nie poprą Konfederacji.

Jeżeli polską prawicę reprezentował będzie tylko PiS, który uważa, że mu się to należy z powodu jakichś historycznych zaszłości, albo Konfederacja atakująca PiS i odżegnująca się od jakichkolwiek rozmów z partią Kaczyńskiego, to sprawi, że oddamy Polskę walkowerem liberalno-lewicowej koalicji Tuska. Wtedy pretensje będziemy mogli mieć tylko do siebie.

Nie obawia się pan, że inicjatywa, którą pan współtworzy, skończy się wielką awanturą, jak to już w przeszłości na prawicy bywało – że przypomnę sławetny Konwent Świętej Katarzyny? Przerośnięte ambicje liderów spowodują, że prędzej czy później wezmą się za łby...

Pamiętam dobrze historię, którą pan przywołał. Wiem też, jak silny jest stereotyp o wyjątkowej kłótliwości liderów prawicy czy przekonaniu każdego z nich, że jest Napoleonem albo że nosi w tornistrze buławę marszałkowską. Tego rodzaju zachowania niestety też dostrzegłem w czasie rozmów związanych z tym nowym prawicowym projektem, a przeprowadziłem tych rozmów dziesiątki.

Mimo wszystko wydaje mi się, że jest jednak pewna nowa jakość. Pojawiła się refleksja związana z tym, że Polska jest w sytuacji absolutnego zakrętu historycznego. Powaga sytuacji wymaga wzniesienia się ponad własne ambicje czy rozdęte ego. Mam nadzieję, że tym razem racjonalne podejście weźmie górę, choć pewności nie mam.

Również jeżeli chodzi o tworzenie nowej formacji politycznej, to czas zerwać z metodą, która przez całe lata była powielana na prawicy. Nie chcę tworzyć nowych bytów politycznych, zaczynając od góry, czyli tworząc partię, która dopiero wtedy ruszyłaby w tzw. teren. Nasz projekt ma zasadzać się na działaniu oddolnym. Trzeba zebrać ludzi, ustalić, ilu nas jest, jaki mamy wspólny mianownik, i dopiero wtedy, przyjmując za punkt odniesienia kalendarz wyborczy, powołać partię, która będzie miała charakter politycznego parasola. To odniesienie wprost do idei republikańskiej w Stanach Zjednoczonych. To Ronald Reagan mawiał, że Partia Republikańska stanowi wielki wigwam, pod którym jest miejsce dla różnych środowisk prawicowych. Nie chodzi o to, że ktoś zdominował innych, narzucił im swoją wolę, że np. ruch Gadowskiego wchłonie ruch Jakubiaka albo odwrotnie. To głupie myślenie, które powodowało, że tego rodzaju inicjatywy prędzej czy później się rozpadały. Impuls ma iść od dołu. W ten sposób powinni zostać wyłonieni liderzy. Budowanie ugrupowania, opierając się na posłach, których pierwszym pytaniem jest: „Jaką dasz mi gwarancję, że będę posłem z listy twojej partii?", nie ma sensu. Zależy mi na kreowaniu nowych liderów w polskiej polityce – dość obracania się przez lata w tym samym grajdołku.

Czy to nie czysta donkiszoteria? Jest pan w polskiej polityce od lat i doskonale pan wie, że to po prostu nie zadziała, bo „taki mamy w Polsce klimat".

Chcę mieć czyste sumienie również wobec siebie. Bo jeżeli nie podejmiemy takiej próby, to będziemy mogli tylko powiedzieć: „Miałeś chamie złoty róg", a nie spróbowałeś. Uważam, że to, co już się dzieje – czyli integracja środowisk prawicowych, które do tej pory ze sobą nie współpracowały, a teraz zdeklarowały jednoznacznie, że chcą tworzyć kompleksowy program naprawy państwa, w szczególności dotyczący rozwoju gospodarczego Polski, przedsiębiorczości, pokazania, jak państwo chce wspierać polskich przedsiębiorców, ratowania rolnictwa, które jest w tej chwili w stanie największego zagrożenia – to duża rzecz.

W przygotowanie programu dla wsi nowej centroprawicowej formacji zaangażowali się przedstawiciele rolniczej Solidarności, Samoobrony, nowi liderzy wyłonieni podczas rolniczych protestów. Tego wcześniej nie było. Widzę w ludziach nową energię. Nie możemy tego zmarnować. Wydaje mi się, że pierwszym krokiem powinno być wyłonienie wspólnego kandydata prawicy na prezydenta.

Wydaje się to mało prawdopodobnym scenariuszem.

Pierwszy ruch powinien należeć do PiS. Wszyscy godzimy się na to, że największa partia opozycyjna powinna rozpocząć proces wyłaniania kandydata, ale nie może to być królik wyciągnięty z kapelusza w ostatniej chwili, którego namaści pan prezes Kaczyński.

Czyli nie ma zgody na wariant Duda 2.0?

Andrzej Duda jest człowiekiem mocno związanym ze środowiskiem prawicowym. Jeżeli jednak panu prezesowi Kaczyńskiemu wydaje się, że prezydent ma być chłopcem na posyłki lidera partii, to znaczy, że nie rozumie mechanizmów demokracji. PiS powinien zaprezentować kilku kandydatów, spośród których wyłoniony zostałby kandydat o profilu wykraczającym poza format partyjny, kandydat do zaakceptowania przez całą prawicę. To byłby pewien gest. Czy uda się wyjść poza zaprzaństwo i głupotę? Czy prawica wyciągnie właściwe wnioski? Modlę się o to.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Muzeum Uśmiechniętej Polski

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Autor musicalu o przemianach ustrojowych 1989 r., propagator teorii o powszechnym, zakorzenionym w Polakach antysemityzmie i zwolennik równych praw dla LGBT. Marcin Napiórkowski został nowym dyrektorem Muzeum Historii Polski

Marcin Napiórkowski pokieruje Muzeum Historii Polski, kluczową placówką kultury utworzoną wieloletnim wysiłkiem ludzi z różnych opcji politycznych FOT. GRZEGORZ MOMOT/PAP

W gabinecie Lecha Wałęsy między Piłsudskim a Janem Pawłem II wisi »Ostatnia Wieczerza«, na której sam Wałęsa jest Chrystusem. Jarosław Kaczyński, oczywiście, przedstawiony jest jako Judasz. Serio! Były prezydent okazał się fascynującym, bardzo wymagającym rozmówcą. Mimo przewagi liczebnej 3:1 po godzinie trzeba nas było zdrapywać z podłogi. Ale warto było. Wymarzony materiał do naszego musicalu!" – zachwycał się w jednym z facebookowych wpisów Napiórkowski, który zastępuje pełniącego dotychczas funkcję szefa MHP Robert Kostrę.

Musical „1989" miał premierę w maju. Marcin Napiórkowski, jako współtwórca scenariusza, przedstawił widzowi nieco szaloną, kolorową, ekscentryczną, ale pozytywną w wydźwięku wizję zmiany ustrojowej. Wystarczy wskazać, że wydarzenia przedstawiono oczami trzech małżeństw: Frasyniuków, Wałęsów i Kuroniów. – Kiedy przyszli aresztować Lecha Wałęsę, w telewizji leciał „Zorro" – tak twierdzi pani Danuta Wałęsa. Lech Wałęsa jest przekonany natomiast, że to był melodramat „Tylko anioły mają skrzydła". I na ten temat się posprzeczali! Pewne jest jedno, że coś ważnego wydarzyło się właśnie wtedy, kiedy wspólnie oglądali telewizję! Więc jest to też jakaś piękna podróż w czasie i klamra – mówił z ekscytacją Napiórkowski.

CHWALI PIS, CHWALI PO

Marcin Napiórkowski jest semiotykiem kultury, specjalizującym się w temacie mitologii współczesnej, pamięci zbiorowej i kultury popularnej. Trzydziestodziewięciolatek wykłada w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Jest jednym z najmłodszych profesorów uczelnianych UW. Publikował w „Tygodniku Powszechnym", „Krytyce Politycznej", „Więzi", „Znaku" i „Gazecie Wyborczej". Prowadzi bloga „Mitologia Współczesna".

Badający narracje polityczne publicysta ma na swoim koncie wypowiedzi, w których kreuje się na człowieka spoza głównego konfliktu politycznego. „Ja chciałbym świata, w którym nawet Roman Giertych – ciężko mi to przez gardło przechodzi, ale niech będzie – zasiada z Barbarą Nowacką albo Frankiem Sterczewskim i rozmawiają o możliwych rozwiązaniach kluczowych problemów. Na tym polega demokracja. I nie widzę możliwości innego rozstrzygania sporów niż poprzez rozmowę i tworzenie zdrowej platformy do tej rozmowy" – przekonywał w wywiadzie udzielonym tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r.

Pochwalił PiS za fakt realizacji programu wyborczego, wskazując jednocześnie, że program ten był z samego założenia zły. „PiS dotrzymał większości kampanijnych obietnic. Miał całościową wizję Polski otoczonej murem, która rozpoznaje to, co na zewnątrz, w tym Zachód, jako zagrożenie, i podejmuje kroki, by się obronić. To, jak PiS zmieniał edukację i naukę, prokuraturę, media, jak przejął kontrolę nad spółkami Skarbu Państwa, było realizacją tych obietnic. Możemy się nie zgadzać z kierunkiem, w którym ta zmiana idzie, ja np. się nie zgadzam, ale to pokazuje, że można było mieć program i ten program realizować" – zaznaczył profesor UW.

eprasa.pl 15389caf8e

Z kolei PO to w opinii Napiórkowskiego „partia sukcesu": „PO też miała ciekawą propozycję: Polskę idącą do przodu, bez kompleksów, Polskę, która mierzona jest miarą swoich sukcesów".

Chociaż badacz twierdzi, że bez poważnej dyskusji nie przeprowadzimy dobrych zmian, np. w mediach publicznych, to są kwestie, w których rysuje podział ciemnogród – oświeceni. Taką sprawą jest np. LGBT. „Kwestia LGBT to w ogóle nie powinien być temat do dyskusji. Rozsądni ludzie nie powinni się spierać o to, czy Ziemia jest kulista, a mniejszości seksualne są takimi samymi ludźmi jak cała reszta. Po prostu przyznajmy im równe prawa i zajmijmy się wreszcie prawdziwymi wyzwaniami, gdzie pytania są trudne, odpowiedzi niejednoznaczne, a zegar tyka" – apelował.

NARODOWA TERAPIA W MHP?

Marcin Napiórkowski pokieruje kluczową placówką kultury. Muzeum Historii Polski, utworzone wieloletnim wysiłkiem ludzi z różnych opcji politycznych, oddane do użytku jesienią ubiegłego roku, to projekt wielki, ambitny i potrzebny. Po zaprezentowaniu widzom dwóch wystaw czasowych trwają prace nad wystawą stałą. Jak na jej kształt wpłyną poglądy nowego szefa? Do refleksji niech posłużą cytaty z niego samego. „Historia to zawsze będzie teren, na którym najlepiej czują się konserwatyści. Siły progresywne nie powinny jej lekceważyć, ale jeżeli chcą wygrać, to muszą przede wszystkim przekonać opinię publiczną, że przyszłość jest ważniejsza od przeszłości" – przekonywał w wywiadzie z 2021 r. Twierdził, że trzy wizje historii – konserwatywna, liberalna i lewicowa – nie wykluczają się, choć ta pierwsza nie powinna dominować. „Wszystkie trzy opowieści są prawdziwe, wszystkie trzy są ciekawe, wszystkie są warte opowiedzenia. O ile dotąd wyraźnie dominująca była ta pierwsza, o tyle teraz obserwujemy przywracanie równowagi, które często wzbudza zaniepokojenie konserwatystów. W mojej ocenie – niesłusznie" – wskazał.

Więcej dowiadujemy się z rozmowy opublikowanej na łamach „Newsweeka", gdzie Napiórkowski omawiał raport Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN (odpowiadał za analizę w badaniach i redakcję). „Kogo widzą Polacy, kiedy widzą Żyda?" – takie pytanie postawili autorzy raportu, chcąc sprawdzić, jaki dominujący obraz Żyda obowiązuje w polskiej świadomości zbiorowej. Z góry założono, że wnioski będą – dla Polaków – negatywne. I były. „Celem nie było badanie stricte antysemityzmu, a jego podwalin" – podano. Badacz dowodzi, że antysemityzm to nie tylko powszechna nad Wisłą nienawiść do Żydów, lecz także generalnie do inności. – Przez lata w Polsce stał się uniwersalnym kodem dla naszych lęków, nienawiści, manipulacji. Istnieje niezależnie od tego, ilu Żydów jest dookoła nas. Z naszych badań wynika, że myśląc o „innych" czy „obcych", domyślnie często operujemy kalkami pochodzącymi z antysemickich stereotypów. Możemy sobie tego nie uświadamiać, ale mózgi nam je podpowiadają. Antysemityzm, poprzez insynuowanie „żydowskiego spisku", stał się siłą napędową ruchu antyszczepionkowego – z jego pomocą ludzie zostali wciągnięci w teorie spiskowe na temat pandemii. Zadziałał jak taki „gateway drug" – używka, która prowadzi do zażywania coraz cięższych narkotyków – przekonywał nowy dyrektor MHP.

Według Marcina Napiórkowskiego polski antysemityzm jest „nieuświadomiony"

Do tego worka pełnego rzekomych polskich uprzedzeń Napiórkowski dorzuca Ukraińców. – Gdy zarzuciliśmy sieć naszych poszukiwań szerzej – sprawdzając antysemickie określenia dotyczące „pasożytowania" czy „niewdzięczności" – okazało się, że są one jeden do jednego powtarzane w kierunku migrantów z Ukrainy. Antysemityzm jest kluczowym kodem, który wyłącza nam mechanizmy bezpieczeństwa. Jeśli nie chcemy być podatni na propagandę, to musimy zrozumieć, jak silnie na nas oddziałuje – zaznacza.

Według badacza polski antysemityzm jest „nieuświadomiony". To dodatkowy problem, bo „w jego przypadku spotkanie i rozmowa z osobami z grupy dyskryminowanej mogą być niewystarczające, by go obalić". Czy Marcin Napiórkowski będzie chciał zastosować narodową terapię z antysemityzmu poprzez Muzeum Historii Polski? To się okaże.

ZAPACH KSENOFOBII

Pewne i znane są za to jego zapatrywania na ruchy patriotyczno-narodowe. Wydaje się, że dla wykładowcy UW jedyny akceptowalny konserwatyzm to ten spod szyldu obecnej Trzeciej Drogi. Wszystko, co na prawo, pachnie ksenofobią, jest podejrzane. W książce „Turbopatriotyzm" Napiórkowski tak opisuje agendę ideową polskiej prawicy: „Według Ruchu Narodowego, ale też PiS i sporej części Kościoła katolickiego, naszej tożsamości zagraża rozpuszczenie w obcej, bezkształtnej masie, którą – w zależności od bieżących potrzeb – symbolizować mogą uchodźcy, neomarksiści, europejska biurokracja albo »ideologie« gender czy LGBT. To nie przypadek, że mowa tu o »ideologiach«, a nie o ludziach. W turbopatriotycznym obrazie świata najważniejsze jest właśnie odebranie wrogowi twarzy, uczynienie go amorficzną masą symbolizującą brud, rozkład i zgniliznę".

Mamy więc ludzi nieświadomych, bojących się inności. „Wróg jest chorobą. Zarazą, którą trzeba wyplenić. Takiego przeciwnika nie trzeba zrozumieć, nie da się go przekonać do swoich racji. Można go tylko pokonać – stawić czoła, postawić tamę, dać odpór. Bo osoba patrząca na świat przez te specyficzne okulary czuje się ofiarą ataku (inwazji, najazdu, zalewu czy deprawacji) nawet wówczas, gdy dyskryminuje, wyzywa albo rzuca kamieniami" – przekonuje autor „Turbopatriotyzmu".

Napiórkowski w książce wydanej w 2019 r. przyznaje co prawda, że PiS to jeszcze nie faszyści, ale partia ta wcale nie jest od faszyzmu daleka. „Model świata jako walki opancerzonego ładu z amorficznym chaosem – trzeba to powiedzieć jasno – nawiązuje wprost do najgorszych historycznych wzorców. Warto mieć tego świadomość, po którejkolwiek stronie politycznej barykady akurat się znalazło" – ostrzegał tuż przed kolejnym zwycięstwem formacji Jarosława Kaczyńskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Śrem, czyli multi-kulti już tu jest

Kacper Kita

Polscy politycy zarzekali się, że nie przyjmą żadnych narzucanych nam migrantów. Jednak w praktyce nasz kraj idzie w ślady Francji, Szwecji czy Wielkiej Brytanii. Skutki tego już widać

Na plaży nad jeziorem w Śremie 7 września późnym wieczorem doszło do brutalnego ataku pięciu obcokrajowców na dwóch Polaków. Czterech Kolumbijczyków i Argentyńczyk używali nie tylko pięści i kopniaków, lecz także noży i rozbitych butelek. Ofiary trafiły do szpitala. Jeden z ciężko rannych Polaków ma przekłutą tętnicę. Jak podał wielkopolski działacz Ruchu Narodowego Ziemowit Przebitkowski, który powołał się na pracownicę miejscowego szpitala, był to już ósmy raz, gdy na śremski SOR trafił ktoś z ranami kłutymi twierdzący, że zadali mu je cudzoziemcy.

Filmik pokazujący szokującą przemoc ze strony grupy imigrantów szybko obiegł Internet. W kolejnych dniach w Śremie oraz pobliskich Środzie Wielkopolskiej, Kórniku i Zaniemyślu pojawiły się stworzone ad hoc patrole obywatelskie. Organizatorzy tłumaczyli, że nie czują się bezpiecznie, więc chcą wziąć sprawy w swoje ręce i odstraszyć potencjalnych agresorów od kolejnych napaści na Polaków. Przy maszerujących szybko pojawiła się policja, a funkcjonariusze przekonywali, że tego typu inicjatywy nie są potrzebne. Jak podał serwis O2.pl, „policjanci kontrolowali, czy przemarsz nie doprowadzi do eskalacji konfliktu na tle narodowościowym".

Szczęśliwie marsze przeszły pokojowo. Organizatorzy wezwali uczestników do szacunku wobec funkcjonariuszy. Daleko nam jeszcze do scen z Wielkiej Brytanii, gdzie policjanci są bardziej zainteresowani ściganiem domniemanego rasizmu niż ochroną bezpieczeństwa Brytyjczyków i potrafią latami ignorować doniesienia o gwałtach gangów Pakistańczyków na miejscowych dziewczynkach (jak w Rotherham i nie tylko), a mogą aresztować za modlenie się w myślach pod kliniką aborcyjną.

Patrole obywatelskie pojawiły się jednak u nas, podobnie jak w wielu krajach zachodnich, bo mieszkańcy utracili przekonanie, że państwo realizuje swój podstawowy obowiązek, zapewniając im bezpieczeństwo. Pretensje mogą mieć zaś nie tyle do policji, ile do rządu – bo to rząd decyduje, kogo i w jakich liczbach wpuszcza do Polski.

PRZEŚNIONA REWOLUCJA?

Najprostszym sposobem na to, by nie doszło do eskalacji konfliktu na tle narodo-

eprasa.pl 15389caf8e

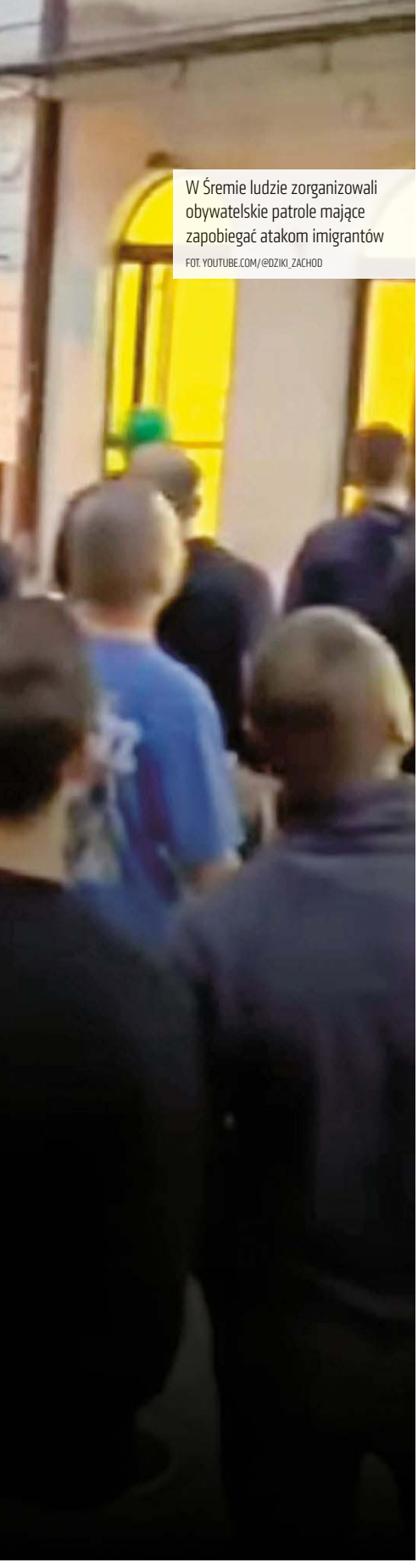

W Śremie ludzie zorganizowali obywatelskie patrole mające zapobiegać atakom imigrantów
FOT. YOUTUBE.COM/@DZIKI_ZACHOD

wościowym, którego obawiali się policjanci, byłoby unikanie osiedlania w Polsce dużych grup przedstawicieli innych narodów. Jeszcze 10 lat temu byliśmy krajem praktycznie jednolitym narodowościowo i kulturowo. Żaden polityk nigdy nie zapytał Polaków, czy chcą to zmienić. Żadna partia nie umieściła w swoim programie otwarcia Polski na imigrację i nie próbowała uargumentować takiej propozycji. Żaden rząd nie ogłosił: „Od dziś będziemy osiedlać w Polsce takich a takich imigrantów w takich a takich liczbach. Tylu weźmiemy z Ukrainy, tylu z Pakistanu, tylu z Kolumbii". Przeciwnie – w 2015 r. wybory wygrała partia mająca na sztandarach ochronę Polski przed konsekwencjami imigracji. Strasząca w kampanii no-go zone w Europie Zachodniej, islamem i multi-kulti.

Polska za rządów PiS stała się liderem Unii Europejskiej pod względem liczby przyjmowanych migrantów

Rządzący Polską sami z siebie uznali jednak, że warto zachować się dokładnie tak, jak kiedyś rządzący Francją, Szwecją czy Wielką Brytanią. Zacząć na dużą skalę sprowadzać imigrantów zarobkowych, stawiając społeczeństwo przed faktem dokonanym. Polska za rządów PiS stała się liderem UE pod względem liczby przyjmowanych imigrantów.

Francuzów czy Brytyjczyków nikt nigdy nie zapytał wprost, czy chcą osiedlić u siebie miliony muzułmanów lub hindusów albo czy chcą przestać być społeczeństwami homogenicznymi. Nie było w tej sprawie referendum. Nie było też wyborów, w których zwyciężyłby ktoś mający na sztandarach otwieranie się na masową imigrację. Przeciwnie – politycy często w kampanii wznosili patriotyczne hasła i deklarowali, że ograniczą imigrację. Jacques Chirac w opozycji potrafił mówić o „brzydkim zapachu" muzułmanów, którego „mają dość francuscy robotnicy". Gdy już został prezydentem, otwierał kraj na imigrantów jeszcze bardziej niż lewica.

W Polsce przechodzimy ten sam schemat. Najpierw udawanie, że imigrantów wcale nie ma albo że przyjechali tylko tymczasowo. Potem twierdzenie, że mleko się rozlało, wobec czego Polacy muszą się dostosować – inaczej wystąpi „konflikt na tle narodowościowym". Trzeba zatem poddać Polaków inżynierii społecznej i wmówić im, że chęć posiadania własnego kraju to rasizm, a Polska tak naprawdę nigdy nie była jednolita.

NIE TYLKO MUZUŁMANIE

Historia ze Śremu nie jest odosobniona. Ledwie kilka tygodni wcześniej pod Warszawą 20-letnia Polka została zgwałcona zbiorowo przez sześciu Kolumbijczyków. W czerwcu Kolumbijczyk dźgnął nożem Argentyńczyka w Poznaniu (przemoc między różnymi grupami imigrantów przenoszącymi swoje konflikty na europejskie ulice to kolejna konsekwencja polityki otwartych drzwi). W lutym „Rzeczpospolita" informowała, że aż co 10. Gruzin w Polsce to przestępca. Obywateli tego kraju jest w Polsce 26 tys., z czego 2714 popełniło w 2023 r. przestępstwa. Ponad 40 proc. z nich to kradzieże, ale Gruzini często także jeżdżą pod wpływem alkoholu, handlują narkotykami i dokonują włamań. Warto zwrócić uwagę, że wszyscy wyżej wymienieni Gruzini i Kolumbijczycy to legalni imigranci, których do Polski sprowadził suwerennie polski rząd – nie Komisja Europejska. Jedni i drudzy pochodzą z krajów, które teoretycznie moglibyśmy uznać za nie aż tak odległe kulturowo, bo chrześcijańskie.

Konsekwencje dało się przewidzieć. Kolumbia to od lat jeden z krajów z najwyższym odsetkiem morderstw na mieszkańca na świecie. W 2022 r. szansa na bycie zabitym była tam aż 37 razy wyższa niż w Polsce! Nie jest to wiedza tajemna – wyszukanie w Internecie informacji o poziomie przestępczości w Kolumbii zajmuje 30 sekund. Jednak politycy decydujący przez ostatnie lata o tym, kogo wpuszczać do Polski, albo się tym nie zainteresowali, albo to zignorowali. W 2015 r. zezwolenie na pobyt w naszym kraju posiadało ledwie 96 Kolumbijczyków. Obecnie to 2090 – 22-krotny wzrost. Jeśli nie będzie oporu społecznego, to można spodziewać się dalszego wzrostu. Gruzinów w 2015 r. było w Polsce tylko 567. Przez dwie kadencje rządów PiS nastąpił jednak 46-krotny wzrost.

Przerażające jest przy tym, że prawdopodobnie nie było żadnej poważnej

eprasa.pl 15389caf8e

selekcji. Gdyby chociaż było prawdą, że sprowadzano tylko Ukraińców i Białorusinów, beztrosko uznając ich za bliskich kulturowo, albo samych Gruzinów i Kolumbijczyków, uznając naiwnie, że to przecież chrześcijanie. Tymczasem nie mieliśmy nawet tego. Do Polski ściągano także Hindusów (dziś są ich 23 tys., ośmiokrotny wzrost za rządów PiS) oraz imigrantów z krajów muzułmańskich, takich jak Turcja, Uzbekistan, Azerbejdżan, Bangladesz, Indonezja, Tadżykistan, Turkmenistan, Egipt, Pakistan, Albania, Algieria, Afganistan, Irak czy Iran. Łącznie wymienionych mamy już ponad 51 tys. To 10-krotny wzrost w porównaniu z 2015 r., gdy PiS obejmował władzę, oraz 19-krotny wzrost w porównaniu z 2010 r.

Dokładnie rok temu („Do Rzeczy" z 18 września 2023 r.) opisywałem sondaż przeprowadzony na zlecenie Fundacji Niezależny Zespół Badawczy i portal Nowy Ład. Zgodnie z nim aż 90 proc. Polaków nie chce imigracji z krajów muzułmańskich, 86 proc. z Indii, 84 proc. z Kaukazu (czyli np. Gruzji), 82 proc. z Ameryki Południowej (czyli np. Kolumbii). Podobne odpowiedzi padały niezależnie od wieku, wykształcenia czy sympatii politycznych. Zaledwie 13 proc. zgodziło się ze zdaniem, że „zaspokajanie braków na rynku pracy poprzez imigrację" to kierunek w rozwoju demograficznym, który powinna przyjąć Polska. 48 proc. wolałoby „inwestycje w innowacje i automatyzację pracy", a 39 proc. „przeznaczanie dużych środków na zachęcanie Polaków do posiadania dzieci i wspieranie polskich rodzin wielodzietnych".

PAKT, KTÓRY ODWRACA UWAGĘ

Wówczas byliśmy miesiąc od wyborów do Sejmu. W kampanii imigracja odgrywała dużą rolę. Ówczesny rząd zorganizował nawet referendum w sprawie paktu migracyjnego, którego przyjęciu przez UE – słusznie – się sprzeciwiał.

Niektórzy tłumaczyli nawet, że atak w Śremie to wina Polaków, którzy w niewystarczającej liczbie zagłosowali w referendum 15 października. Problem polega na tym, że jedno nie ma z drugim nic wspólnego. Skupienie uwagi publicznej na pakcie migracyjnym pomagało rządzącym wówczas w przykryciu faktu, że do Polski już wpuszczono tysiące imigrantów bez informowania o tym Polaków. Za no-go zone w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Szwecji nie odpowiada Unia Europejska, ale przede wszystkim rządy narodowe, które same sprowadzały imigrantów na własne terytoria. Łudzono się korzyściami gospodarczymi, realizowano interesy lobby chcących taniej siły roboczej (prawica), chciano importować sobie wyborców (lewica), później często także ulegano presji ideologicznej. Nigdzie nie udało się uniknąć tworzenia się grup nacisku, które uzyskiwałyby dla siebie zasiłki socjalne i korzyści polityczne.

Legalni imigranci zarobkowi bynajmniej nie są bezproblemowi – co wszyscy widzieliśmy niestety m.in. w Śremie

Legalność jest drugorzędna, tym bardziej że to kategoria płynna – każdego nielegalnego imigranta można zalegalizować. Także wielu nielegalnych to byli legalni, którzy bynajmniej nie wracają do siebie po upływie terminu ważności wizy albo np. przyjeżdżają na wizach studenckich, a potem wcale nie pojawiają się na uczelni.

Przede wszystkim zaś legalni imigranci zarobkowi bynajmniej nie są bezproblemowi – co widzieliśmy niestety m.in. w Śremie. Największych islamskich zamachów terrorystycznych we Francji dokonywali obywatele francuscy – potomkowie legalnych imigrantów.

Gdy PiS stracił władzę, wielu nagle odkryło, że w największych polskich miastach jest mnóstwo imigrantów. Niektórzy próbują wmawiać Polakom, że wszyscy egzotycznie wyglądający mieszkańcy pojawili się po 13 grudnia 2023 r. lub że PiS sprowadzał wyłącznie imigrantów wspaniałych, zweryfikowanych i pracowitych, a każdy problematyczny został na pewno podrzucony przez Niemców. To niebezpieczne chowanie głowy w piasek.

NAJWIĘKSZE TABU?

Politycy PiS potrafili przez ostatni rok krytykować publicznie rozmaite działania swojego rządu, wskazując błędy, które przyczyniły się do ich porażki. „Piątka dla zwierząt", „tłuste koty", toporna propaganda w TVP, brak silnego wsparcia dla prywatnych mediów prawicowych, składka zdrowotna, polityka wobec UE, spór o sądownictwo, wyrok TK… Wytłumaczenia były najrozmaitsze – jedne mądrzejsze, inne mniej. Tworzyły one jednak pole do dyskusji. Do tej pory żaden z polityków PiS nie odważył się jednak wymienić jako błędu polityki migracyjnej. Zapewne w nadziei, że Tusk będzie ją kontynuował, a na atakowaniu go będzie można zbijać kapitał polityczny.

Problem w tym, że jeśli PiS nie przyzna się do błędu i nie przestanie udawać, że problematyczna jest wyłącznie imigracja nielegalna, to nie ma żadnego powodu sądzić, że w razie powrotu do władzy robiłby coś innego niż w latach 2015–2023. Tym bardziej że lobbyści nie śpią. Niedawno Pracodawcy RP opublikowali raport zachęcający, by ułatwiać sprowadzanie imigrantów m.in. z Indii i Bangladeszu, co ma przynieść „korzyści społeczne". Równolegle działają ze swoją propagandą lewicowe organizacje pozarządowe. Dla nich każdy imigrant to potencjalny przyszły obywatel, a zatem prawdopodobnie wyborca lewicy. A kryteria otrzymania polskiego obywatelstwa nie są dziś wygórowane.

Śrem to jedno z najstarszych miast w Polsce. Ten piastowski gród należał do kolebki naszego pierwszego państwa w X w. Przemoc imigrantów wobec Polaków akurat w tym miejscu przywodzi na myśl podparyskie Saint-Denis. To miejscowość nazwana na cześć św. Dionizego, pierwszego biskupa Paryża, który poniósł męczeńską śmierć z rąk pogan ok. 250 r. W bazylice Saint-Denis od VI do XIX w. chowano kolejnych królów i królowe Francji. Ta kolebka historycznej Francji jest dziś jednak niebezpieczną okolicą zdominowaną przez imigrantów i ich potomków. Aż 60 proc. dzieci urodzonych w departamencie Seine-Saint-Denis w 2023 r. nosiło imiona muzułmańskie. Polsce oczywiście jeszcze do takiej sytuacji bardzo daleko. To, czy tak kiedyś będzie w Śremie, Gnieźnie czy innych polskich miastach, zależy jednak od nas i naszych decyzji w najbliższych latach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

BIERUT – KRWAWY PIONEK STALINA

Gra przeciw Polsce – Bierut zrobił karierę w zaskakujących okolicznościach. Dla Stalina był dużo wygodniejszym narzędziem niż Gomułka

Czeski potop – Wielki bunt trawiący ziemie polskie zachęcił sąsiadów z południa do zorganizowania łupieżczej wyprawy. Polska stanęła wówczas na krawędzi zagłady

Hitler w okopach – Nie był ani tchórzem, ani herosem. Wojenna opowieść przyszłego Führera to w dużej części wytwór jego własnej wyobraźni

Z okładek „Vogue'a" do Dachau – Lee Miller wiodła kilka żyć. Najpierw zachwycała urodą, a później szokowała obrazami ukazującymi okrucieństwo wojny

Pogrom pod Cuszimą – Rosyjskie okręty były bez szans w starciu z japońską flotą. Klęska na Pacyfiku była dla Mikołaja II wyjątkowo bolesnym ciosem

Czytelnicy go kochali – Wańkowicz potrafił poruszyć czytelników i zyskać ich miłość. Przed nim był tylko Henryk Sienkiewicz. Po nim już nikt

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 15389caf8e

Fala pomocy

Na pomoc w usuwaniu skutków powodzi ruszyli m.in. harcerze z całej Polski

FOT. MICHAŁ WIRASZKA/ZHP

Radosław Wojtas

Południe Polski liczy szkody i odbudowuje się po powodzi. Straty są bardzo duże, ale wraz z wielką wodą nadeszła ogromna fala pomocy. Polacy znów zdali egzamin z empatii i solidarności

Polacy w sytuacjach kryzysowych, kiedy trzeba nieść pomoc, to w moich oczach złoci medaliści olimpijscy. Ludzie znowu pokazali hojność, wrażliwość i empatię. Odbieram też dużo telefonów z zagranicy i widzę, jakie jest poruszenie naszych rodaków żyjących na emigracji – mówi Marcin Majewski, rzecznik prasowy Caritas Polska.

Już od pierwszych dni powodzi na zalanych terenach nie tylko działały służby, lecz także pomagali wolontariusze. Ruszyli z pomocą rzeczową, zakasali rękawy. – Potrzeby zmieniają się zależnie od tego, dokąd trafiamy. W tym momencie jesteśmy u rodziny, której zalało cały dom. Rodzina musiała sobie poradzić z przenoszeniem kur, z krowami, których przez dwa dni nie można było wydoić, dlatego że mieli po uda wody na tym terenie. Bardzo duże zniszczenia całego domu. Wszyscy twierdzą jednogłośnie, że sprzątanie i skutki powodzi będą trwały jeszcze przez wiele tygodni – mówi wolontariuszka Caritas Polska na jednym z nagrań dostępnych w Internecie.

HARCERSKI OBOWIĄZEK

Jakkolwiek banalnie by to brzmiało, skala pomocy nierzadko zaskakiwała mieszkańców zalanych terenów. „Tego się nie da policzyć – mówi Piotr Wierzbicki, sekretarz gminy Głuchołazy, cytowany przez »Nową Trybunę Opolską«. – Wojska mamy pół tysiąca. Liczba wolontariuszy to na pewno grube setki. Część się zgłasza do gminy, ale część po prostu idzie do zalanych domów, do ludzi i pomaga". Ta sama gazeta przytacza wypowiedź pana Mariusza, drobnego przedsiębiorcy, któremu woda zalała warsztat pracy przy ul. Andersa w Głuchołazach: „Sam bym tego nie odmulił. W sobotę miałem do pomocy pięć osób, a w niedziele cztery. I udało się. Jestem zaskoczony, nie myślałem, że tylu ludzi przyjedzie pomagać. Szacun dla nich wszystkich".

Ludzie przyjeżdżali sami albo skrzykiwali się przez Internet lub wśród znajomych, organizowali zbiórki darów, przywozili najpotrzebniejsze narzędzia. Brakowało wszystkiego. – Wieziemy rzeczy, które są najbardziej potrzebne już przy usuwaniu pierwszych skutków powodzi, odszlamianiu, czyli myjki, pompy, kable, węże, grzałki, łopaty, taczki. Wszystko to, o co ludzie apelowali przez media, co im jest najbardziej potrzebne. Łącznie z rękawicami ochronnymi czy butami gumowymi, żeby w tym szlamie, w tej wodzie się tam poruszać – mówił w telewizji Echo24 wrocławski przedsiębiorca Piotr Krupa.

Wśród wolontariuszy jest wielu harcerzy. – Harcerze i harcerki ZHP ruszyli z pomocą od razu. Najpierw lokalnie, pomagając swoim społecznościom w umacnianiu wałów, przenoszeniu archiwów czy zabezpieczaniu obiektów przed powodzią. Gdy ogłoszono stan klęski żywiołowej, naczelniczka ZHP harcmistrzyni Martyna Kowacka ogłosiła alert pod hasłem „Nieść chętną pomoc", wzywający wszystkich członków ZHP do pomocy osobom poszkodowanym w czasie powodzi. Wtedy też uruchomiliśmy specjalny formularz dla członków ZHP z całej Polski, w którym mogą zgłosić chęć służby na rzecz powodzian – mówi podharcmistrzyni Olga Junkuszew, rzeczniczka prasowa ZHP.

Jak wyjaśnia Olga Junkuszew, harcerze pomagają w trzech obszarach: służby odpowiadającej na aktualne potrzeby, zbiórki środków na usuwanie skutków powodzi oraz pomocy psychologicznej. – Na terenach dotkniętych powodzią pomaga 2 tys. harcerek i harcerzy ZHP z całej Polski. Wspólnie wykonują najróżniejsze zadania, których aktualnie potrzebuje lokalna społeczność. Usuwają muł z domów, wypompowują i osuszają domy, segregują dary przekazywane z całej Polski czy organizują zajęcia dla dzieci, które zostały ewakuowane ze swoich domów – mówi Olga Junkuszew. – Nasi harcerze i harcerki zdają egzamin, jesteśmy z nich bardzo dumni! Widzimy, że dzięki postawom rozwiniętym w ZHP młodzi chętnie ruszyli do pomocy – dodaje.

Podharcmistrzyni Daria Warchał z Chorągwi Opolskiej, wraz z harcerkami ze szczepu „Czarna 13", prowadziła zajęcia dla dzieci, które musiały opuścić swe domy i zostały zakwaterowane w szkole w Brzegu. – Była to mieszanka harcerskich zajęć i animacji. Robiliśmy tam najróżniejsze rzeczy – od gry na gitarze i zajęć plastycznych do zawodów sportowych. Wszystko z myślą o tym, aby dzieci mogły

eprasa.pl 15389caf8e

się dobrze bawić, mogły zapomnieć o tym, że nie są w swoich domach. Był to też moment wytchnienia dla rodziców. Niektórzy z nich w tym czasie pomagali usuwać skutki powodzi – mówi Daria Warchał. I dodaje: – W Brzegu było bardzo wielu wolontariuszy. Dorośli, starsza młodzież ze szkół średnich, harcerze. Czasami sama się dziwiłam, jak wiele osób przychodziło pomagać. To był piękny widok.

SIEĆ POMOCY

W pomoc powodzianom włączyły się oczywiście większe i mniejsze organizacje charytatywne – Caritas Polska, Polski Czerwony Krzyż, Polska Akcja Humanitarna, Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Fundacja Siepomaga i wiele innych. W Caritas Polska sztab kryzysowy powołano w pierwszych dniach powodzi i od razu złożono pierwsze zamówienia na osuszacze i agregaty prądotwórcze (do czwartku 26 września przekazano 209 agregatów i 173 osuszacze, kolejnych 300 zamówiono). W zbiórki zaangażowało się blisko 4 tys. wolontariuszy w 25 diecezjach. Efekt? – Caritas w Polsce przekazał do tej pory [czwartek 26 września – przyp. R.W.] pomoc finansową i rzeczową o wartości ponad 3 mln zł. Za te środki zakupiono m.in. najbardziej potrzebne rzeczy, takie jak: różnego rodzaju narzędzia do sprzątania (ponad 4,5 tys. sztuk), butle turystyczne (ponad 1,1 tys. sztuk), tysiąc palników, ponad 500 myjek ciśnieniowych, 320 generatorów ozonu (kolejne 300 w zamówieniu), 100 młotów udarowych, 100 lamp solarnych, poza tym pościel, koce, łóżka, śpiwory. Na tereny powodziowe dostarczono też 14 tirów wody – mówi rzecznik prasowy Caritas Polska. Napłynęło tyle darów, że oddziały Caritas w diecezjach dotkniętych powodzią musiały prosić centralę i pozostałe oddziały o przechowanie części rzeczy.

Magazyny szybko się zapełniają, ale potrzeby są duże, więc równie szybko pustoszeją. Każdy może pomóc je uzupełnić za sprawą akcji „Paczka dla powodzian". Na stronie Caritas.pl znajdziemy dokładną instrukcję – jak przygotować paczkę, co kupić, w jakiej ilości, gdzie ją zanieść. – Wartość takiej paczki to ok. 300 zł. Wiemy, że dla jednej osoby może to być bardzo duża kwota, dlatego zachęcamy, aby paczki przygotowywać w kilka osób – mówi Marcin Majewski.

– Nasi harcerze i harcerki zdają egzamin, jesteśmy z nich bardzo dumni! – mówi Olga Junkuszew z ZHP

FOT. MICHAŁ WIRASZKA/ZHP

Dodaje, że przygotowano już 2 tys. paczek o wartości ponad 600 tys. zł.

Na konta Caritas spływają środki z ogólnopolskiej zbiórki w kościołach. W niedzielę 22 września na rzecz powodzian zbierano datki we wszystkich parafiach w Polsce. Kiedy piszę te słowa (26 września), jeszcze nie zliczono wszystkich wpłat. Powinno to nastąpić w najbliższych dniach. Wiadomo, na co zostaną przeznaczone pieniądze. To m.in.: programy długofalowej pomocy dla osób najbardziej potrzebujących, szczególnie seniorów i osób z terenów wiejskich, zajęcia świetlicowe oraz wsparcie psychospołeczne dla dzieci i finansowanie wypoczynku dzieci i młodzieży z terenów powodziowych.

Na konta najpopularniejszych publicznych zbiórek wpływają miliony złotych. Fundacja Siepomaga zebrała już blisko 30 mln zł. Tam każdy może założyć własną wirtualną skarbonkę i wykorzystując swoje zasięgi w Internecie lub chwytliwy pomysł na zbiórkę, dorzucić środki do puli. Przebojem okazała się akcja Andrzeja Śledzia, który obiecał streamowanie swojej rozgrywki w bardzo popularną przed laty w Polsce grę wideo. „Jeśli uda się zebrać 2000 złotych, odpalam stream z drugiego Gothica" – zadeklarował w opisie zbiórki. Andrzej Śledź – w czym pomogły branżowe media – rozbił bank. Do czwartku zebrał ponad 630 tys. zł.

Pomagają artyści (jedną z inicjatyw jest nagranie nowej wersji utworu „Moja i twoja nadzieja", który był charytatywnym singlem w 1997 r. podczas powodzi tysiąclecia) i przedsiębiorcy. Wydawnictwa Pulp Books i Marginesy wspólnie z Jakubem Ćwiekiem uruchomiły akcję (trwa do 30 września, na półmetku zebrano 300 tys. zł) sprzedaży książki „Topiel" Ćwieka, z której dochód przeznaczony jest na pomoc w usuwaniu skutków powodzi w Głuchołazach, gdzie autor się wychowywał. Akcję wspiera m.in. InPost. Przedsiębiorstwo Rafała Brzoski włączyło się w pomoc powodzianom w różny sposób. Jednym z nich jest przekazywanie paczek z darami we współpracy z Polskim Czerwonym Krzyżem. Przesyłkę można nadać w paczkomatach za darmo.

GDY ZGASNĄ ŚWIATŁA

Niewątpliwie wszystkie te porywy serca pomogą poszkodowanym szybciej wrócić do normalności. Ale będzie to powrót trwający znacznie dłużej niż zainteresowanie mediów i polityków Lądkiem-Zdrojem czy Głuchołazami. – Jesteśmy nie tylko wtedy, gdy są kamery, ale przede wszystkim wtedy, kiedy tych kamer nie ma. Nastawiamy się na długofalową pomoc – mówi Marcin Majewski z Caritas Polska. Zająć trzeba się nie tylko uprzątnięciem, remontem i odbudową. Trzeba zadbać także o kondycję psychiczną ludzi. Wielu z nich mówi wprost, że bardzo potrzeba im teraz psychologa. Zapewnienie psychologicznego wsparcia, organizacja zajęć i kolonii dla dzieci – to także istotne zadania na najbliższe miesiące, gdy fala pomocy osłabnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Pies na łódce strażaków po podtopieniach wywołanych ulewą w Krakowie w 2021 r.
FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Ratować psa czy człowieka?

Łukasz Warzecha

Nie ma żadnego powodu, żeby strażacy ryzykowali życie dla pojedynczego psa. Tymczasem coraz więcej osób wyżej stawia zwierzęta niż ludzi. Przyczyniają się do tego osoby publiczne

Wiele jest dziś grup, które wykazują się histeryczną i nienawistną postawą wobec każdego, kto śmie sprzeciwić się ich poglądom czy – może bardziej – wierzeniom. To kibice partii politycznych, to klimatystyczni fanatycy, jednak na pierwsze miejsce w tym rankingu wybijają się prozwierzęcy sekciarze. Jeśli przyjrzeć się ich wypowiedziom w sieci, to można by dojść do wniosku, że mamy do czynienia z ludźmi poważnie zaburzonymi, dyszącymi nienawiścią i gotowymi skrzywdzić każdego, kto im się narazi.

Z fanatycznymi wielbicielami zwierząt miałem do czynienia wielokrotnie. Przypuszczali swoje ataki np. wówczas, gdy krytykowałem wyrok, który w 2021 r. sąd wymierzył 35-latkowi, który wyrzucił z ósmego piętra swojego psa. Sprawcę – dotąd niekaranego – skazano na półtora roku bezwzględnego pozbawienia wolności, 15 lat zakazu posiadania wszelkich zwierząt oraz nawiązkę w wysokości 10 tys. zł na schronisko dla psów. Tak wysoka kara była konsekwencją zmian w prawie wprowadzonych w 2018 r. podczas rządów Zjednoczonej Prawicy, które to zmiany były skutkiem prozwierzęcych fiksacji Jarosława Kaczyńskiego. W rezultacie zachwiana została proporcja między karami za czyny wobec ludzi i wobec zwierząt. Za zabicie zwierzęcia (ale przecież nie każdego: psa czy kota – tak, ale myszy czy żaby już nie) grozi maksymalna kara trzech lat pozbawienia wolności, a za czyn tego typu dokonany ze szczególnym okrucieństwem – aż pięć lat. Tymczasem kara za pobicie człowieka ze skutkiem śmiertelnym to od dwóch do 15 lat. Zatem system uznaje, że można skazać na ponaddwukrotnie dłuższy wyrok sprawcę zabicia zwierzęcia niż sprawcę pobicia człowieka na śmierć.

RATOWANIE Z POWODZI

Prozwierzęcy fanatycy uaktywniają się zawsze, gdy w mediach pojawia się informacja o skatowaniu zwierzęcia – często zakończona zdaniem, że zwierzę „zmarło". Wymyślają najdziksze tortury, którym należałoby poddać sprawcę, a często po prostu uznają, że zasłużył na śmierć. Stawiają zatem na jednym poziomie życie psa czy kota i życie człowieka. Gdy zapytać ich, czy są w takim razie zwolennikami przywrócenia kary śmierci za zabójstwo – milkną.

Deklarują za to nierzadko, że zamordowaliby człowieka za zabicie lub nawet tylko skrzywdzenie ich zwierzęcia. Tak było po głośnej w 2022 r. decyzji sądu w drugiej instancji w sprawie Justyny K., która zabiła 36-letniego mężczyznę. Kobieta uzasadniała zabójstwo tym, że ofiara podczas alkoholowej libacji miała się przyznać do zabicia psa Justyny K. i przetopienia go na smalec. Nigdy nie ustalono, czy faktycznie coś takiego miało miejsce, ale mógł to być faktycznie motyw zabójczyni, która uchodziła za prozwierzęcą fanatyczkę. W mediach społecznościowych fanatyczni wielbiciele zwierząt cieszyli się z czynu Justyny K. i pisali, że „wyrwała chwasta".

Najnowsza porcja obelg pojawiła się, gdy skrytykowałem działanie jednej z ekip strażaków podczas powodzi. Ci pochwalili się, że uratowali psa uwięzionego na wysepce pośrodku rwącej wody. Zwróciłem uwagę, że zasoby ratowników w czasie sytuacji ekstremalnej są ograniczone, więc specjalna akcja służąca uratowaniu pojedynczego zwierzęcia jest nieroztropna. Nie chodzi o to, że w tamtym konkretnym momencie ratownicy musieli wybierać pomiędzy ratowaniem człowieka a zwierzęcia – gdyby w takich okolicznościach wybrali zwierzę, odpowiadaliby karnie. Rzecz w tym, że każda akcja ratunkowa zużywa siły ratujących, które są na wagę złota, a także tworzy

eprasa.pl 15389caf8e

ryzyko dla nich samych. Czym innym jest ratowanie zwierząt domowych wspólnie z ludźmi bądź ratowanie zwierząt gospodarskich w większej liczbie.

Jak na ironię, w tym samym czasie szeroko znana stała się historia mieszkańca Głuchołazów, którego powódź zaskoczyła pośrodku osiedla i odcięła od domu. Mężczyzna przez dziewięć godzin stał na piaszczystej wysepce. Nie pomogła mu żadna służba mimo licznych wezwań. Być może gdyby nie chodziło o człowieka, ale o psa, strażacy by się jednak zjawili.

W lutym tego roku głośno było o zakrojonej na wielką skalę akcji ratowania psa z wysepki na Bugu, gdzie utkwił w związku z wylewem tej rzeki. Najpierw dwa razy ściągnąć psa próbowała straż pożarna, co samo w sobie jest wykroczeniem przeciwko zdrowemu rozsądkowi. Nie ma żadnego powodu, żeby strażacy ryzykowali życie dla pojedynczego psa. Potem zaś 700 km przejechali ratownicy z kołobrzeskiej jednostki SAR (Morska Służba Poszukiwania i Ratownictwa), którym w końcu udało się zwierzę wydostać.

Po tej akcji zwróciłem się do kołobrzeskiego SAR z pytaniem, czy ratownicy korzystali ze służbowego sprzętu i czy na miejscu pozostała pełna obsada. Otrzymałem odpowiedź sformułowaną w aroganckim tonie, z której wynikało, że było to prywatne przedsięwzięcie ratowników, którzy akcję przeprowadzili w czasie wolnym. „Jeżeli trzeba pomóc, czy człowiekowi, czy zwierzęciu, to taka decyzja zajmuje sekundę – mówił wtedy Jacek Rzeszotarski z SAR w Kołobrzegu. Dodawał też, że był to „odruch serca". To wypowiedź mrożąca krew w żyłach, ponieważ ratownicy, przynajmniej na służbie, nie mogą się kierować odruchami serca, a jedynie profesjonalną i dokonywaną na chłodno oceną ryzyka. SAR powołana jest dla ratowania ludzi, nie zwierząt. Jaką decyzję podjęliby ratownicy, gdyby musieli przy pomocy śmigłowca podjąć ludzi z tonącego jachtu, a na pokładzie byłby także pies? Można się obawiać, że byliby gotowi narazić życie profesjonalnego ratownika dla psa. Tego ratownika, którego później mogłoby zabraknąć dla ludzi w innej akcji ratunkowej. Być może brakuje wyraźnych wytycznych wskazujących, że pracownikom takich służb nie wolno podejmować w ramach obowiązków akcji ratunkowych na rzecz pojedynczych zwierząt.

Można jednak założyć, że dużej części ratowników poprzestawiał się już porządek w głowie i w takich działaniach nie widzą nic niewłaściwego. Warto tu przypomnieć badania prowadzone od lat przez konserwatywnego naukowca Dennisa Pragera. Prager od lat 70. zadawał swoim studentom to samo pytanie: Czy ratowaliby tonącego własnego psa czy obcego człowieka? Odpowiedź niezmiennie była taka sama: jedna trzecia opowiadała się za człowiekiem, jedna trzecia nie miała zdania, a jedna trzecia ocaliłaby psa. Zatem dla 60 proc. badanych nie było jasne, że ludzkie życie jest warte więcej niż życie zwierzęcia.

SFERA NIEPOPRAWNA

W 2015 r., w czasopiśmie naukowym „Anthrozoös" zajmującym się relacjami między zwierzętami i ludźmi, ukazało się badanie autorstwa Richarda Topolskiego, J. Nicole Weaver, Zachary'ego Martina i Jasona McCoya, zatytułowane „Choosing between the Emotional Dog and the Rational Pal: A Moral Dilemma with a Tail" („Wybierając między emocjonalnym psem a racjonalnym kolegą: dylemat moralny z ogonem"). Badacze skonfrontowali respondentów z wyborem: czy ratowaliby raczej własne lub obce zwierzę czy człowieka o różnych stopniach bliskości. Najmniej osób skłonnych było postawić zwierzę na pierwszym miejscu, gdy zagrożone było rodzeństwo (4,6 proc. kobiet oraz 0,9 proc. mężczyzn w przypadku własnego zwierzęcia i 4,2 proc. kobiet oraz 0 proc. mężczyzn w przypadku zwierzęcia obcego). Jednak w przypadku zagranicznego turysty – druga skrajność – liczby były przerażające: własnego zwierzaka zamiast człowieka ratowałoby aż 44,9 proc. kobiet i 30,1 proc. mężczyzn, obce zaś zwierzę – 14,9 proc. kobiet i 7,4 proc. mężczyzn. Badanie pokazuje przy tym wyraźny związek przyjmowanej postawy z płcią i ten związek można również dostrzec, przeglądając wpisy prozwierzęcych fanatyków. Wydaje się, że kobiet jest w tym gronie więcej.

Problem nie jest dobrze zbadany socjologicznie czy psychologicznie, bo jest to sfera niepoprawna politycznie. Można jednak postawić hipotezę, że powodem jest kompensowanie sobie przez niektóre panie braku dzieci poprzez posiadanie zwierzęcia. W każdym razie widać, że dla wielu osób hierarchia bytów jest zatarta. Być może fanatyczna prozwierzęcość wynika z charakterystycznego dla obecnych czasów dążenia do łatwości? Wszak relacja ze zwierzęciem jest znacznie prostsza niż z ludźmi. Zwierzę przywiązuje się do swojego właściciela bezwarunkowo i nieracjonalnie. Zapewnienie sobie jego wierności i lojalności to tylko kwestia zaspokajania jego podstawowych potrzeb, a czasami nawet i to nie jest konieczne. Dla zbudowania relacji z człowiekiem konieczny jest bez porównania większy wysiłek.

Do stawiania zwierząt ponad ludźmi przyczyniają się też osoby publiczne. Dziennikarka Polsatu Agnieszka Gozdyra, napędza regularnie hejt na myśliwych, czego skutkiem są już nie tylko werbalne na nich ataki. Prezes Naczelnej Rady Łowieckiej, pan Marcin Możdżonek, przekazał, że policja zatrzymała patoaktywistę podejrzanego o zniszczenie kilkunastu ambon łowieckich w okolicach Stawigudy i Gietrzwałdu, a jest to tylko jeden z bardzo wielu takich wypadków. Takie działania polegają często na podpiłowywaniu nóg w tych konstrukcjach, co może skończyć się tragedią.

Gozdyra promuje też obywatelski projekt zmiany ustawy o ochronie zwierząt, w ramach którego miałby zostać wprowadzony zakaz trzymania psów na uwięzi. Konsekwencją – gdyby założyć, że zakaz miałby być przestrzegany – byłoby zwolnienie z uwięzi psów niebezpiecznych dla postronnych osób, co z pewnością skutkowałoby atakami na ludzi. Część zaś takich psów zostałaby przez swoich właścicieli uśpiona lub zabita w mniej cywilizowany sposób.

Osoby takie jak pani Gozdyra powtarzają w kontekście swoich prozwierzęcych tyrad słowo „empatia". To kolejna manipulacja. Empatia to współodczuwanie, czyli zdolność do odtworzenia w sobie uczuć innej osoby. Właśnie – osoby, nie zwierzęcia. O ile w niektórych okolicznościach jesteśmy w stanie postawić się emocjonalnie na miejscu innego człowieka, o tyle nie jesteśmy w stanie postawić się na miejscu zwierzęcia, które kieruje się instynktem, a nie ludzkimi emocjami. Empatia jest tutaj używana jako rodzaj szantażu. Oskarżenie o jej deficyt ma sprawić, że dana osoba będzie się jawić jako okrutnik bez uczuć, opowiadający się za dręczeniem zwierząt.

To manipulacja jasna i przejrzysta, a przy tym prymitywna, ale skuteczna w dobie, gdy nie liczy się rozum, lecz emocje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Kierowca z pięciokrotnym zakazem prowadzenia pojazdów pędził w stolicy i staranował rodzinę w innym aucie

FOT. DARIUSZ BOROWICZ/AGENCJA GAZETA

Kary dla bandytów drogowych

Łukasz Zboralski

„Zabójstwo drogowe", które może się znaleźć w polskim Kodeksie karnym, nie oznacza, że zrównamy wypadki z morderstwami. Chodzi tylko o to, by sprawcy tragedii skrajnie naruszający normy nie byli karani tak jak za zwykły wypadek

Tydzień temu w Warszawie przestępca wielokrotnie łamiący sądowe zakazy prowadzenia pojazdów jechał ze znajomymi z jednej imprezy na drugą. Według nieoficjalnych szacunków mógł pędzić nawet ponad 150 km/h w środku miasta, gdy wbił się w rodzinę z Grochowa wracającą swoim samochodem do domu. Zabił ojca, a matkę i małe dzieci ciężko ranił.

To nie wszystko. Wraz ze znajomymi Łukasz Ż. knuł, jak zmylić policję, by nie wyszło na jaw, że to on siedział za kierownicą. Nie jest wykluczone, że próbowali zrzucić winę na swoją dziewczynę, która jechała z nimi i została ciężko ranna. Prokuratura ujawniła, że utrudniali świadkom wypadku niesienie jej pomocy – być może zakładali, że kobieta umrze i łatwo będzie jej przypisać winę.

To się nie udało. Paulina przeżyła. Z kolei Łukasz Ż., który uciekł z kraju samochodem pożyczonym od kolegi prowadzącego wypożyczalnię pojazdów, został złapany w Niemczech po wydaniu za nim Europejskiego Nakazu Aresztowania (bo zgłosił się tam w końcu do szpitala – miał obrażenia po wypadku).

Kierowca czeka na ekstradycję; jego trzej kompani, którzy byli pijani i po wypadku utrudniali śledztwo, także już są w aresztach tymczasowych. Znalazły się tam i kolejne dwie osoby, które mataczyły w tej sprawie, m.in. właściciel wypożyczalni aut.

POLICJA ŁAPIE, SĘDZIOWIE PUSZCZAJĄ

TVN24.pl ujawnił, że Łukasz Ż. oprócz skazań za narkotyki miał też na koncie w sumie pięć sądowych zakazów prowadzenia pojazdów. Jeden z nich był za to, że prowadził po pijanemu samochód. Kolejne dostawał za… ignorowanie poprzednich. Po złamaniu drugiego zakazu prowadzenia pojazdów sąd skazał go tylko na prace społeczne. Po złamaniu trzeciego zakazu – zaledwie na 11 miesięcy więzienia. Po złamaniu czwartego zakazu dostał równie niewielki wyrok, bo półtora roku więzienia (nie zdążył tam trafić, bo wyrok jeszcze się nie uprawomocnił).

Sprawa Łukasza Ż. pokazała dobitnie to, o czym pisałem od lat – że sądowe zakazy prowadzenia pojazdów, które mają uchronić nas przed ludźmi zagrażającymi innym na drogach, to w Polsce fikcja. Dopiero po tym wypadku sędziowie zaczęli publicznie w mediach mówić, że potrzebują podwyższenia kar, by mogli szybciej izolować takich ludzi od społeczeństwa. Lepiej późno niż wcale.

Ministrowie sprawiedliwości i infrastruktury zapowiedzieli zaostrzenie kar i lepsze monitorowanie ludzi z zakazami prowadzenia pojazdów. Owszem, lepiej byłoby, gdybyśmy mieli w kraju instytucje prowadzące długofalowe polityki w różnych obszarach życia, jednak w sprawie bezpieczeństwa na drogach takich nie mamy i niestety szanse na zmiany pojawiają się jedynie wówczas, gdy po głośnym wypadku społeczeństwo pokazuje politykom, że ma tego po prostu dość.

Tak pojawiła się zatem szansa, że ten, kto już pierwszy raz złamie zakaz prowadzenia pojazdów, od razu trafi za kraty, a złamanie kolejnych zakazów wyeliminuje go ze społeczeństwa na dłużej. Nie wiadomo natomiast, jak rozwiązane może zostać monitorowanie ludzi, którzy nie powinni prowadzić pojazdów. Być może pomoże w tym skorzystanie z technologii, która w Polsce jest od dawna, ale nikt jej nie próbował wykorzystać – wideorejestratory policji czy inne kamery na drogach mogą odczytywać tablice rejestracyjne i alarmować, gdy właściciel pojazdu ma sądowy zakaz. Nie byłoby też problemem poszerzyć publiczny rejestr pedofili o rejestr kierowców z zakazem jazdy – społeczna kontrola nad nimi byłaby wówczas o wiele gęstsza.

Pierwsze rozmowy dwóch resortów w sprawie uszczelnienia systemu i ewentualnego zaostrzenia kar odbyły się już w ubiegłym tygodniu. Wszystko wskazuje na to, że politycy akurat w tym czasie otrzymali też badania społeczne dotyczące bezpieczeństwa na drogach – ma być w nich widać dużą zmianę społeczną.

eprasa.pl 15389caf8e

Polacy chcą po prostu bezpieczniejszych podróży i eliminowania piratów z dróg.

„ZABÓJSTWO DROGOWE"

Minister Adam Bodnar zapowiedział jednocześnie rozważenie wprowadzenia do polskiego Kodeksu karnego nowej kwalifikacji „zabójstwa drogowego". Część niektórych prawników i publicystów podniosła larum. Zapewne dlatego, że nie rozumie tej koncepcji.

Są wprawdzie kraje – takie jak Niemcy – w których sędziowie nawet bez zbędnych dodatkowych regulacji potrafią sprawców niektórych wypadków drogowych skazywać po prostu za zabójstwo. W tym roku sąd w Hamburgu skazał tak Polkę, która ścigała się z innym kierowcą po publicznej drodze, a jej szalona jazda zakończyła się uderzeniem w inne auto i zabiciem postronnych osób. Usłyszała wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

To jest dziś w Polsce niemożliwe. Za zabójstwa, czyli zaplanowane pozbawienie kogoś życia, można u nas dostać wyrok od 15 lat więzienia (to minimum) do dożywocia. Nikt nawet nie pomyśli, by zrównywać morderstwo z wypadkami drogowymi.

Są jednak wypadki, które – i takie jest społeczne odczucie – nie są zwykłymi błędnymi decyzjami kierowców czy zdarzeniami dotyczącymi niewielkich naruszeń norm. Takim był przecież głośny wypadek na ul. Woronicza w Warszawie, gdzie kierowca w podrasowanym (i niesprawnym) bmw rozpędził się do prawie 130 km/h na osiedlowej drodze i zmiótł z pasów ojca przechodzącej tam rodziny. To była szalona jazda, ale jej konsekwencje okazały się mizerne – sprawcy groziło do ośmiu lat więzienia. Nie dostał nawet tylu.

Polscy sędziowie nigdy nie przekonali się bowiem, że sprawców takich wypadków można skazywać za zabójstwo z zamiarem ewentualnym, czyli uznawać, że nie planowali wprawdzie czyjejś śmierci, ale się na nią – radykalnie łamiąc zasady drogowe – godzili. Takie wyroki zapadły tylko dwa razy, i to tak naprawdę wówczas, gdy np. ścigany przez policję wolał rozjechać kogoś na pasach niż dać się złapać.

I stąd właśnie pomysł na dodatkową kwalifikację „zabójstwa drogowego". Oznaczałaby ona – przynamniej tak powinna wyglądać – zbiór podwyższeń kary za wypadek drogowy w szczególnych okolicznościach. Czyli „zabójstwem drogowym" byłoby spowodowanie wypadku po pijanemu (podwyższenie kary obecnie wynoszącej do 20 lat więzienia), pod wpływem narkotyków czy ucieczka z miejsca zdarzenia. Do tego katalogu dołączyć należałoby również wypadek spowodowany przez jazdę ze skrajnymi prędkościami. Wówczas takiemu kierowcy jak Sebastian M., którego wciąż próbuje polska prokuratura ściągnąć z Dubaju, groziłoby już nie maksymalnie osiem lat więzienia, ale 20 albo 25…

Przy okazji moglibyśmy skopiować od Niemców przestępstwo „nielegalnych wyścigów". Dzięki temu tacy jak „Frog" nie kończyliby tylko z mandatami i ewentualnie zabranymi uprawnieniami, lecz także w więzieniach. Szybko spacyfikowalibyśmy młodych, bogatych, którzy zaczynają terroryzować mieszkańców wielu miast organizowanymi przez siebie nielegalnymi, nocnymi wyścigami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 15389caf8e

Elżbieta Barszczewska FOT. NAC

Hanna Karwowska FOT. NAC

Ina Benita FOT. NAC

Z Markiem Telerem, dziennikarzem i pisarzem, autorem „Amantek II Rzeczypospolitej"
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Ekran z wdziękiem

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Któraś z „Amantek II Rzeczypospolitej" miała szansę na karierę międzynarodową?

MAREK TELER: Z tuzina opisywanych przeze mnie pań najbliżej powtórzenia sukcesu Poli Negri była Jadwiga Smosarska. Już w 1921 r., rok po swoim debiucie w filmie „Bohaterstwo polskiego skauta", otrzymała z Niemiec propozycję roli w obrazie o roboczym tytule „Raj utracony". Od początku miała jednak wątpliwości, czy powinna opuszczać Polskę na tak wczesnym etapie swojej kariery. Kontrakt wprawdzie podpisała, lecz tuż przed rozpoczęciem pracy w atelier wykorzystała swe przeziębienie, by na podstawie świadectwa lekarskiego wycofać się z przedsięwzięcia. W 1933 r., po pokazie „Księżnej Łowickiej" w amerykańskich kinach, pojawiła się z kolei oferta właśnie ze Stanów Zjednoczonych. Smosarska miała już wówczas ugruntowaną pozycję w naszym kinie, bała się jednak wyjazdu do Hollywood. Przeczuwała, że bez dobrej znajomości języka angielskiego szansa podboju USA jest znikoma. Ostatecznie zgodziła się wyłącznie na jeden film, ale wtedy okazało się, że Amerykanie nie zamierzają inwestować w gwiazdę jednej roli. Podobna sytuacja powtórzyła się, kiedy w 1937 r. film „Barbara Radziwiłłówna" ze Smosarską w roli tytułowej pokazano na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji. Znów zgłosiła się do niej amerykańska wytwórnia i ponownie skończyło się tylko na rozmowach.

Opisane wyżej aktorki bardziej ceniły teatr czy film?

Większości aktorek największą satysfakcję przynosiła scena. Film dawał oczywiście kolosalną popularność i rozpoznawalność, ale to w teatrze artystki miały okazję pokazać pełen wachlarz swoich zdolności. Maria Malicka, Helena Grossówna, Karolina Lubieńska czy Elżbieta Barszczewska były zresztą po wojnie przede wszystkim aktorkami teatralnymi, a w filmach grywały najwyżej role epizodyczne. Nawet Smosarska, przez 20 lat niekwestionowana królowa polskiej kinematografii, marzyła o tym, aby doceniono ją właśnie jako aktorkę teatralną. Niestety, recenzenci patrzyli na nią często przez pryzmat dokonań filmowych i nie potrafili w pełni docenić jej występów scenicznych.

Eksponowały życie osobiste? A może je maskowały?

Nie ukrywam, że prywatny aspekt życia bohaterek mojej książki jest dla mnie najbardziej interesujący, międzywojenna prasa dostarcza w tej kwestii sporo materiału. Możemy choćby prześledzić, jak Maria Bogda i Adam Brodzisz przez kilka lat ukrywali, że są małżeństwem, posuwając się nawet do oszukiwania dziennikarzy co do swojego stanu cywilnego. O problemach w życiu codziennym część gwiazd mówiła wprost, inne zaś między wierszami. Kiedy Baśka Orwid rozstała się

eprasa.pl 15389caf8e

Jadwiga Smosarska FOT. NAC

Maria Malicka FOT. NAC

z pierwszym mężem, Tadeuszem Unkiewiczem, przestrzegała w prasie przed zawieraniem małżeństw pod wpływem nagłego impulsu i wyznała, że jej noworocznym życzeniem jest dostać rozwód. Warto przy tej okazji sprostować zakorzenioną w literaturze informację o małżeństwie tej artystki z reżyserem Leonardem Buczkowskim – tworzyli związek, ale nigdy nie wzięli ślubu. Tajemnicą pozostaje, czy małżeństwo zawarli Karolina Lubieńska i Zbigniew Rakowiecki. Już w 1938 r. donosił o tym „Express Poranny", ale dopiero w 1940 r. aktorka otrzymała rozwód z księciem Wacławem Szuyskim. Jeśli zatem sformalizowała związek ze Zbyszkiem, to już w czasie okupacji. Sam książę Szuyski był zresztą jej drugim mężem – zostawiła dla niego pierwszego małżonka, Jana Hoppego, co on skwitował życzeniami ślubnymi dla nowożeńców: „Pierwszy drugiemu, oby jak najszybciej był trzeci". Burzliwe było też małżeństwo Marii Gorczyńskiej z komisarzem Policji Państwowej Edwardem Lindnerem – w listopadzie 1929 r. próbował on nawet popełnić samobójstwo, a o szczegółach zdarzenia rozpisywała się prasa. Niektóre amantki wolały jednak kamuflować małżeńskie problemy, czego przykładem jest choćby Maria Malicka. Nie mówiła dziennikarzom o rozstaniu ze Zbigniewem Sawanem, lecz w tym trudnym dla siebie czasie skupiła ich uwagę na ich nowo narodzonej córeczce, Małgorzacie. Dziecko było zresztą „prezentem imieninowym", o który poprosiła męża, gdy już wiedziała o jego romansie z Lidią Wysocką.

1 września 1939 r. de facto zakończył aktorską przygodę Smosarskiej i Hanny Karwowskiej?

Pierwsza z nich pojawiła się po raz ostatni przed kamerą latem 1939 r., kiedy rozpoczęły się zdjęcia do – ostatecznie nieukończonego – filmu „Życie na opak" w reżyserii Eugeniusza Cękalskiego. Po wybuchu drugiej wojny światowej opuściła Polskę wraz z mężem, architektem Zygmuntem Protassewiczem, i wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie jeszcze przez kilka lat występowała w spektaklach teatralnych dla amerykańskiej Polonii. Od lat 50. wiodła przede wszystkim żywot pani domu, choć ze wspomnień osób, z którymi spotykała się na emigracji, wynika, że bardzo tęskniła za kinem. Karwowska po zagraniu głównej roli filmowej w „Strachach" (1938) wystąpiła jedynie w paradokumencie „Marynarz polski – dzieje przeciętnego człowieka", zrealizowanym cztery lata później w Wielkiej Brytanii, gdzie młodziutka aktorka zamieszkała z matką w czasie wojny. Pod koniec 1946 r. wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie na łamy prasy trafiała wyłącznie w kontekście kolejnych nieudanych małżeństw i głośnych rozwodów, zwłaszcza z czwartym mężem, geografem Walterem Abbottem Woodem.

Niektóre z opisanych wsparły w okupowanej Warszawie Armię Krajową...

Bogda, pracując w kawiarni Napoleonka, była zaangażowana w kolportaż „bibuły", a w czasie powstania prowadziła stołówkę w swojej willi na Mokotowie. Jej mąż, Brodzisz, działał – pod pseudonimem Bonza – w kompanii saperów pułku „Baszta". Lubieńska należała do III Zgrupowania „Konrad", a podczas powstania do Grupy Bojowej „Krybar" w Obwodzie Śródmieście. Występowała też w utworzonej przez Leona Schillera czołówce teatralnej, która śpiewała powstańcom pieśni żołnierskie podnoszące ich na duchu. Maria Gorczyńska była łączniczką i sanitariuszką w 1. Kompanii Zgrupowania „Bartkiewicz" w I Obwodzie „Radwan" w Śródmieściu, a także prowadziła punkt zaopatrzeniowy organizacji kobiecej Pomoc Żołnierzowi. Wcześniej udostępniała na potrzeby konspiracji swe mieszkanie przy ul. Jasnej 17. Największą rolę w czasie wojny odegrała Helena Grossówna. W latach 1941–1944 działała w organizacji dywersyjnej ZWZ-AK „Wachlarz", będąc łączniczką na odcinkach Warszawa – Brześć i Warszawa – Baranowicze. Występując w warszawskich teatrach jawnych, pomagała w tropieniu osób podejrzewanych o kolaborację. W czasie powstania walczyła w stopniu porucznika w batalionie „Sokół", a koledzy z oddziału jeszcze wiele lat po wojnie wspominali o jej wielkiej odwadze i bohaterstwie.

Inne posądzano o kolaborację z Niemcami.

Elżbieta „Lula" Kryńska, aktorka i uczestniczka konkursów piękności, związała się w czasie okupacji z niemieckim adwokatem Gerhardem Schmidtem, u którego bywał ponoć – w czasie swoich wizyt w Warszawie – sam generalny gubernator Hans Frank. W listopadzie 1942 r. podpisała volkslistę, choć nie ma jednoznacznych dowodów na to, że współpracowała z okupantem lub donosiła na Polaków. Meldunki ZWZ-AK przedstawiały ją raczej jako „łączniczkę między społeczeństwami polskim i niemieckim", co sugeruje, że być może korzystała ze swojej pozycji, aby pomagać mniej ustosunkowanym kolegom. Kwestię jej domniemanej kolaboracji odroczono zresztą

MAREK TELER „AMANTKI II RZECZYPOSPOLITEJ" BELLONA 2024

eprasa.pl 15389caf8e

na czas powojenny ze względu na „bezwartościowość Kryńskiej i brak cech ciężkiego przestępstwa". Ostatecznie do sprawy nigdy nie powrócono, ponieważ po 1945 r. artystka zamieszkała na stałe w Wenezueli i już nigdy nie odwiedziła ojczyzny. W raportach działaczy polskiego wywiadu i kontrwywiadu pojawia się również nazwisko Baśki Orwid. Można w nich m.in. wyczytać, że jeździła limuzyną w towarzystwie niemieckiego starosty Warszawy, Ludwiga Leista. Informacja na ten temat znalazła się jednak tylko w jednym meldunku. Później podziemie nie interesowało się już aktorką, co każe nam oznaczyć ten donos dużym znakiem zapytania. W czasie powstania Baśka była zresztą łączniczką i sanitariuszką w plutonie łączności w Śródmieściu, więc jeśli nawet miała coś na sumieniu, to „odpokutowała" za swe czyny.

To Bohdan Korzeniewski sprawił, że Maria Malicka musiała po wojnie odpowiadać za winy niepopełnione?

Wchodził w skład sądu weryfikacyjnego Związku Artystów Scen Polskich badającego jej postępowanie w okresie okupacji. Ze wspomnień Malickiej wynika, że jako jedyny od początku był do niej negatywnie nastawiony – nazwała go nawet „bezwzględnym oskarżycielem". Kiedy w kwietniu 1941 r. Sawan, mąż Malickiej i ojciec jej córki, trafił do Auschwitz, aktorka chodziła po niemieckich urzędach, starając się doprowadzić do jego uwolnienia. To właśnie wówczas po Warszawie zaczęły krążyć liczne plotki dotyczące jej kolaboracji z okupantem, a nawet rzekomego romansu z jakimś hitlerowskim majorem. Chociaż sąd weryfikacyjny uniewinnił Malicką z zarzutu utrzymywania bliskich relacji z Niemcami i ukarał ją wyłącznie za występy w jawnych teatrach, to kłamliwe pogłoski prześladowały gwiazdę do końca życia. Korzeniewski w 1988 r. wspominał, że „miała prywatne kontakty z Niemcami", chociaż ponad 40 lat wcześniej została uniewinniona z tego zarzutu! To bardzo zaskakujące, zważywszy, że w latach 60. utrzymywał z Malicką dobre relacje – zagrała w dwóch sztukach przez niego reżyserowanych. Wywiad rzeka „Sława i infamia", czyli konwersacja Korzeniewskiego z Małgorzatą Szejnert, choć stanowi cenne źródło wiedzy o świecie artystycznym okupowanej Warszawy, to nie jest wolny od błędów. Pisząc na ten temat, należy weryfikować twierdzenia tego wybitnego reżysera i historyka teatru.

Malicka i Elżbieta Barszczewska, o której względy starali się koledzy po fachu: Jan Kreczmar, Marian Wyrzykowski (skutecznie) i Władysław Hańcza oraz pisarz Jan Dobraczyński, musiały ustąpić miejsca na scenie ustosunkowanej politycznie koleżance?

Jak to mówił mi aktor Zdzisław Kordecki, Nina Andrycz nie była tak dobrą aktorką, jak o niej pisano, ani tak złą, jak o niej mówiono. Nie ulega wątpliwości, że małżeństwo z premierem Józefem Cyrankiewiczem istotnie rzutowało na jej artystyczną pozycję. Przez lata cieszyła się opinią heroiny stołecznego Teatru Polskiego i nie znosiła konkurencji. Aktorki do niej zbyt podobne lub zagrażające jej talentem nie miały tam łatwego życia, niektórych – np. Danuty Urbanowicz – po prostu się pozbywała. W kręgach artystycznych panowała opinia, że to właśnie ona uniemożliwiła Malickiej powrót na deski warszawskich scen w Polsce Ludowej. Z Barszczewską łączyła ją z kolei specyficzna relacja, ponieważ znały się z czasu studiów w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej i jeszcze w II RP grały na scenie Teatru Nowego. Kiedy jednak „za komuny" występowały razem w Teatrze Polskim, sytuacja między nimi była do tego stopnia napięta, że scenografka i kostiumolożka Teresa Roszkowska musiała zrezygnować z pracy. Andrycz odbierała Barszczewskiej najciekawsze i najbardziej wartościowe role. A gdy pani premierowa wyjechała do Indii, nie zgodziła się, aby Elżbieta zastąpiła ją w głównej roli w sztuce „Święta Joanna". Załatwiła jednak koleżance z teatru miejsce w zakładzie dla nerwowo chorych, gdy ta wpadła w depresję po zgonie matki.

Dlaczego powojenna kinematografia praktycznie nie wykazała zainteresowania bohaterkami pańskiej książki? Melpomena okazała się łaskawsza?

Aktorki znane z błahych komedii czy ckliwych melodramatów nie wydawały się odpowiednimi kandydatkami do socrealistycznych produkcji. Poza tym, jak już wspominałem, znaczna część polskich artystek zaangażowała się w czasie drugiej wojny światowej w działalność AK, co sprawiło, że w Polsce Ludowej znalazły się na cenzurowanym, a nawet były inwigilowane przez organy bezpieczeństwa. W teatrze na szczęście nie zaszły aż tak duże zmiany, jeśli chodzi o repertuar, więc Gorczyńska, Lubieńska czy Barszczewska utrzymały swą pozycję na scenie i nadal otrzymywały role wiodące. Niektóre miały jednak pod górkę. Kontrowersje wobec wojennej działalności Malickiej sprawiły, że po wojnie występowała przede wszystkim w rodzinnym Krakowie. Natomiast Grossówna, grając na deskach stołecznej Syreny, musiała zmagać się z rozmaitymi nieprzyjemnościami, które doprowadziły do jej przedwczesnego przejścia na emeryturę.

Amantek filmowo-teatralnych było w interbellum więcej. Dajmy na to: Nora Ney, Lena Żelichowska, Tola Mankiewiczówna, Loda Halama, Hanka Ordonówna. Będzie drugi tom?

Staram się unikać pisania o tych, które doczekały się już swych biografii, chociaż oczywiście trudno było nie umieścić w „Amantkach II Rzeczypospolitej" Smosarskiej, królowej przedwojennego ekranu, bohaterki książki pióra prof. Małgorzaty Hendrykowskiej. Losy Ney i Żelichowskiej przedstawił już Grzegorz Rogowski w znakomitej pracy pt. „Skazane na zapomnienie. Polskie aktorki filmowe na emigracji", więc myślę, że niewiele miałbym tu do dodania. O Mankiewiczównie wnikliwie pisał już Ryszard Wolański, dzieje Halamy drobiazgowo przedstawiła Anna Lisiecka, a życiorys Ordonki dogłębnie zbadała Anna Mieszkowska.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Marek Teler** – dziennikarz i pisarz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, autor książek non-fiction, m.in.: „Zapomniani artyści II Rzeczypospolitej", „Upadły amant. Historia Igo Syma", „Zagadka Iny Benity. AK-torzy kontra kolaboranci", „Amanci II Rzeczypospolitej", „Piękne skandalistki. Przedwojenne Miss Polonia", „Witold Conti. Każdemu wolno kochać" i najnowszej „Amantki II Rzeczypospolitej".*

eprasa.pl 15389caf8e

OMNIOXY

ŁAGODNA KOMORA HIPERBARYCZNA

w Twoim gabinecie fizjoterapeutycznym

Rozbuduj ofertę o jedną z **najpopularniejszych metod regeneracyjnych** na rynku i zacznij odpowiadać **na potrzeby każdego klienta**.

omnioxy.com

- Zwiększ swoje przychody, dzięki innowacyjnemu urządzeniu, które nie wymaga Twojego udziału podczas zabiegu, dzięki czemu możesz przyjąć więcej klientów i równocześnie zarabiać więcej.
- Łagodna komora hiperbaryczna OMNIOXY pozwala na dotarcie do nowych grup docelowych oraz stanowi wsparcie wielu terapii manualnych.
- Dołącz do fizjoterapeutów, którzy pracują wydajnie.

Co mówią Rehabilitanci o współpracy z OMNIOXY?

Od momentu pierwszego kontaktu z firmą, wiedziałem, że będzie to fajna i owocna współpraca. Kontakt telefoniczny, szkolenie i oczywiście serwis jest na najwyższym poziomie. Wiedza, pasją oraz doświadczenie ludzi z OMNIOXY, daje wielki komfort w prowadzeniu biznesu. Cytując klasyka " OMNIOXY robi różnicę".

Jakub "Spina" Wójcik Fizjoterapeuta

Zabiegi tlenoterapii hiperbarycznej oprócz samego aspektu czynników fizjologicznych przyczyniły się również do poprawy funkcji poznawczych. Zawodniczki reagują szybciej i wiążę się to również z poprawą ich samopoczucia. Zalecam stosowanie łagodnej hiperbarii tlenowej w regeneracji powysiłkowej oraz w regeneracji po kontuzjach.

Norbert Wrzesiński Fizjoteraputa drużyny koszykarkiej kobiet VBW Arka Gdynia

eprasa.pl 15389caf8e

Czas pogardy

Piotr Gociek

„Gra z Cieniem", czyli rzadkość – poważny serial dla wymagającego widza, pokazujący ponurą prawdę o wczesnych latach PRL

Natalia Rybicka, czyli doktor Helena, i Grzegorz Małecki jako Tomasz Porada FOT. TVP

Pytam Macieja Świerkockiego, wybitnego tłumacza, specjalistę od Jamesa Joyce'a, co go ciągnie do popkultury. No bo oglądam nowy serial TVP „Gra z Cieniem", a tam jak byk: scenariusz – Anna i Maciej Świerkoccy. A przecież dopiero co odbierał pan Maciej seryjnie nagrody za wnikliwą monografię „Łódź Ulissesa", poświęconą najważniejszej książce Joyce'a.

– W dobrej i – mam nadzieję – mądrej popkulturze szukam pewnie tego samego, co mój znakomity poprzednik od „Ulissesa", Maciej Słomczyński, który też dał się poznać jako scenarzysta, nie tylko jako Joe Alex – mówi „Do Rzeczy" Maciej Świerkocki. – Jeśli piszę coś takiego jak „Gra z Cieniem", to bardzo chciałbym, aby było to coś, co sam chętnie obejrzałbym w kinie albo w telewizji, nawet gdyby napisał to ktoś inny, np. Słomczyński.

DZIEJE SIĘ ŹLE

O czym to opowieść? Jest rok 1951 – apogeum stalinizmu w Polsce. Trwa zaprowadzanie nowych porządków: w więzieniach UB trwają egzekucje bohaterów niepodległościowego podziemia, za kraty trafia bp Czesław Kaczmarek oskarżony o „faszyzację życia społecznego" i szpiegostwo na rzecz USA. W Warszawie staje pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Dzieje się wiele i dzieje się źle.

Dzieje się także za kulisami – oto przypadkowa wsypa w Danii sprawia, że Brytyjczycy tracą kontakt z cennym agentem pracującym dla nich w Polsce. Agent, kryptonim Cień, gromadził i przekazywał m.in. informacje na temat wydobycia uranu w Polsce. Cenna wiedza; od dwóch lat także Sowieci dysponują bombą atomową. Londyn stawia na nogi całą siatkę w PRL – trzeba ustalić, co się stało z „Cieniem". W tym samym czasie śledztwo prowadzi Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a dokładnie mjr Witold Kosek (znany m.in. z polskiej wersji „Sługi narodu" Marcin Hycnar).

Jednocześnie poznajemy drugą bohaterkę tej historii. Doktor Helena Bielawska (gra ją Natalia Rybicka, znana m.in. z serialu „Blondynka") szykuje się do wyjazdu na roczne stypendium w Leningradzie. Przez Czerwony Krzyż szuka męża zaginionego podczas okupacji, z rąk Niemców straciła ojca; żyje wraz z matką i synem w łódzkiej kamienicy, w mieszkaniu pełnym dokwaterowanych lokatorów z tzw. społecznego awansu. Życie Bielawskiej legnie w gruzach, gdy – sama o tym nie wiedząc – stanie się elementem rozgrywki między ważnym partyjnym dygnitarzem a jego dawną kochanką, obecnie śmiertelnie chorą pacjentką w szpitalu, w którym pracuje Bielawska. Skończy się to dla niej wyrokiem i odsiadką.

Wyprodukowany przez TVP serial „Gra z Cieniem" to propozycja, na jaką trudno dziś trafić: niegłupia, całkiem poważna opowieść dla dorosłego, wyedukowanego widza. Na tle typowej produkcji ze streamingu wręcz rarytas: ani to infantylna opowiastka o superbohaterach, ani podlizywanie się nastolatkom, ani przerabianie znanych motywów na modę woke. Porządna, trochę staromodna produkcja, której twórcy traktują widza serio. Z porządnym scenariuszem, ze świetnymi dialogami i z dużą dawką wiedzy historycznej o najbardziej ponurym okresie dziejów PRL.

– Przeczytaliśmy natomiast mnóstwo książek dotyczących tamtych czasów i przejrzeliśmy wiele materiałów, żeby jak najwierniej pokazać i codzienne życie zwykłych ludzi, i sposób „pracy", a zwłaszcza myślenia, stalinowskich specsłużb – opowiada Świerkocki.

Dla mnie to jedna z największych zalet serialu: nie trzeba pokazywać wyrywania paznokci, żeby ukazać łajdactwo systemu, a obraz nakreślony w „Grze

eprasa.pl 15389caf8e

z Cieniem" jest czarny, to znaczy prawdziwy. Oto kadry „nowej Polski" – jak nie były agent gestapo, to przedwojenny donosiciel, który sypał policji partyjnych towarzyszy komunistów. Oto przedstawiciele milicji, dla których zmontować lewy proces to jak splunąć, oto sądy, które seryjnie przyklepują haniebne wyroki. A na szczytach władzy nie jest lepiej: o kontrolę nad śledztwem mjr. Koska konkurują szef departamentu kontrwywiadu UB, wielki miłośnik tortur, oraz minister spraw wewnętrznych o ciemnej przeszłości. Obraz codzienności stalinizmu dopełniają portrety ludu pracującego miast i wsi: królują cwaniactwo i donosicielstwo, pogarda dla resztek „jaśniepańskiej przedwojennej Polski".

Nie jest to jednak opowieść papierowa, obraz Polski stalinowskiej nie ześlizguje się w karykaturę. – W swoich bohaterach, nawet tych najbardziej niegodziwych, staramy się dostrzec słabości, zobaczyć człowieka, pokazać go z niespodziewanej strony, co wcale nie oznacza usprawiedliwienia zła – tłumaczy Świerkocki. – Bo środowiska, które głównie penetrujemy w tym serialu, to jednak rzeczywiście w większości nikczemnicy, karierowicze, okrutnicy, a czasem nawet pożerające się nawzajem bestie. Stalinizm jak każdy totalitaryzm sprzyjał mnożeniu się takich indywiduów, niestety, szczególnie w milicji, w specsłużbach, w aparacie przemocy, a także w polityce, chociaż my w nią tutaj prawie nie wchodzimy, pozostawiamy ją w tle i w Londynie, i w Warszawie.

ŚWIAT TAMTYCH CZASÓW

Dla Macieja Świerkockiego nie jest to pierwsza przygoda z małym i dużym ekranem. Miał niewielki udział w powstawaniu serialu „Sfora", ale przede wszystkim napisał scenariusz do jednego z najlepszych polskich kryminałów historycznych, czyli „Tam i z powrotem" (2001) Wojciecha Wójcika. Tamta opowieść inspirowana była prawdziwą historią – napadem na bank w Łodzi w roku 1965. A „Gra z Cieniem"?

– Nie, tym razem jest to historia zrodzona właściwie całkowicie w wyobraźni – mówi „Do Rzeczy" Świerkocki. – Może z wyjątkiem jednego epizodu czy dwóch, jak ucieczka na Zachód Józefa Światły czy tzw. sprawy Robineau, której echo

Marcin Hycnar jako major UB Witold Kosek i Adrianna Malecka jako pielęgniarka Dziunia FOT. TVP

pobrzmiewa w fikcyjnej biografii jednej z więźniarek, romanistki Igi. Fabuła jest fikcyjna, ale sceneria, w której się rozgrywa, „autentyczna" na tyle, na ile jest to możliwe – precyzuje Świerkocki.

Skoro padło słowo „więźniarka", to dochodzimy do kolejnej bardzo ciekawej warstwy serialu „Gra z Cieniem". Tu i ówdzie w omówieniach czy recenzjach pada hasło „serial feministyczny", co jednak nie ma sensu. Na ekranie widzimy wiele postaci kobiecych, najważniejsza jest doktor Bielawska, której losy śledzimy (od drugiego odcinka) w kobiecym więzieniu, ale nie chodzi tu przecież o jakieś PRL-owskie „girl power", tyko o jeszcze jeden kawałek prawdy o cieniach tzw. demokracji ludowej. Komunistyczni aparatczycy czy oficerowie UB traktują kobiety jak materace, co niespecjalnie powinno dziwić, bo takież to było środowisko – chamów z awansu. A więzienie, w którym siedzi Bielawska, jest miejscem koszmarnym nie dlatego, że to placówka dla kobiet, tylko dlatego, że stalinowsko-bierutowska.

Patrząc szerzej, w PRL czy w Sowietach, opowieść o równouprawnieniu kobiet była jedynie bajędą podpieraną propagandowymi kawałkami o kosmonautce Tierieszkowej albo dziewczynach na traktorach. Prawdziwy feminizm w Polsce powinien zacząć od budowania swemu ruchowi fundamentów antykomunistycznych, bo taka była prawda o PRL, w którym kobiety musiały łączyć harówkę na pełen etat z troską o rodzinę i walką z codziennymi niedoborami podstawowych artykułów. Zmierzam do tego, że źródłem opresji jest nie walka płci, lecz władza niepoddana żadnej kontroli.

– To jest niezwykle ciekawe zagadnienie – mówi Świerkocki. – Świat tamtych czasów bywał obrzydliwie i głupio patriarchalny, więc sposób traktowania kobiet w naszym serialu wynika z tego, co o sytuacji kobiet wiemy z wykorzystanych materiałów źródłowych. Ale każda władza deprawuje czy demoralizuje – jak powiedział lord Acton – jest ona zatem niejako ponadpłciowa i to w „Grze z Cieniem", mam nadzieję, widać. I dodaje: – To jest właściwie serial o kobietach, mówiliśmy z żoną, więc może byłoby dobrze, żeby wyreżyserowała go kobieta. Dlatego z punktu widzenia scenarzystów właśnie dobrze się stało, że za kamerą stanęła Kinga Dębska, ale taryfy ulgowej nie udzielamy w „Grze z Cieniem" żadnej płci.

CHCEMY WIĘCEJ

Dębska, znana z filmów „Moje córki krowy" czy „Zabawa, zabawa", brnie w publicznych wypowiedziach w niepotrzebne opowieści o rzekomym heroizmie, jak to musiała namawiać aktorów do wystąpienia w produkcji telewizji PiS, obiecując im rychłą zmianę władzy. Ale przyznać trzeba, że serial „Gra z Cieniem" prowadzi pewną ręką i daje błyszczeć świetnej obsadzie. A dzieje się wiele: ministra spraw wewnętrznych gra Cezary Żak, szefową szpitala w Łodzi – Ewa Wiśniewska, jedną z zamkniętych we wspólnej celi z Bielawską więźniarek – Kinga Preis. No i za sprawą dobrych dialogów nawet postacie pojawiające się gdzieś na marginesie fabuły zapadają w pamięć.

– Można oglądać „Grę z Cieniem" jako serial „antykomunistyczny", a już bez wątpienia antystalinowski, ale dla nas jest to przede wszystkim szpiegowsko-kryminalny film psychologiczny, historia o ludzkim pragnieniu i potrzebie wolności, o sile miłości i o solidarności – mówi Maciej Świerkocki. I ma rację. Więcej takich, poproszę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Rodzina Pingwino

Gangster to nie zawód, gangster to charakter. „Jestem, jaki jestem" – mógłby rzec Oswald „Oz" Cobb, który bardzo nie lubi, gdy nazywa się go „Pingwinem". Ze światem komunikuje się przy pomocy pistoletu oraz pięści. Kulejący, niedźwiedziowaty, niepiękny i na pierwszy rzut oka niezbyt lotny. Lont ma krótszy niż Joe Pesci w „Chłopcach z ferajny": szybko się podpala i nigdy nie wiesz, kiedy wybuchnie.

Akcja rozpoczyna się kilka dni po wydarzeniach z finału filmu Matta Reevesa „Batman" (2022). W zalanym, targanym przemocą i dotkniętym narkotykową epidemią Gotham trwa walka o władzę nad przestępczym półświatkiem. Zginął boss mafii Carmine Falcone. Kto zajmie jego miejsce? „Pingwin" jest jednym z chętnych; tak jak w filmie Reevesa gra go Colin Farrell, niemal nierozpoznawalny pod charakteryzacją. W jego wersji „Oz" to nie żaden szalony superzłoczyńca, raczej proletariusz zbrodni; niczego nie odziedziczył, wszystko, co ma, wyszarpał sam. Ale kiedy ktoś spróbuje mu odebrać to, co jego, będzie walczył jak doberman. Farrell tworzy ciekawą kreację, ale porównania do Gandolfiniego z „Rodziny Soprano" są na wyrost. Za sukcesem „Rodziny Soprano" stał talent Davida Chase'a, za „Pingwinem" – jedynie Lauren LeFranc, specjalistka od telewizyjnej fantastyki young adult. Prawda jest taka, że nowej serii bliżej do serialu „Gotham" niż do prawdziwego kina mafijnego.

Samo Gotham na małym ekranie wygląda odpowiednio ponuro, jego peryferie przypominają New Jersey czy Long Island, ale to aktorzy sprawiają, że całą historię chce się oglądać. Każdą scenę, w której się pojawia, kradnie Cristin Milioti (pamiętamy ją z „Jak poznałem waszą matkę"), grająca groźną psychopatkę, córkę Falcone'a. Ważną figurę w mafijnej rodzinie gra Michael Kelly (czyli Doug Stamper z „House of Cards"). Jako szef konkurencyjnego gangu, Salvatore Maroni, występuje Clancy Brown (pamiętny Kurgan z „Nieśmiertelnego"). A jako że jest to opowieść z uniwersum Batmana, ale bez Batmana, to nikt tu nie gra po stronie dobra – jedynie głęboko zdeprawowani ludzie krzywdzą się nawzajem. Czynienie z „Pingwina" figury tragicznej jest działaniem na siłę, tak jak ocieplanie wizerunku Jokera w filmach Todda Phillipsa. Ale jakie czasy, takie lekcje moralności. ©℗

★★★★☆☆

SEZON 1
„PINGWIN" („THE PENGUIN")
USA 2024

wyst. Colin Farrell, Cristin Milioti, Rhenzy Feliz

NOWE SERIALE: „STARY CZŁOWIEK"

skyshowtime

Rekomendowałem w „Do Rzeczy" pierwszy sezon tego serialu (nr 39/2022), dziś odnotowuję premierę drugiego sezonu. Oparta na powieści Thomasa Perry'ego historia o emerytowanym kilerze z CIA (Jeff Bridges) i jego starym kumplu/prześladowcy (John Lithgow) zmienia charakter: mniej scen akcji, więcej dramatu czy nawet melodramatu, ale wszystko wciąż w ramach śmiertelnie niebezpiecznej rozgrywki z talibanem. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 2 „Stary człowiek" („Old Man"), USA 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Potsy Ponciroli* ***„Wyspa chciwości" („Greedy People"),*** *USA 2024* polsat box go
- *reż. Azazel Jacobs* ***„Jego trzy córki" („His Three Daughters"),*** *USA 2023* N
- *reż. Dev Patel* ***„Monkey Man",*** *USA 2024* prime video

eprasa.pl 15389caf8e

Mocny temat

KINO

Abel, rozkojarzony rodzącym się uczuciem do koleżanki (która jednak wzdycha do kogoś innego), nie przykłada się do nauki. Zdając egzamin maturalny, zapomina języka w gębie. Ojcu powie jednak, że oblał z powodu kokardy w barwach narodowych, którą zapomniał odpiąć od marynarki. Rodzic, uczulony na ojkofobię szerzącą się w środowisku liberalnych pedagogów, gotów jest w to uwierzyć. Początkująca reporterka o światopoglądzie patriotycznym szuka tematu, który pozwoli jej zaistnieć. Artykuł o feralnym egzaminie wywołuje skandal o rozmiarach przerastających wyobraźnię jego inicjatorów. Pocieszające, że akcja rozgrywa się nie nad Wisłą, lecz nad Dunajem. Diagnoza twórców filmu jest prosta: Węgrzy są sfrustrowani, niekoniecznie polityką. Przyczyną gniewu równie dobrze mogą być kiepskie zarobki lub cieknąca lodówka. W konsekwencji poprawkę z matury powinni zdawać dorośli: od panikującego dyrektora i nauczyciela narcyza, któremu wszystko kojarzy się z Orbánem, do dziennikarza wymyślającego bulwersujące tytuły tudzież kolesia przekonanego, że połowa rodaków to zdrajcy, którzy powinni wyemigrować. Reisz nie chce zostawiać widzów w poczuciu beznadziei, więc sugeruje, że młode pokolenie jest inne. Kto chce, niech wierzy. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. GÁBOR REISZ
„WYTŁUMACZENIE WSZYSTKIEGO"
WĘGRY/SŁOWACJA 2023

wyst. Gáspár Adonyi-Walsh, István Znamenák, András Rusznák

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DZIEWCZYNA W FONTANNIE

KINO

Po hołdach składanych Felliniemu przyszła kolej na jego ulubionego aktora. Chiara, córka Mastroianniego, mając dość porównań do tatusia, postanawia się doń upodobnić. Każe do siebie mówić Marcello, wkłada kapelusz i okulary, pali papierosy i pije whisky oraz mówi tylko po włosku (choć mieszka w Paryżu). Otoczenie reaguje różnie: jedni są wkurzeni, inni rozbawieni, najmądrzejsi przyjmują reguły gry. Matka (czyli Catherine Deneuve) po prostu się martwi. Autoterapia czy problemy z tożsamością? Szczerze mówiąc, motywacje Chiary, w wolnych chwilach czytającej „Nieśmiertelność" Kundery, są mętne. Próby „odzyskania wspólnego życia" prowadzą donikąd. Kreatywność mocno kuleje, prawie wszyscy bowiem grają tu samych siebie. Ambiwalencja związana z byciem potomkiem VIP-a scenariusza nie zastąpi. Mastroianni, który błyszczał nawet w banalnych filmach, zasługiwał na lepszy prezent w setne urodziny. ©℗

★★☆☆☆☆

REŻ. CHRISTOPHE HONORÉ
„MARCELLO MIO"
FRANCJA/WŁOCHY 2024

wyst. Chiara Mastroianni, Fabrice Luchini, Catherine Deneuve

CI PASKUDNI FACECI

max

Francesca po wizycie u lekarza rozważa, czy chce spędzić resztę życia z mężem gburem. Maria zamierza stracić dziewictwo z przystojnym kolegą z klasy. Ana przychylnym okiem patrzy na ekspedienta z pobliskiego sklepu, lecz spodziewa się, że ich pierwsza randka będzie zarazem ostatnią. W pogoni za ideałem, któremu na imię „To tylko miłość", reżyserka debiutantka radzi sobie nadspodziewanie dobrze. Historie zgrabnie się przenikają, w wielu momentach są nieodparcie zabawne. Tezę, że Włosi niewiele zmienili się od czasów Boccaccia, trudno uznać za obrazoburczą. Do fabuł piętnujących egoistycznych panów, którym dopiero na starość zaczyna coś świtać we łbach, też zdążyliśmy się przyzwyczaić. Bardziej dziwi koncept, że w kwestiach hm... obyczajowych jedyną zasadą powinien brak jakichkolwiek zasad. Na taki eksperyment się nie piszemy. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. GIULIA STEIGERWALT
„WRZESIEŃ" („SETTEMBRE")
WŁOCHY 2022

wyst. Barbara Ronchi, Thony, Fabrizio Bentivoglio

GRA TYGODNIA: „ASTRO BOT"

Część pierwsza serii była grą VR, część druga – darmowym tytułem debiutującej PlayStation 5, stworzonym, by pokazać możliwości nowej konsoli, a zwłaszcza nowego pada. Trzecia odsłona to już pełnoprawna platformówka 3D zrobiona w znakomitym stylu. Świetnie zaprojektowane poziomy, bossowie i mechaniki, humor, masa easter eggów i grywalność na wysokim poziomie. Kilkanaście godzin spędzonych z tytułowym robotem może być dobrą odskocznią po ciężkim dniu. Także dla młodszych, bo poziom trudności nie jest wygórowany. ©℗ ***Radosław Wojtas***

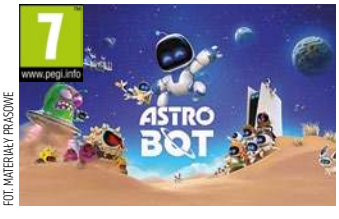

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *platformówka 3D*
- ***Platforma:*** *PS5*
- ***Producent; dystrybutor:*** *Team Asobi; Sony Interactive Entertainment*

eprasa.pl 15389caf8e

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Chytry uśmiech Boga

Jerzy Liebert, do którego twórczości przylgnęła etykieta religijności – prawda, że często rozumianej nadto powierzchownie – miewał z nią nieoczekiwane kłopoty. Tak właśnie było z wierszem „Pan Bóg i bąki" z pierwszego tomiku jego wierszy „Druga ojczyzna" (1925). Utwór wydrukowała lwowska „Gazeta Poranna", co zaowocowało wniesieniem wobec autora oskarżenia o… bluźnierstwo. Takie oto strofy wzburzyć miały bogobojnych lwowian:

Pan Bóg jest dzieckiem płochym, które dla zabawy
Słodki kwiat koniczyny ukrywa wśród trawy.
Z obłoków na nią bąki furkocące strąca,
By w kwiatach brzuszki skryły od wielkiego słońca.
Gdy później bąki ciężko poruszają głową,
Plączą nogi od miodu i fruwać nie mogą.
I spoglądają w niebo z wyrzutem
i gniewem –
Bóg chytrze się uśmiecha, że o niczym nie wie.

Zarzuty były oczywiście absurdalne, a dokonana przez poetę – powiada dr hab. Anna M. Szczepan-Wojnarska, autorka wydanej niedawno książki o twórczości Jerzego Lieberta „Uwierzyć słowom" – „antropomorfizacja Boga i ukazanie Go jako małego dziecka stanowi swego rodzaju grę z tradycją. Obraz Boga Ojca, który znajduje się w niebie, oraz Boga Syna, który stawszy się człowiekiem, przebywa na ziemi i ingeruje w jej najdrobniejsze sprawy, został utrwalony i zaakceptowany, niemniej u Lieberta Bóg strąca z obłoków owady, psoci. Cała wiedza o Bogu i stworzeniu wyrażona jest w kategoriach ludzkich, co wydaje się zasadniczym przesłaniem tego utworu: człowiek może mówić tylko o własnej, ludzkiej percepcji tego, co nie podlega werbalizacji – relacja między stworzeniem a Stwórcą pozostanie dla człowieka tajemnicą". A, swoją drogą, skojarzenie tego utworu z wierszami ks. Jana Twardowskiego jest wręcz automatyczne.

Jerzy Liebert urodził się w Częstochowie, dzieciństwo spędził w Ostrowcu i Warszawie, gdzie rozpoczął naukę w gimnazjum im. Mikołaja Reja, by w 1915 r. wyjechać z rodziną do Moskwy. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przyszły poeta wrócił do Warszawy i odtąd było to już jego miasto. Pisał też o nim: o kościele św. Aleksandra, a także o targowisku za Żelazną Bramą, ze znajomością i zrozumieniem stolicy, a przede wszystkim z wielką do niej miłością, jak w „Piosence do Warszawy":

Warszawo! Ach, któryż to raz
Od murów twoich biegłem precz –
W oddali nikł Zygmunta miecz,
Zamek Królewski, Nowy Zjazd.
Po wszystkie czasy klnąc twój bruk,
Twój blichtr i szyk, twój gorzki chleb,
Zmykałem stąd, zachodząc w łeb –
Jakżem choć dzień wytrzymać mógł!
A później przez Kierbedzia most,
Warszawo! – powracałem znów,
Nieśmiały, pełen tkliwych słów
I jakże czuły na twój głos.
Znajdźcież mi drugi taki gród –
Ten smętny czar, ten senny tłum
Górnych i durnych pełen dum
Niezłomnych wad, zabawnych cnót…
Znajdźcież mi drugi taki kąt,
Co tak sam w sobie – z siebie rad –
Ani ogląda się na świat…
I mówcie – jakże biec mi stąd?…

Zapatrzony w twórczość swoich wielkich poprzedników: Kochanowskiego, Słowackiego, Norwida, stawiał Liebert swojej poezji najwyższe wymagania, dowodząc, że może im sprostać. Tyle że nadchodząca śmierć unosiła się nad wierszami z wydanej już po zgonie autora znakomitej „Kołysanki jodłowej" (1932), nad utworem tytułowym kończącym się strofami:

W termometrze rtęć skoczna
Jutro się uspokoi.
Z próżnią przykro widoczną
Przestrzeń wnet się oswoi.
Poprzez wonność jodłową
Pójdą, każde w swą stronę:
Ciało – w ziemię lipcową,
Dusza – w góry zielone;

czy nad przejmującą „Pieśnią o zagładzie":

Tylko się oczy stają większe,
Tylko oddechy coraz cięższe
I kaszel żebra nam rozsadza.
Przeciągły, głuchy, w izbie dudni,
Do gardła skacze i ujada.
Oddech chwytamy coraz trudniej,
W przekrwionych oczach fruwa sadza.
W ścianę stukają u sąsiada.
A za szybami ciągnie jesień –
Na liść ostatni dmucha mgłami.
I wyczerpanym, zakasłanym
Przygrywa miasto za szybami
Jak dobrze nakręcony bąk.
Kołuje z gwizdem i warkoce,
Szyby przebiega melodiami.
A w takt mu wtórzy i dygoce
Spluwaczki metalowy krąg.

Autor tego wiersza – czytamy – „pochłonięty był istnieniem, jego siłą i tajemnicą. Określenie »poeta religijny« traci wobec niego jakikolwiek walor interpretacyjny. Doświadczał grozy słów, a nie lęku przed tym, czy uzyska kościelną aprobatę; doświadczał dojmującego cierpienia fizycznego i duchowego w kontekście swej wiary, ale nie podejmował rekomendowanych i konwencjonalnych sposobów radzenia sobie z nim czy prób racjonalizowania obecności bólu w ludzkim życiu".

Wyniszczająca gruźlica pokonała go 19 czerwca 1931 r. Poeta spoczął na warszawskich Powązkach. Nie dożył 27 lat. ©℗

★★★★☆☆
ANNA M. SZCZEPAN-WOJNARSKA „UWIERZYĆ SŁOWOM. O POEZJI JERZEGO LIEBERTA"
INSTYTUT LITERATURY, KRAKÓW 2023

eprasa.pl 15389caf8e

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Róbmy swoje

Chwalmy osobność, odwracajmy się plecami do współczesnego jazgotu i bełkotu. Jest dobra okazja, w nowym tomie wierszy Wojciech Wencel już na początku deklaruje:

kto to słyszał: prócz przyjaciół
i rodziny
kontaktować się wyłącznie
z umarłymi.

Rozmawia więc z umarłymi samotnik z Matarni, choć dla kilku z nich uczynił przecież w ostatnich latach dużo więcej, bo jego książki biograficzne o Kazimierzu Wierzyńskim, Janie Lechoniu i Stanisławie Balińskim to rzeczy wybitne. Teraz wraca do nas nie Wencel eseista, lecz Wencel poeta – i jest to dobra wiadomość.

Listy do umarłych, modlitwy, wyznania wiary – wszystko to przeplata się w niespełna 30 wierszach.

Mój Boże nie umiem się modlić
Inaczej niż mową wiązaną

– pisze Wencel w „Maleńkiej improwizacji", by dodać w „Ostatnim słowie": „Nie byłem panem swoich wierszy". Kilka ostatnich wierszy brzmi, jakby miałby to być tom pożegnalny. Pytając: „Gdzieśmy byli, co robili przez pół życia", oddaje się władzy wyższej siły: „W sercu radość / że to, co nieuchronne, łasi się nam do nóg".

Pożegnanie, ale jakie: pożegnanie, które jest aktem zawierzenia, aktem poddania, aktem miłości, aktem wiary. Świat się kończy – nasz mały świat, nasze małe istnienie – ale nie kończą się wiara, nadzieja, miłość: „trwają nieposkromione / z nich największa jest miłość".

Przeczytałem „Mnemosyne" raz łapczywie, potem już inaczej, bo drugi raz. I co jakiś czas do niej zaglądam; nie zaginęła w gąszczu innych książek. Cóż lepszego mogę napisać o wierszach?

A gdy czytam: „Napisałem już wszystko, co miałem napisać", nie wiem, czy zazdrościć tej deklaracji czy bardziej się nią martwić. Z jednej strony – najlepszy, moim zdaniem, tom wierszy („Moje dzieło pośmiertne") opublikował Jarosław Marek Rymkiewicz, licząc lat 58, będąc zatem kilka lat starszy niż Wencel dziś. Z drugiej strony, tak na poważnie: jeśli poezja rzeczywiście jest tym, czym ogłasza ją Wencel, to przecież nie od niego zależy, kiedy zapisze ostatnie słowo. Większa od nas siła bierze nas sobie i używa, jak chce. ©℗

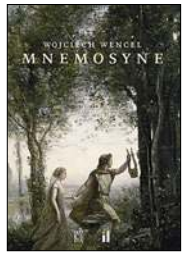

★★★★★☆
WOJCIECH WENCEL „MNEMOSYNE" ARCANA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dlaczego ludzi dzielą religia i polityka? – pyta amerykański psycholog. Zaczyna się od emocji; rozum podpowiada, jak je racjonalizować. Choć sam liberał Haidt broni prawa konserwatystów do własnej wizji świata: inni, nie gorsi.

JONATHAN HAIDT „PRAWY UMYSŁ" ZYSK I S-KA

Historia dużo ciekawsza i o wiele bardziej wielobarwna od wersji bezmyślnie powtarzanej przez media. Rzecz o trzech pokoleniach sławnej rodziny, a przy okazji o ostatnim stuleciu historii Francji.

KACPER KITA „SAGA RODU LE PENÓW" DĘBOGÓRA

Obszerny tom zawierający wznowienie książek „Nowa Rosja", „Kreml na biało", „Sowieckie zbrojenia moralne" i teksty rozproszone wybitnego przedwojennego znawcy Rosji sowieckiej, korespondenta PAT w Moskwie.

JAN STANISŁAW BERSON „NOWA ROSJA" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

Trylogia o terraformowaniu Czerwonej Planety to jedno z najważniejszych dzieł SF ostatniego półwiecza. „Zielony Mars" to środkowa część – pierwsza to „Czerwony Mars", ostatnią będzie „Błękitny Mars". Czytać w całości.

recenzuje Piotr Gociek

KIM STANLEY ROBINSON „ZIELONY MARS" VESPER

KOMIKS TYGODNIA: „PRZYGODY GALA ASTERIKSA"

Nowa edycja wszystkich albumów o dzielnych Galach wyróżnia się wyjątkowym bogactwem materiałów dodatkowych, do każdego albumu dodano ich po kilkadziesiąt stron. W tomie pierwszym szczególnie ciekawa jest opowieść o nieudanych próbach podbicia amerykańskiego rynku oraz o tym, dlaczego zamiast planowanej serii o Lisie Renarcie powstał cykl o Asteriksie i Obeliksie.

Piotr Gociek

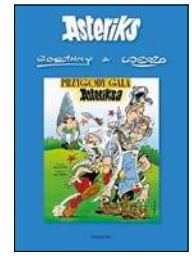

GOSCINNY, UDERZO „PRZYGODY GALA ASTERIKSA" STORY HOUSE EGMONT 2024

eprasa.pl 15389caf8e

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malczewski w kontekstach

170 lat temu, 15 lipca 1854 r., w Radomiu urodził się Jacek Malczewski. Tegoroczny jubileusz był przyczynkiem do zorganizowana mniejszych i większych wystaw, kolejną z nich otwarto niedawno w muzeum imienia Jacka Malczewskiego w mieście, w którym artysta przyszedł na świat.

FOT. DANIEL ADAMCZYK

Zebrano ok. 150 prac. Część to zbiory własne Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, ściągnięto też dzieła z innych muzeów i prywatnych kolekcji. Twórczość Jacka Malczewskiego, zgodnie z tytułem wystawy – „Jacek Malczewski. Konteksty" – pokazano w kontekstach dzieł innych artystów. Są to ludzie, którzy mieli wpływ na malarstwo Malczewskiego, z którymi wchodził w relacje mistrz – uczeń lub których znał i z którymi się przyjaźnił. Są wśród nich: Jan Matejko, Witold Pruszkowski, Maurycy Gottlieb, Józef Brandt, a także ważni zagraniczni twórcy, tacy jak Hans Thoma czy Max Klinger. ©℗

GDZIE? ***Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu***
KIEDY? ***do 5 stycznia 2025 r.***

FOT. MACIEJ JANUSZEWSKI

NATURA CIEKAWOŚCI

Wystawa, na której muzealia z różnych epok i kręgów kulturowych spotykają się z pracami graficznymi współczesnej artystki – Agnieszki Cieślińskiej-Kaweckiej. „Muzealnicy [...] odkryli już wiele lat temu, że wprowadzenie dzieł sztuki nowoczesnej i współczesnej do muzeum prezentującego sztukę dawnych okresów ożywia reakcję odbiorców, jest właśnie stymulacją ciekawości" – wyjaśnia prof. Dorota Folga-Januszewska, kurator wystawy. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie***
KIEDY? ***do 13 października***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Prawda i mit

55 lat temu odbył się najsłynniejszy festiwal rockowy. Jego mit zbudował film dokumentalny „Woodstock", który w 1970 r. otrzymał Oscara. Również dzięki niemu kilka mało znanych zespołów stało się gwiazdami. Jednym z nich był Ten Years After.

Dopiero teraz ukazał się pełny zapis koncertu Anglików. Grupa miała zagrać trzeciego dnia. Ulewa opóźniła przylot zespołu, a i tak muzycy musieli czekać jeszcze kilka godzin na przygotowanie sceny. Była ona zalana, instrumenty nie stroiły, nagłośnienie było fatalne. I dopiero współczesna technologia umożliwiła doprowadzenie nagrań do przyzwoitego poziomu słuchalności i wydania na płycie.

Na program koncertu złożyły się cztery standardy czarnoskórych bluesmanów (m.in. „I Can't Keep from Crying Sometimes", które trwa 18 min) i ośmiominutowe solo na perkusji. Nic nadzwyczajnego. I gdyby promotor Bill Graham nie wywołał zespołu na bis, nie byłoby o czym dziś pisać.

„Ten numer nazywa się »Wracam do domu«... helikopterem" – powiedział gitarzysta Alvin Lee i rozpoczął maraton na czerwonym gibsonie ES-335. Jego palce przelatywały po strunach z prędkością światła, doprowadzając widownię do ekstazy. I te 10 minut zarejestrowane na taśmie celuloidowej stworzyło z Alvina Lee boga gitary. ©℗

★★★★☆☆
TEN YEARS AFTER
„WOODSTOCK 1969"
CHRYSALIS

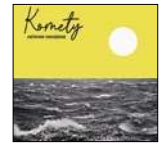

★★★★☆☆
KOMETY
„OSTATNIE OKRĄŻENIE"
PELETON

Jedenasty album Komet, wbrew tytułowi, nie ma być ich ostatnim. To najbardziej różnorodna płyta. Dwanaście pełnych energii, melancholijnych piosenek w najlepszej tradycji brytyjskiego rocka. Miłości, samotności i miejskiej codzienności.

★★★★☆☆
MIKE STERN
„ECHOES AND OTHER SONGS"
MACK AVENUE

Gitarzysta z lekkością czaruje, przechodząc od bopu przez afrolatynoskie synkopowanie do wściekłego fusion i awangardowego jazzu z rockowymi fajerwerkami. Jednocześnie wspaniale uspakaja w balladach „Gospel Song" i inspirowanej dokonaniami Steely Dan „Climate". ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

FOT. JAN BOGACZ/TVP

Sztuka dopieszczona

Grzegorz Kondrasiuk

Telewizyjna realizacja sztuki Macieja Wojtyszki „Dowód na istnienie drugiego", premierowo wystawionej dekadę temu w Teatrze Narodowym, jest przedsięwzięciem zaskakująco chwalebnym

Ekranowe „życie po życiu" otrzymał spektakl już na scenie porządnie „wygrany", który zszedł z repertuaru z tarczą, po długiej i chyba udanej, jak to się brzydko mówi, eksploatacji.

W przedsięwzięcie zaangażowano zespół realizatorów oraz większą część obsady teatralnej prapremiery. Tak czy inaczej w centrum znajduje się Jan Englert (jako Gombrowicz), który dzięki swej charyzmie, nieskazitelnemu warsztatowi, a także pozycji zawodowej kabotyństwo pisarza wzniósł na wyższe piętro. Cały aktorski ansambl staje tu godnie, bo rzecz przeznaczona na kameralną scenę Narodowego jest porządnie przez lata wydestylowana i wypieszczona. Bliskość kamery tylko pomaga, bo najważniejsze są tu relacje pomiędzy ludźmi, a w dodatku scenariusz przetwarza dużą literaturę, głównie dwa „Dzienniki" – Gombrowicza i Mrożka.

NIEUSTANNY SPARING

„Dowód…" jest próbą wyobrażenia sobie, jak wyglądało spotkanie dwóch pisarzy w atmosferze wytwarzanej przez Gombrowicza przebywającego we Francji w końcówce lat 60., podbijanej przez towarzystwo orbitujące wokół pisarza. Pomysł dramaturgiczny polega na tym, że Mrożek wydaje się zawstydzony i zakompleksiony, prawie się nie odzywa. Neurotyczny milczek (Przemysław Stippa) irytuje Gombrowicza, ustawiającego się w roli geniusza, nieuznającego żadnej pisarskiej konkurencji, i poszukuje wyłącznie elementów tła. Tymczasem jest to czas, kiedy „cała Polska mówi Mrożkiem", co zmusza Gombrowicza – łaknącego relacji z polskimi odbiorcami i próbującego zrozumieć opuszczoną 30 lat wcześniej ojczyznę-synczyznę – do nieustannego sparingu i udowadniania swej przewagi za pomocą międzyludzkich manipulacji.

Sztukę wypełniają więc pułapki sytuacyjne ukrywające wielkie samotności, o czym mówi się tu za Sartre'em we frazie, która przeszła do tytułu: „Nie wiadomo, czy ten drugi istnieje, na pewno istnieję tylko ja sam". Dużo tu literatury i filozofii, można wrócić do diagnoz Gombrowicza – tak naprawdę napisanych, wycyzelowanych w cichej pracy przy pisarskim biurku, a nie wypowiadanych jako riposty w żywych sytuacjach.

Nieco niewiarygodne jest też dopisywanie prostych motywacji psychologicznych postaciom drugiego planu; szczególnie szkoda mi tutaj małżeństwa Marii i Bohdana Paczowskich, stanowiących tło tej opowieści. Pisarka i architekt chyba byli jednak ciekawszymi ludźmi niż tymi figurami ukazanymi w tableau Wojtyszki? Trzeba też przyznać, że dramat byłby zbyt suchy, gdyby nie dwie dobrze napisane role kobiece. Mocną przeciwwagę Englertowi-Gombrowiczowi, rozbijając zagrożenie dominacji głównej, ekspansywnej postaci, daje Dominika Kluźniak. Malarka Maria Obremba, żona Mrożka, jest powściągliwa, dyskretna, stawia opór, zbija mordercze sztychy Gombrowicza wymierzone nie tylko w nią, lecz także w cały cech malarzy en bloc. Jest też niedopowiedziany dramat Rity (Kamila Baar), dramat całkowitego poddania, rozpuszczenia się w zbyt silnej, a właściwie, należałoby rzec, toksycznej osobowości partnera.

Maciej Wojtyszko, jak wiadomo, specjalizuje się w dobrze skrojonych fantazjach biograficznych, uwieczniając credo XX-wiecznej inteligencji (może i coś więcej?). Ładnie i wdzięcznie się ta pozycja starzeje, wraz z uhistorycznieniem się XX-wiecznej formacji, której ważnym elementem jest figura niezależnego artysty-inteligenta-filozofa. Dziś to postać światu obojętna, a może nawet żałosna, jeśli weźmiemy pod uwagę jej zwyczajowe roszczenia – chęć wywierania wpływu na losy świata i nieodłączną megalomanię. „Jeżeli nie będziemy dyskutować o Mickiewiczu i Słowackim, Gombrowiczu i Mrożku, to będziemy intelektualnymi kalekami" – powiedział Wojtyszko w jakimś wywiadzie, zapowiadając teatralną premierę. O czym tu mowa? Przecież od dawna nie dyskutujemy… I to też jest ważny, niekoniecznie zamierzony temat tego spektaklu, raportu z jakieś dawno zatopionej Atlantydy. Do tego po ukazaniu się dokładnych biografii obu pisarzy (Suchanow, Nasiłowska), skoncentrowanych na faktach mniej znanych oraz obalaniu stereotypów opartych na publicznym wizerunku, raczej szukalibyśmy czegoś, co ze stereotypem się kłóci. Jest to więc nie tylko sztuka o literatach, lecz także obrona tamtych dawno straconych pozycji. ©℗

„DOWÓD NA ISTNIENIE DRUGIEGO"
TEATR TV (2024)
SCENARIUSZ, REŻYSERIA: MACIEJ WOJTYSZKO
DOSTĘPNY NA: VOD.TVP.PL

eprasa.pl 15389caf8e

Śledztwo w sprawie formuły, która wyraża całkiem nowy stosunek Kościoła do judaizmu

Kto wymyślił starszych braci w wierze?

Paweł Lisicki

Nie sposób już teraz, po tylu latach, nie dostrzec osobliwych wypowiedzi papieża Franciszka. Ostatnio wspomniałem o jego naukach na temat muzułmanów, którzy są rzekomo „światłością świata". Wielu katolików jest wstrząśniętych. Widzą oni jednak, obawiam się, jedynie wierzchołek góry lodowej. Nie dostrzegają, a może nie chcą dostrzec, że Franciszek jest w znacznym stopniu, co się tyczy stosunku do dialogu międzyreligijnego, kontynuatorem swych soborowych i posoborowych poprzedników. Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć do korzeni. I to właśnie postanowiłem zrobić w swojej najnowszej książce. Poniżej jej fragment

Trudno powiedzieć, do kogo konkretnie odwoływał się Jan Paweł II, gdy pierwszy raz w 1986 r. wspomniał o Żydach jako naszych „starszych braciach w wierze". Czeski pisarz Pavel Zahradnik pisał, że choć wielu starało się ustalić, co było natchnieniem dla papieskich słów, to „dopiero młoda polska historyczka literatury Agnieszka Zielińska zwróciła uwagę na rzeczywiste źródło, z którego czerpał Jan Paweł II – mianowicie na heterodoksyjne nurty w polskim romantyzmie, z którymi przyszły papież zapoznał się bliżej w młodości jako student polonistyki w Krakowie. „Starszego brata Izraela" spotykamy u Adama Mickiewicza w jego „Składzie

eprasa.pl 15389caf8e

FOT. ADOBE STOCK

zasad” z roku 1848, 15-punktowym programie, którym miała kierować się najpierw Mickiewiczowska legia włoska, ale później także życie w oswobodzonej Polsce. W punkcie 10. czytamy: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo i pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu”. Nie jestem przekonany, czy taka była geneza tych słów. Mickiewicz traktował starszeństwo Izraela w kategoriach narodowych i pod tym względem miał rację. Tak, każdy naród walczący w XIX w. o niepodległość mógł odwoływać się do Izraela.

Trzeba tu dodać, że Mickiewicz nie był pomysłodawcą tej frazy – „przejął ją od swego »Mistrza« i duchowego wodza, Andrzeja Towiańskiego”. Ten w lipcu 1841 r. osiadł w Paryżu, centrum polskiej emigracji, gdzie głosił, że otrzymał specjalne objawienie. Dalej cytuję Zahradnika: „Bardzo szybko skupił wokół siebie krąg zwolenników; pomogła mu w tym zapewne okoliczność, że od samego początku wśród jego stronników znalazł się także powszechnie szanowany Adam Mickiewicz, którego małżonkę Towiański rzekomo uzdrowił ze sporadycznych zaburzeń psychicznych”.

„Koło”, jak nazywała się grupa czcicieli Towiańskiego, miało wszelkie zewnętrzne oznaki sekty – były tu histeryczne kobiety, a także nie mniej histeryczni mężczyźni (w okresie romantyzmu nie było to niczym niezwykłym), nie brakowało całowania stóp „Mistrza”, „sióstr” donoszących na „braci” czy nawet pewnego elementu erotycznego, który do zgromadzenia wniosła młoda i powabna Ksawera Deybel, „księżniczka Nowego Jeruzalem”, którą „Mistrz” przywiózł sobie z domu. Najbardziej egzaltowani spośród zwolenników Towiańskiego prowadzili całkiem poważnie dyskusje na temat, czy „Mistrz” jest Duchem Świętym, Chrystusem Pocieszycielem, drugim wcieleniem Słowa czy też raczej jakimś sakramentem.

Wszystko to strasznie mętne, egzaltowane i dwuznaczne. Towiański uznawał trzy wielkie narody Bożego ludu, wypełniające stopniowo zadania, które zostały im powierzone. Pierwszym z tych narodów byli Żydzi, drugim Francuzi, a trzecim Polacy, tzn. Słowianie (w swoim Wielkim Periodzie Towiański używał sformułowań „Izrael Żyd”, „Izrael Francuz” i „Izrael Słowianin”), którzy mieli odgrywać wiodącą rolę w owym „trzecim piętrze Kościoła”, naprawiając nieustannie poprzednie dwa piętra. Żydom jako „starszym braciom”, „duchowo najstarszym wiekiem”, których zadaniem było „prowadzenie młodszych braci na Bożej drodze”, poświęcał wszakże Towiański coraz więcej uwagi: starał się nawracać ich na chrześcijaństwo i oczywiście również na towianizm. Pierwszym Żydem, którego udało mu się pozyskać, był Gerson Ram, syn żydowskiego kupca z Litwy, który potem działał misyjnie wśród innych Żydów; Rama posyłał też Towiański jako swego wysłannika do Rothschilda i do Grzegorza XVI.

Czeski autor zauważa jednak trafnie, że jeśli „przyjrzymy się bliżej terminologii Towiańskiego, jego słowom o »braterstwie Izraela z młodszymi braćmi«, »człowieku późniejszym«, »nowych narodach«, a także innym podobnym wypowiedziom, okaże się, że terminu »starsi bracia« nie odnosił on do religii judaistycznej, a raczej do narodu żydowskiego, zatem do narodu, który naprawdę jest starszy niż Francuzi, Polacy czy inne narody chrześcijańskie. Towiańskiego pojmowanie Żydów jako »starszych braci« Francuzów czy Polaków »nie powinno zatem być, jak się wydaje, wrogie dla katolickiego chrześcijanina«. Nie da się jednak tego powiedzieć w odniesieniu

eprasa.pl 15389caf8e

do Żydów współczesnych, do wyznawców judaizmu rabinicznego, którzy to w żadnym tego słowa znaczeniu, czy historycznym, czy religijnym, czy moralnym, nie mogą odgrywać roli starszych braci chrześcijan”.

***

Przytaczam te ustalenia, bo faktycznie z Towiańskim i jego myślą papież mógł się zetknąć w Krakowie, gdy fascynował się twórczością polskich romantyków. Bardzo możliwe, że utkwiły mu wtedy w pamięci takie zwroty jak te, że Żydzi to „starsi bracia”, „duchowo najstarsi wiekiem” i że ich zadaniem jest „prowadzenie młodszych braci na Bożej drodze”. Jednakże od czasów krakowskich do 1986 r. minęło kilkadziesiąt lat i w tym czasie nigdy się takim określeniem nie posłużył. Wydaje się, że można wskazać inny trop. Osobą, która podejmowała Jana Pawła II w synagodze, był naczelny rabin Rzymu Elio Toaff. Jego ojciec, naczelny rabin w Livorno, był najbliższym uczniem XIX-wiecznego rabina włoskiego i słynnego kabalisty, Eliasza Benamozegha. Również Toaff powoływał się często na – jak określano Benamozegha – „Platona judaizmu włoskiego”. Książka Benamozegha „Izrael i ludzkość” była kluczowym dziełem zwolenników dialogu religijnego z chrześcijaństwem.

Dlatego myśl włoskiego rabina z XIX w. stała się ważnym punktem odniesienia dla innych żydowskich autorów, takich jak Franz Rosenzweig czy Emmanuel Lévinas, do których nawiązywał Jan Paweł II.

To w pismach Benamozegha stosunek między Izraelem a Kościołem wyrażony jest w taki sposób, jaki najlepiej odpowiada papieskiej formule. „Dla hebraizmu świat jest jak jedna wielka rodzina, w której ojciec żyje w bezpośrednim kontakcie ze swoimi dziećmi, którymi są różne narody ziemi. Wśród nich jest pierworodny syn, który zgodnie z dawnymi przepisami był kapłanem rodziny, odpowiedzialnym za wypełnianie poleceń ojca i zastępowanie go pod jego nieobecność. To on zarządzał rzeczami świętymi, sprawował obrzędy, nauczał i błogosławił. W dowód wdzięczności za tę posługę otrzymywał podwójny udział w ojcowskim dziedzictwie oraz konsekrację, czyli nałożenie rąk, swego rodzaju religijną inwestyturę, którą czasami ojciec przyznawał nie pierworodnemu, lecz temu spośród synów, którego uważał za najbardziej godnego. Taka jest żydowska wizja świata. W niebie jeden Bóg, wspólny Ojciec wszystkich ludzi, a na ziemi rodzina narodów, wśród których Izrael jest pierworodnym synem; jego obowiązkiem jest nauczanie i sprawowanie kultu prawdziwej religii ludzkości, której jest kapłanem. Tą religia jest prawo Noego: rodzaj ludzki przyjmuje ją w dniach Mesjasza, a misją Izraela jest zachować ją i sprawić, by zatriumfowała, gdy nadejdzie jej godzina”.

Ściana Płaczu w Jerozolimie

FOT. ADOBE STOCK

Nie da się ukryć, że obraz Izraela jako starszego brata, który to poucza w imieniu ojca młodszego, chrześcijaństwo, idealnie pasuje do opisu roli narodu żydowskiego, którą przedstawił rabin. Kościół byłby zatem instrumentem nauczania Prawa Izraela dla wszystkich narodów. Byłby młodszym bratem, tym, który wykonuje i słucha się nakazów starszego, reprezentując go wobec ludów ziemi. Oczywiście z tego punktu widzenia należałoby uznać, że XX wieków relacji Izraela i Kościoła miało całkiem inne znaczenie, niż przypisywali mu wszyscy wcześniejsi autorzy chrześcijańscy, zaczynając od św. Pawła. To nie Izrael odrzucił Mesjasza, to Kościół zbuntował się przeciw starszemu bratu i zamiast posłusznie nieść poganom nauki Przymierza, próbował uzurpować sobie władzę nad Izraelem! Dzieje Kościoła byłyby zapisem buntu młodszego brata przeciw starszemu, tego, który winien słuchać, przeciw temu, który ma rządzić. Wszystko to symbolicznie opisuje formuła „starszego brata w wierze”. Sam rabin kabalista precyzyjnie tłumaczy, na czym owe relacje między Izraelem a Kościołem powinny się opierać.

„Jednak jako lud kapłański, jako naród konsekrowany, wiodący życie czysto religijne, Izrael ma pewne szczególne obowiązki i własne powinności, będące jakby pewnego rodzaju prawem zakonnym, regułą klasztorną czy kościelną konstytucją, która pozostaje jego osobistą, wyłączną własnością z uwagi na pełnioną przezeń ważną funkcję”. Pełnienie funkcji pasterza narodów zobowiązuje. Starszy brat musi pilnować swojej odrębności i przywileju, inaczej nie byłby starszym.

I żeby nie było żadnych wątpliwości, rabin pisze: „Jaką zatem drogą powinni byli pójść pierwsi chrześcijanie? Powinni byli trzymać się ściśle koncepcji żydowskiej: Prawo Mojżesza dla Żydów,

eprasa.pl 15389caf8e

prawo Noego dla pogan”. Nie sposób nie dostrzec, że tę koncepcję niemal dosłownie powtórzył abp Gądecki, powołując się na Jana Pawła II. Różnica jest tylko taka, że zamiast prawa pojawiło się przymierze, a zamiast Noego Chrystus – jednak nie ma to znaczenia. Przecież Benamozegh zgadza się, że prawo Noego dane zostało chrześcijanom przez Chrystusa, Mesjasza.

„Co zrobili zamiast tego? […] Głoszono tylko dwa skrajne rozwiązania, to znaczy z jednej strony całkowite zniesienie Prawa Mojżeszowego, z drugiej zaś podporządkowanie wszystkich Prawu […]. A co przepowiadali Prorocy? Że Izrael, strażnik mesjanizmu, będzie w chwili przyjścia Mesjasza postrzegany przez pogan jako kapłan ludzkości, a jego odrębność jako Ludu Bożego będzie tym bardziej zapewniona, im powszechniej będzie uznawana prawdziwość jego misji”.

Nie można wykluczyć, że przygotowując się do wizyty w synagodze, polski papież sięgnął do książki Benamozegha, mistrza Elia Toaffa, który go przywitał i wygłosił przed nim swoje przemówienie w imieniu Żydów. To, co pewne, to zauważalne pokrewieństwo myśli i idei […].

***

Rabin Toaff kilka razy wspomina, jak ważną osobą był dla niego rabin Eliasz Benamozegh. Przyjaciel Jana Pawła II urodził się w Livorno, a jego pierwszym i najważniejszym autorytetem był dla niego ojciec, wielki nauczyciel Talmudu, Alfredo Sabato Toaff, bezpośredni i bliski uczeń rabina Benamozegha, uważanego wtedy za najbardziej wpływowego żydowskiego myśliciela przełomu wieków XIX i XX we Włoszech. Wszyscy trzej nauczali po kolei w kolegium rabinackim w Livorno. Nie ma też wątpliwości, że rabin Toaff, późniejszy gospodarz Jana Pawła II w synagodze i jego przyjaciel do tego stopnia, że polski papież wymienia jego imię w swoim testamencie, był jednym z głównych propagatorów myśli XIX-wiecznego mistrza kabały z Livorno. Mimo opowieści o pewnych pozytywnych aspektach chrześcijaństwa rabin Benamozegh nie ukrywał swojej krytycznej oceny młodszego brata. „Religia chrześcijańska jest religią fałszywą, rzekomo boską. Jedyną nadzieją dla niej na zbawienie, podobnie jak dla reszty świata, jest powrót do Izraela” (Elie Benamozegh, „Israel and Humanity”).

Przynajmniej jest to stwierdzenie jasne i niebudzące wątpliwości. Przy czym ów powrót, który miał na myśli nauczyciel rabina Toaffa, polegał na dostosowaniu się do roli, którą chrześcijaństwu wyznaczył Izrael. W wielu jego wypowiedziach pojawia się opis stosunków między dwiema religiami idealnie pasujący do obrazu, który zdają się przekazywać posoborowi papieże. „Jeśli chrześcijaństwo zgodzi się zreformować siebie zgodnie z ideałem żydowskim, to stanie się na zawsze prawdziwą religią narodów pogańskich”. Żydowski kabalista też chętnie odwołuje się do obrazu relacji rodzinnych, by opisać stosunki Kościoła i Żydów. „Religia przyszłości – pisał – musi być oparta na religii pozytywnej i tradycyjnej, cieszącej się tajemniczym prestiżem starożytności. Ale ze wszystkich religii starożytnych judaizm jest jedynym, który rości sobie prawo do posiadania ideału religijnego ważnego dla całej ludzkości, (ponieważ) dzieło chrześcijaństwa jest tylko kopią, którą należy umieścić naprzeciw oryginału… gdyż to judaizm jest niekwestionowaną matką (chrześcijaństwa), jest on najstarszą religią, której przeznaczeniem jest to, by być najbardziej nowoczesną”. Wniosek zatem jest do przewidzenia: to, co chrześcijanie nazywają nawróceniem Izraela, będzie polegało na spotkaniu religii żydowskiej i innych, wypływających z niej, czyli na nawróceniu serc dzieci do ich ojców. Dziećmi są tu poganie, a – ściślej – chrześcijanie, ojcami Żydzi. Jest to dokładnie obraz, którym posłużył się z kolei Benedykt XVI. Jednak gdzie indziej w swej książce rabin Benamozegh wolał porównanie do Izraela jako do najstarszego brata, pilnującego reszty: „W Niebie, jeden Bóg, ojciec wszystkich ludzi; między którymi Izrael jest najstarszym odpowiedzialnym za wykonywanie kapłańskich funkcji nauczania i zarządzania prawdziwą religią ludzkości” („Izrael i ludzkość”, s. 40). W istocie nie są to tezy odkrywcze i do złudzenia przypominają nauki Kanta z „Religii w obrębie rozumu”, tyle że przypisują Izraelowi rolę szczególną, starszego brata, który uczy i kieruje ludami ziemi. Podporządkowanie mu się, pójście za jego głosem, poddanie się przewodnikowi jest dla chrześcijaństwa jedyną szansą na przeżycie; oznacza powrót Kościoła do swych nieskażonych, pierwotnych źródeł i zajęcia przypisanej mu misji mesjańskiej, a więc reprezentanta Izraela wobec pogan. Jest to dokładnie to samo posłanie, które chrześcijaństwu przypisywał Franz Rosenzweig, i niewiele odbiega ono od tego, co mówili Martin Buber czy Emanuel Lévinas – myśliciele, do których polski papież chętnie się odwoływał.

Być może czytając ich pisma, polski papież odkrył znaczenie dialogu międzyreligijnego, który to według niego stał się jednym z najważniejszych zadań posoborowego Kościoła.

***

W tym nowym kościelnym rozumieniu dialog jest wspólnym zmierzaniem do celu, którego jeszcze żadna ze stron nie osiągnęła. Wspólnota dialogujących przypomina w tym przypadku klub poszukiwaczy. Nikt w niej nie jest i nie może być nauczycielem. Nikt nie ma prawa występować w roli tego, kto przekazuje tę prawdę, którą już znalazł. Nie szuka się tego, co już się znalazło, powtarzam. Jeśli Kościół poszukuje prawdy, tak jak to robią jego partnerzy, wyznawcy innych religii, to znaczy, że nikt nie występuje w roli posiadacza, nikt nie może mieć prawa do nauczania i domagania się posłuszeństwa. Z zasady zatem celem dialogu nie może być dążenie do nawrócenia partnera. Tych cytatów wskazujących na to, że chodzi tutaj nie o nauczanie prawdy konkretnej, dogmatycznej, danej, tylko o jej poszukiwanie, jest bardzo dużo. Właściwie to stały motyw papieskich wystąpień, wręcz warunek sine qua non dialogu: poszukiwanie tego, czego się nie ma – prawdy – umożliwia spotkanie z innymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki „Mit starszych braci w wierze”, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Fronda.

PAWEŁ LISICKI „MIT STARSZYCH BRACI W WIERZE” FRONDA 2024

eprasa.pl 15389caf8e

Przemilczana rewolucja

Paweł Chmielewski

Już 2 października rozpoczyna się finał Synodu o Synodalności – według papieża i czołowych kardynałów Kurii Rzymskiej najważniejszego wydarzenia w Kościele katolickim od czasów Soboru Watykańskiego II

Większość katolików na świecie w ogóle nie wie, że w Kościele szykuje się kolejna rewolucja, która przekształci życie ich wspólnoty. Powszechna niewiedza ułatwia działania tym, którzy dążą do zmian. Synod o Synodalności nie jest przedmiotem debaty niemal nigdzie na świecie. Powód jest prosty: największe centrowe kościelne tytuły muszą ograniczać się do powtarzania oficjalnej narracji, a ta jest po prostu niezrozumiała. Od momentu ogłoszenia Synodu o Synodalności ponad trzy lata temu Stolica Apostolska nie zdefiniowała nawet tak podstawowego pojęcia, jak sama synodalność. Konserwatyści już dawno stracili zainteresowanie całym przedsięwzięciem, uznając, że wszystko i tak jest z góry przesądzone: autorytarny papież Bergoglio razem ze swoim otoczeniem zrobi, co będzie chciał, niezależnie od synodu.

Zgromadzeniem, które rozpocznie się 2 października, interesują się tylko progresiści, ale z dobrych powodów wolą za wiele nie mówić. Wiedzą, że trzeba uważać na słowa – kiedy przeprowadza się odgórną rewolucję, tylko ostrożność może zagwarantować sukces.

METODA SPIRALI

Taką perfidną taktykę ujawnił niedawno relator generalny Synodu o Synodalności, kard. Jean-Claude Hollerich. To postać, o której wielokrotnie wspominałem na łamach tygodnika „Do Rzeczy". Arcybiskup Luksemburga, wielki admirator skrajnego modernisty ks. Karla Rahnera SJ, przyjaciel rewolucyjnej niemieckiej „drogi synodalnej", członek elitarnej Rady Kardynałów, zaufany człowiek papieża. Jeżeli ktoś chciałby szukać dziś w Europie kardynała, który przejął kierownictwo organizacyjne nad niejawnymi strukturami progresistów po zmarłym w 2012 r. szefie grupy z Sankt Gallen, Carlu Marii Martinim, to mógłby wskazać właśnie na Hollericha.

Luksemburczyk ma tendencję do bycia prostolinijnym. Jeszcze niedawno otwarcie opowiadał, że w ramach synodalności chce zmienić nauczanie o homoseksualizmie, znieść obowiązek celibatu i wprowadzić diakonat albo nawet kapłaństwo kobiet. Jego wypowiedzi zaczęły jednak budzić dużą konsternację. Nagle zmienił front: w ubiegłym roku porzucił dawną bezceremonialność i ograniczył się do wygłaszania pustych frazesów o synodalnej inkluzji i partycypacji.

Kilka tygodni temu Hollerich miał jednak moment słabości. Udzielał wywiadu skrajnej progresistce ze Szwajcarii, dziennikarce portalu krajowego episkopatu Kath.ch, Jacqueline Straub. Ta od lat angażuje się na rzecz tzw. katolickiego feminizmu i walczy o kapłaństwo kobiet. Jest w świecie niemieckojęzycznym znaną aktywistką. W rozmowie z Hollerichem skupiła się na swoim ukochanym temacie, czyli kobietach księżach. Jeszcze w 2020 r. Luksemburczyk otwarcie ogłaszał, że popiera wyświęcanie pań, Straub wiedziała więc, co tak naprawdę myśli. Kardynał starał się uniknąć udzielenia jednoznacznej odpowiedzi; wreszcie jednak, najwyraźniej chcąc zachować twarz, wyznał, dlaczego tak postępuje. Powiedział, że w grudniu 2023 r., po ogłoszeniu przez papieża zgody na błogosławienie LGBT (nazwał to „niewielką sprawą"), „doszło do wielkiego wybuchu" i gdyby teraz Watykan wprowadził kapłaństwo kobiet, to „trzeba by się było wycofać", bo świat uznałby to za „przepchnięte przez liberalnych katolików". „Potrzeba argumentów i czasu […]. Musimy bardzo uważać, żeby nie wywołać reakcji przeciwnej […]. Potrzeba taktu i cierpliwości, jeżeli chce się osiągnąć prawdziwe rezultaty" – podkreślił.

Trzy lata temu w kontekście kościelnym mówił o niej również jeden z najbardziej progresywnych biskupów Niemiec, Franz-Josef Bode, wyjaśniając swojemu lewicowemu rozmówcy z niemieckiego portalu Katholisch.de, że on i jego koledzy chcą stosować metodę „spirali". „Idziemy do celu powoli, ale cały czas coraz bliżej" – ogłosił. Kościelni progresiści nie są autorami tego modus

eprasa.pl 15389caf8e

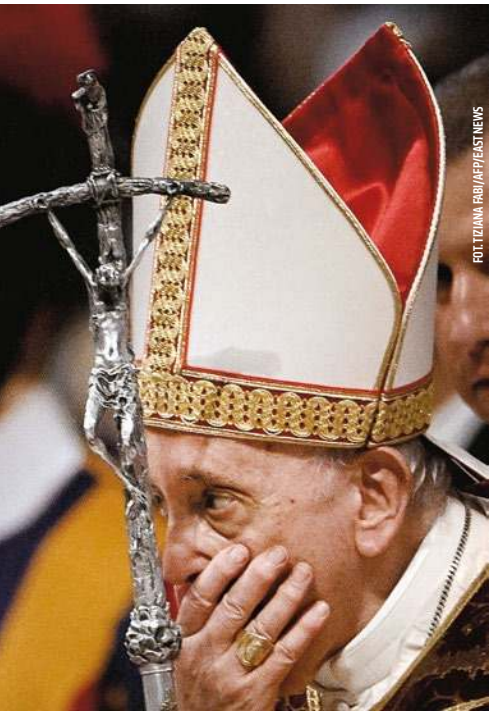
FOT. TIZIANA FABI/AFP/EAST NEWS

operandi – to znana komunistyczna „taktyka salami", od dziesięcioleci z powodzeniem stosowana w lewicowej inżynierii społecznej.

DUCH CZASU

W połowie lipca Stolica Apostolska opublikowała „Instrumentum laboris", dokument roboczy na finalną sesję synodu. Przeczytałem wszystkie dotychczasowe dokumenty synodalne; mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że ten, choć w teorii powinien być najbardziej konkretny jako punkt wyjścia do formułowania konkluzji, jest w istocie najbardziej zagmatwany i niejasny. Jego uporządkowana lektura jest w gruncie rzeczy niemożliwa. Nasuwają się dwa możliwe wnioski: albo został sporządzony przez ludzi nieprzytomnych, albo przez bardzo sprytnych.

Stawiam na to drugie rozwiązanie. Uważam, że tekst został celowo zbudowany tak, by nieprzygotowany ksiądz czy świecki teolog po prostu nic z niego nie zrozumieli. Jeżeli jednak czytać synodalny materiał wnikliwie, w kluczu progresywnej rewolucji, to da się w nim znaleźć kilka interesujących miejsc. To przede wszystkim wiele odniesień do koncepcji nowych „miejsc teologicznych", to znaczy źródeł, z których Kościół czerpie argumenty teologiczne. Nowym i fundamentalnym „miejscem teologicznym" ma stać się po prostu Zeitgeist – duch czasu. Tekst przekonuje np., że Kościół winien podejmować decyzje, wsłuchując się w głos wszystkich ludzi na świecie, a także – uwaga – instytucji świeckich (pkt 98). Naucza się też, że biskupi Kościoła synodalnego mają podejmować decyzje wyłącznie wtedy, kiedy odbędą konsultacje z diecezjalnym kolektywem doradczym (wybranym przez wiernych), i tylko wówczas, gdy pojawi się „konsensus" (pkt 67). Gdyby biskup podjął decyzję godzącą w ów konsensus – głosi dokument – wyobcowałby się ze swojej wspólnoty, to znaczy postąpiłby niesynodalnie, co jest, rzecz jasna, całkowicie niedopuszczalne.

To kluczowe kwestie: w Kościele synodalnym już nie Pismo Święte i Tradycja mają być wyznacznikiem tego, co katolickie – a przynajmniej nie tylko one. Miarą katolickości staną się poglądy współczesnych. Trudno o bardziej wywrotową ideę.

W „Instrumentum laboris" można byłoby szukać więcej takich stwierdzeń, ale nie warto się tym dłużej zajmować. Znamy ogólny kierunek – a tylko on się liczy, bo wiążących decyzji nie podejmie przecież żaden Synod o Synodalności. Wprawdzie papież nasycił zgromadzenie synodalne swoimi ludźmi, ale forma synodu ma swoje ograniczenia – chcąc nie chcąc, wymusza pewną reprezentacyjność. Przyjeżdżają biskupi z całego świata, a znaczna część z nich nie jest wcale skłonna do podpisywania się pod niszczeniem prawa naturalnego czy różnych kościelnych tradycji.

Szukając jakiejś podstawy, która może zagwarantować trwałość wprowadzanych zmian, Franciszek postanowił pójść inną drogą. Na początku tego roku powołał 10 specjalnych komisji synodalnych. Ich formalnym zadaniem jest „wdrożenie w życie" Synodu o Synodalności, ale wbrew temu komisje będą pracować całkowicie niezależnie od wyników tego zgromadzenia. To po prostu grona kościelnych oligarchów i ekspertów, nasycone ludźmi wskazanymi przez Franciszka, już bez związku z jakąkolwiek sztywną zasadą reprezentacyjności Kościoła powszechnego. Tematy, którymi się zajmą, pochodzą z typowej agendy rewolucyjnej, obecnej w Kościele co najmniej od synodów krajowych w Holandii i Niemczech na przełomie lat 60. i 70. XX w. Razem z „Instrumentum laboris" Watykan ogłosił listę członków poszczególnych komisji synodalnych. Są nasycone progresistami oddanymi dziełu przebudowy Kościoła: Jean-Claude Hollerich, Michael Czerny, Joseph Tobin, João Braz de Aviz, Ulich Steiner, Nathalie Becquart, Felix Genn… W komisji, która zajmie się tematyką moralności seksualnej, znalazł się nawet włoski ksiądz i profesor Maurizio Chiodi. Chiodi od lat postuluje zaakceptowanie przez Kościół katolicki homoseksualizmu i antykoncepcji.

Nie ma wątpliwości, że zarówno jego komisja, jak i pozostałe gremia wypracują „odpowiednie" analizy powierzonych im problemów. W efekcie papież, nie przejmując się już głosem przypadkowych ojców synodalnych, zyska nader wygodną podstawę do przeprowadzenia rewolucyjnych zmian. Komisje synodalne mają pracować do wiosny przyszłego roku; na konkretne działania ze strony Franciszka przyjdzie zatem jeszcze trochę poczekać.

Czy „synodalna" rewolucja się powiedzie i progresiści przeprowadzą swoje zmiany zgodnie z odgórnym założeniem? W 2016 r., wbrew świętej i niezmiennej Tradycji, papież zdecydował o dopuszczeniu do Komunii Świętej osób aktywnych seksualnie poza małżeństwem; w roku 2021 ogłosił w Abu Zabi, że islam jest chciany przez Boga na równi z chrześcijaństwem; a w roku 2023 – że kapłani Kościoła katolickiego mogą, ba, wręcz powinni błogosławić pary homoseksualne. Co więcej, obrady Synodu o Synodalności rozpoczną się od kolektywnego wyznania nowych „grzechów", co ma ustawić uczestników spotkania w roli pokutników, którzy muszą gruntownie zmienić „oskarżony" Kościół. Chodzi o grzechy przeciwko ekologii, imigrantom, a nawet przeciwko… synodalności.

W tej sytuacji, trzeba to powiedzieć otwarcie, trudno o jakąkolwiek pewność przyszłości; taką chyba, że zgodnie ze słowami naszego Pana, Jezusa Chrystusa, bramy piekielne Kościoła nie przemogą – a to oznacza, że nawet po bardzo długim okresie zamętu doktrynalnego i moralnego przyjdzie autentyczna kontrrewolucja. Kiedy? Nie wiemy. Najbliższe miesiące i lata będą raczej czasem pogłębiającego się chaosu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 15389caf8e

FOT. KREMLIN.RU

Na kogo głosuje Putin?

Robert Bogdański

Gra, którą prawdopodobnie prowadzą ludzie Putina, jest na rękę amerykańskim demokratom. Dlatego postanowili ją podjąć

Dla liberalnych mediów i politologów sprawa jest oczywista. Putin nie tylko głosowałby na Trumpa, lecz także na wszelkie sposoby stara się wpłynąć w tym kierunku na amerykańskich wyborców. Tak przecież było w roku 2016 – to dla wszystkich liberalnych dziennikarzy i komentatorów jest jasne. Tak jest i teraz, a informacje w tej kwestii pochodzą z najlepszego źródła, to znaczy z Kremla. Właśnie takie informacje zostały przekazane opinii publicznej przez FBI.

Agent FBI, zeznając pod przysięgą w sądzie, przedstawił obszerny materiał dotyczący operacji „Doppelgänger", czyli „Sobowtór". Nazwa wzięła się od pomysłu na wykorzystywanie znanych marek medialnych, jak „Washington Post" czy Fox News, których klony rejestrowano pod dziwacznymi adresami, licząc na to, że nikt z odbiorców nie zauważy, że zamiast z tekstem opublikowanym przez Foxnews.com ma do czynienia z materiałem ze strony np. Fox-news.in. Tak wrzucane fałszywki, pomieszane z tekstami prawdziwymi, miały być rozpowszechniane przez farmy trolli.

Zasadniczym celem operacji było wpływanie na społeczeństwa państw zachodnich, aby wstrzymać ich poparcie dla walczącej z Rosją Ukrainy, ale wpływ na wybory w Ameryce był co najmniej tak samo istotny. O operacji, która rozpoczęła się w roku 2022, czyli po napaści Rosji na Ukrainę, pisały już w ubiegłym roku media europejskie, bo została ona ujawniona przez francuskie służby specjalne. Dorobiła się nawet artykułu w Wikipedii. Czemu w takim razie Amerykanie zdecydowali się, aby zająć się nią akurat teraz? I czy jest w przedstawionym przez nich materiale coś nowego?

NARADY KIRYJENKI

Otóż tak, FBI uzyskało – w sobie wiadomy sposób (zeznający agent zaznaczył jedynie, że „legalny") – dostęp do poufnych dokumentów z narad zespołu zadaniowego, który działał pod kontrolą zaufanego człowieka Putina, Siergieja Kiryjenki, zastępcy szefa kancelarii prezydenta, odpowiedzialnego za budowanie rosyjskiej administracji na anektowanych terenach Ukrainy. Interesujące są ujęte w tych dokumentach cele szczegółowe, formułowane tak, aby objąć nimi poglądy rzeczywiście występujące w przestrzeni publicznej. Na przykład zdanie: „Nasz kraj powinien dbać o swoje własne narodowe interesy i podejmować decyzje niezależnie od wpływu USA/NATO/Unii Europejskiej/Anglosasów". Dopiero później pojawiają się zdania dostosowane do specyficznych celów Rosji: „Nasz rząd powinien skoncentrować się na rozwiązywaniu problemów wewnętrznych, zamiast łożyć na wojnę na Ukrainie" lub: „Taka sytuacja nie byłaby możliwa w Rosji, bo tam społeczeństwo jest zdrowe, chroni się w nim interesy rodziny i tradycyjne wartości". Autorzy podkreślali też, że zasadniczym celem działań jest wywołanie konfliktu i podsycanie emocji.

Pierwsze z zacytowanych tu zdań jest zwykłym i uprawnionym poglądem wygłaszanym przez wielu uczestników życia publicznego i jako takie nie może być uznane za prorosyjskie. Dopiero potem pojawiają się prorosyjskie narracje, także używające fałszu (jak pogląd o „zdrowym" rosyjskim społeczeństwie). Tym samym notatki z tajnych spotkań kremlowskich propagandystów zyskują walor włączania jakichś poglądów do wachlarza powiązanych z putinowskimi operacjami wpływu. Od tej pory ktoś mówiący, że jego kraj powinien podejmować decyzje samodzielnie, może spotkać się z zarzutem, że realizuje politykę Kremla, że jest nieświadomym – w najlepszym razie – agentem wpływu.

Nie jest więc wykluczone, że rosyjska operacja jest ustawiona inaczej niż to

eprasa.pl 15389caf8e

widać na pierwszy rzut oka, a fałszywe strony internetowe i farmy trolli podsycające kłótnie między tubylcami nie są być może najważniejszym elementem tej kampanii, która jest, jak by powiedzieli specjaliści od wywiadu, podwójnie ukierunkowana. Wyraźnie wskazują na to dokumenty dotyczące wyborów prezydenckich w USA.

ZBYT TOPORNA PROPAGANDA

W jednym z nich znajduje się jasne stwierdzenie, że korzystna dla Rosji jest wygrana Donalda Trumpa. Uzasadnienie tego poglądu jest przedstawione krótko i wygląda tak, jakby żywcem zostało wyjęte z jakiejś liberalnej amerykańskiej gazety i streszczone w krótkich żołnierskich słowach: jak wygra Trump, będzie możliwe zakończenie wojny na Ukrainie przy pomocy wymiany terytoriów za pokój, Ameryka skoncentruje się na wewnętrznych problemach, a jej żołnierze zostaną ściągnięci z zagranicznych placówek do domu.

Kwestia przyszłej polityki Trumpa wobec Ukrainy i Rosji nie jest jednak tak prosta i jednoznaczna, jak to przedstawiono w tym dokumencie, i doprawdy trudno sobie wyobrazić, aby kremlowscy szachiści posługiwali się przy podejmowaniu decyzji tak topornymi analizami. Obserwatorzy bynajmniej niezwiązani z Trumpem wskazują, że jego obsesyjne dążenie do pokazania się jako zwycięzca może doprowadzić nawet do eskalacji konfrontacji z Rosją. To Trump zaczął dostarczać Ukrainie tzw. broń śmiercionośną, czego nie chciał robić Obama, a także to on objął Nord Stream 2 sankcjami, które zdjął jego następca, co bezpośrednio utorowało drogę do rosyjskiej inwazji. Jeżeli rosyjskie wewnętrzne analizy miałyby mieć sens, to powinny zawierać choćby dyskusję z takimi argumentami. Tymczasem wszystko jest w nich proste niczym w „Notatniku agitatora".

W dodatku skuteczność operacji „Doppelgänger" jest więcej niż wątpliwa. Nie ma oczywiście jeszcze konkretnych badań na ten temat, ale można się odwołać do badań dotyczących kampanii sprzed ośmiu lat, która w powszechnej świadomości funkcjonuje jako zainfekowana rosyjskim wpływem. Grupa naukowców z różnych uczelni z Danii, Irlandii, Niemiec i ze Stanów Zjednoczonych przeprowadziła i opublikowała w piśmie „Nature Communications" badania, z których jednoznacznie wynikało, że rosyjska kampania nie miała żadnego zauważalnego wpływu na głosowanie amerykańskich wyborców.

Badacze przedstawili także porównanie oddziaływania, które na wyborców miały trzy grupy aktorów: amerykańskie media, politycy i rosyjska kampania. Wpływ tej ostatniej był po prostu zerowy, niewidoczny na wykresie, najsilniej oddziaływały media, a politycy pięciokrotnie słabiej niż one, nadal jednak nieskończenie silniej niż rosyjscy „influencerzy". Jeżeli więc chce się realnie wpłynąć na amerykańskie społeczeństwo, wówczas należy użyć mediów albo polityków. A najlepiej doprowadzić do tego, aby o czymś zaczęli mówić politycy, a następnie media.

DRUGIE DNO

Przyjrzyjmy się operacji „Doppelgänger" od tej strony. W tym samym tygodniu, który rozpoczął się zeznaniem agenta FBI, na konferencji prasowej wystąpił prokurator generalny Merrick Garland, opisując sprawę dwóch pracowników rosyjskiej firmy propagandowej RT (dawniej Russia Today), którzy wydali w Stanach Zjednoczonych kwotę 10 mln dol. na operację dezinformacyjną. Garland podkreślił, że rosyjska dezinformacja jest obecnie większym zagrożeniem niż kiedykolwiek, co – rzecz jasna – znalazło się na czołówkach mediów.

Jednocześnie przeszukano dom niejakiego Dmitrija Simesa, sprytnego rosyjskiego emigranta, który zaczął karierę w Stanach Zjednoczonych jako syn dysydentów i na tym zbudował swoją legendę, ale od co najmniej dekady było wiadomo, że jest rosyjskim agentem wpływu. Simesowi i jego żonie zarzucono współpracę z RT, co jest o tyle dziwaczne, że od 2022 r. przebywa w Rosji i często występuje w telewizji. Informując o przeszukaniu, agencja AP dała tytuł „Były doradca Trumpa z roku 2016 oskarżony o współpracę z podlegającą sankcjom rosyjską telewizją". Simes doradcą Trumpa nigdy nie był. Cóż jednak szkodzi powiązać go z kandydatem republikanów, skoro ogólna narracja się zgadza?

Wiele zatem wskazuje na to, że operacja „Doppelgänger" miała drugie dno: chodziło o to, aby narracja o tym, że – ujmując rzecz w przenośni – Putin głosowałby na Trumpa, przedostała się do głównych mediów. A ponieważ gra, którą prawdopodobnie prowadzą ludzie Putina, jest na rękę rządzącym demokratom, postanowili ją podjąć.

Dość podobnie było w roku 2020, gdy wybuchła tzw. sprawa laptopa Huntera Bidena. Media opisały, jak młody Biden usiłował wykorzystywać biznesowo stanowisko swojego ojca, wówczas wiceprezydenta przy Baracku Obamie. Zarzuty te okazały się zresztą prawdziwe. Kilka dni po publikacji ukazał się list otwarty – jak to określono – byłych agentów CIA, którzy napisali, że cała ta sprawa „nosi znamiona rosyjskiej operacji dezinformacyjnej". Do wyborów były niespełna trzy tygodnie i trzeba było prędko rzucić koło ratunkowe Joe Bidenowi przed debatą z Trumpem. Jak ustaliła potem Komisja Kongresu do spraw Służb Specjalnych, wielu z tych „byłych agentów" było w tym czasie w aktywnej służbie, a cała sprawa została zorkiestrowana przez późniejszego szefa Departamentu Stanu Antony'ego Blinkena, za wiedzą ówczesnej szefowej CIA Giny Haspel.

W tym kontekście podchwycenie teraz przez prokuratora generalnego narracji o wpływie rosyjskim na obecne wybory i przedstawienie przez FBI rosyjskich dokumentów pokazujących, że faworytem Kremla w wyborach jest Donald Trump, nabiera nowych barw. Operacja dezinformacyjna mogła być wehikułem, a naprawdę istotne było to, by sprawa „rosyjskiego wpływu" została wykorzystana w amerykańskim dyskursie publicznym. Dokumenty, które dostało FBI, skrojono więc tak, aby wskazywały na rosyjskie wsparcie dla kandydata republikanów, i liczono, że demokraci zechcą podjąć ten wątek. Udało się.

Rosyjska operacja miała także trzecie dno. Chodziło o podtrzymanie i wzmocnienie przeświadczenia, że Rosjanie mają zakulisowy wpływ na amerykańskie życie publiczne, czyli wprowadzenie elementu stałej podejrzliwości wobec działań wszystkich polityków. Idę o zakład, że z tych właśnie elementów składał się prawdziwy briefing, który przedstawiono Putinowi przed rozpoczęciem operacji „Doppelgänger".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Łukasz Czarnecki

Starość Casanovy

Najsłynniejszy lowelas w historii wiódł życie bujne, rozpustne i pełne przygód. Końcówka jego życia była jednak przerażająco smutna

Giacomo Casanova za młodu pędził żywot awanturnika FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wyczynem, którym Casanova chwalił się przez całe życie, była ucieczka z osławionego Piombi – więzienia weneckiej państwowej inkwizycji. Autor „Pamiętników" jako pierwszy osadzony dał z niej nogę, za co został wygnany i do ojczystego miasta nie mógł wrócić przez 18 lat. Gdy w roku 1774 uzyskał od władzy Republiki ułaskawienie, rozradowany przyjechał na stare śmieci. Jednakże po upływie prawie dwóch dekad nie był już młodym, pełnym uroku awanturnikiem, lecz pozbawionym środków do życia 50-latkiem. Dlatego zdecydował się na największe upodlenie swego życia – został płatnym szpiclem inkwizycji. Przez dziewięć lat słał trybunałowi raporty, w których atakował… upadek obyczajów i panującą rozwiązłość.

WIECZNY TUŁACZ

W 1782 r. podstarzały dandys wdał się w aferę, która miała go sporo kosztować. W willi wpływowego weneckiego arystokraty – Zuana Carla Grimaniego – Casanova poznał pochodzącego z Piemontu oficera – hrabiego Carlettiego. Ten, dowiedziawszy się, że jego nowy znajomy jest w dobrych stosunkach z markizem Carlem Spinolą, opowiedział mu, iż ten jest mu winny 250 cekinów. Wiele lat temu obaj panowie mieli się założyć o to, czy Spinoli uda się zdobyć rękę pewnej damy szlachetnego rodu. Zakład ów markiz przegrał – ojciec panny odrzucił prośbę o ożenek. Carletti poprosił Giacoma, by pomógł mu odzyskać pieniądze. Dobijający sześćdziesiątki uwodziciel czuł się wręcz skrępowany ową prośbą, ale że hrabia obiecał mu spory odsetek, zdecydował się pośredniczyć między arystokratami. Udał się zatem do Spinoli, a ten wypisał odpowiedni czek. Kiedy jednak papier znalazł się w rękach Piemontyczka, ten odmówił wypłacenia

eprasa.pl 15389caf8e

Casanovie obiecanej prowizji. Wybuchła straszna awantura, nasz bohater nazwał hrabiego oszustem, ten zaś w odpowiedzi obrzucił go obelgami. Grimani wziął stronę oficera, a znieważony Giacomo opuścił rezydencję, trzaskając drzwiami.

Reperkusje tego wydarzenia okazały się daleko idące. Wkrótce cała Wenecja plotkowała o nim. Co gorsza, opinia publiczna potępiała nie hrabiego, który – jakby nie patrzeć – nie dopełnił swoich zobowiązań, ale Bogu ducha winnego Casanovę nazywano najpodlejszym z ludzi i tchórzem. Powszechnie uważano, że starszy z mężczyzn w odpowiedzi na wyzwiska powinien wyzwać oficera z Piemontu na pojedynek. To, że Giacomo był już w wieku mocno zaawansowanym, nikogo nie obchodziło. On sam w desperacji gotów był już zażądać satysfakcji i skrzyżować szpady z hrabią, ale ten opuścił już miasto św. Marka.

Rozeźlony Casanova postanowił walczyć o dobre imię nie ostrzem, lecz piórem. Skreślił i wydał broszurę „Ani miłości, ani kobiety". Była to zjadliwa satyra, kryjąca rzeczywiste nazwiska bohaterów pod mitologicznymi imionami. Każdy jednak był w stanie łatwo przejrzeć ową zasłonę i odczytać treść pamfletu. Ta zaś była piorunująca. Autor oskarżał w niej Zuana Carla Grimaniego o bycie owocem zdrady małżeńskiej matki, a sam sobie przypisywał pochodzenie z lędźwi jego ojca, dowodząc, iż jest nieślubnym synem poprzedniej głowy rodu, zrodzonym ze skoku w bok. Była to oczywista bzdura, bo ojcem naszego bohatera był podrzędny aktor, ale atak okazał się celny.

W Wenecji wybuchł ogromny skandal, a inkwizycja zwolniła Casanovę. Po raz kolejny stał się persona non grata w ojczystym mieście. Gdy poprzednim razem szedł na wygnanie, był młody, piękny, 30-letni, teraz zaś – jak pisał do przyjaciela – „mam pięćdziesiąt osiem lat, nie mogę odejść na piechotę, zbliża się zima, a gdy spojrzę w lustro i pomyślę, że znów mam zostać awanturnikiem, śmiech mnie ogarnia".

13 stycznia 1783 r. opuścił Wenecję. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, udał się do Wiednia. Tu przeżył cztery miesiące, utrzymując się z zasiłków. Z głodu nie umarł tylko dlatego, że znajomi zapraszali go na obiady i kolacje. W czerwcu wrócił do Wenecji, ale tylko na kilka godzin – nie wysiadł nawet z gondoli, którą przypłynął. Chciał po raz ostatni spojrzeć na ojczyste miasto. Resztę roku spędził, jeżdżąc po Europie, w Spa pewna angielska dama wynajęła go jako mężczyznę do towarzystwa. To upokarzające zajęcie przyniosło mu 25 gwinei, ale że mocno przejrzała Angielka, chciała, by nie tylko towarzyszył jej przy posiłkach (w trakcie których żądała, by mówił do niej po łacinie), lecz także w łóżku, przerażony dał nogę.

Potem było jeszcze dziwniej, bo podstarzałemu awanturnikowi zaproponowano udział w wyprawie na Madagaskar. Jako że wiek wyleczył Casanovę z wybujałej fantazji, grzecznie podziękował i wyjechał do Paryża. Tu brał udział w obradach Akademii Francuskiej i poznał Benjamina Franklina. Myślał nawet, by w stolicy Francji zostać na stałe, ale zrezygnował z powodu narastających niepokojów społecznych i problemów ze znalezieniem pracy. Znów wyjechał do Wiednia i tu uśmiechnęło się doń szczęście – wenecki ambasador Sebastian Foscarini zaoferował mu posadę sekretarza. Giacomo przyjął ją z wdzięcznością. Pensja co prawda była skromna, ale przysługiwało mu służbowe mieszkanie. Wydawało się już, że dawny awanturnik w końcu znalazł bezpieczną przystań, w której doczeka końca swych dni, gdy 23 kwietnia 1785 r. ambasadora powalił śmiertelny atak podagry i skonał w ramionach swego sekretarza.

Casanova zbiegł z więzienia Piombi, w Pałacu Dożów w Wenecji

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

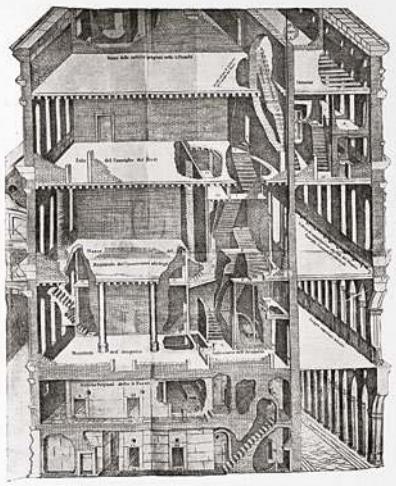

BIBLIOTEKARZ, MAJORDOMUS I STANGRET

Sytuacja Casanovy byłaby tragiczna, gdyby nie to, że zmarły ambasador jakiś czas przed śmiercią zapoznał go z czeskim hrabią Józefem Karolem von Waldsteinem. Trzydziestoletni arystokrata polubił podstarzałego uwodziciela. Sam prowadził życie nadzwyczaj rozpustne i doświadczenia starego libertyna mu imponowały. Zaproponował starcowi, by zamieszkał w jego pałacu w Dux (dziś czeskie Duchcov) i został jego bibliotekarzem.

Waldstein przydzielił Casanovie wygodny apartament, nakazał służbie słuchać we wszystkim nowego lokatora zamku, po czym… wyjechał. Nie oszukujmy się, Dux leżało pośrodku niczego i hrabia o wiele bardziej wolał spędzać czas w Wiedniu, Paryżu i Londynie. W efekcie nasz bohater pozostał sam w obcym kraju, wśród ludzi, którzy, jak się szybko okazało, byli mu wrodzy.

Służba hrabiego nie rozumiała sympatii, którą cieszył się nowy lokator zamku u ich pana. Wkrótce Casanova stał się z jej strony obiektem niewybrednych żartów oraz przemocy psychicznej i fizycznej. Na czele prześladowców stał majordomus Feltkirchner, który gardził bibliotekarzem, uważając go za darmozjada. Na wszelkie sposoby zatruwał mu życie. Wiernie sekundował mu w tym stangret Wiederholt. Ci dwaj byli nierozłączni, dzieląc ze sobą zarówno grubiaństwo, jak i łoże – byli bowiem kochankami. Uszczypliwościom, drobnym i dużym aktom złośliwości nie było końca. Pewnego dnia Wiederholt, ku wielkiej uciesze swego partnera, wyrwał z książki autorstwa naszego bohatera stronę z jego portretem, pokrył ją wulgarnymi napisami, po czym za pomocą własnych fekaliów przykleił ją do ściany wychodka.

Zdesperowany Giacomo zabarykadował się w bibliotece i rzadko kiedy ją opuszczał. Całymi dniami katalogował książki, czytał klasyków i pisał. Chcąc ograniczyć kontakt z majordomusem i ze stangretem do minimum, zrezygnował z uczestnictwa we wspólnych posiłkach zamkowej służby i najął własną kucharkę. To oprócz kosztów naraziło go na kolejne nieprzyjemności, bo przejrzała

eprasa.pl 15389caf8e

gospodyni okazała się ucieleśniać powiedzenie, iż w starym piecu diabeł pali. Wkrótce aż trzech hrabiowskich lokajów wylądowało za jej sprawą w szpitalu z objawami choroby wenerycznej.

Wczesną wiosną 1787 r. prześladowcy Casanovy znaleźli nowy sposób na uprzykrzenie mu życia. W marcu młodziutka córka zamkowego portiera – Anna Dorotea Kleer – zaszła w ciążę. Dziewczyna mimo nalegań rodziców nie chciała przyznać, kto jest ojcem, a wówczas Feltkirchner rozpuścił wieść, że odpowiedzialny za rosnący brzuch Anny jest nie kto inny, jak zamkowy bibliotekarz. Jako że już wcześniej majordomus obgadywał nieustannie swoją ofiarę, mieszkańcy Dux uwierzyli, że podstarzały uwodziciel wrócił do grzechów młodości.

Wściekły portier z gromadką przyjaciół z miasteczka udał się do apartamentu Casanovy i urządził mu awanturę. Giacomo, który był niewinny, bo z racji dokuczających mu chorób o pozbawianiu cnoty młodych panienek mógł już co najwyżej tylko pomarzyć, skonfrontował się z dziewczyną w obecności jej ojca, oświadczając, że jeśli przyzna ona, iż miała z nim romans, to natychmiast się z nią ożeni. Anna, której zostanie małżonką prawie bezzębnego, pomarszczonego starca za bardzo się nie uśmiechało, przyparta do muru wyznała prawdę – ojcem dziecka był lokalny malarz.

Konflikt z majordomusem i stangretem osiągnął apogeum, gdy ten drugi pewnej niedzieli zaatakował Casanovę podczas przechadzki i go pobił. Zalany krwią staruszek z trudem przeżył napaść. Kiedy otrząsnął się z szoku, czym prędzej opuścił Dux. Wrócił dopiero wtedy, gdy wieści o ataku dotarły do Waldsteina. Kiedy czeski arystokrata dowiedział się, jakie cierpienia znosi ze strony innych mieszkańców zamku jego pupil (bo tym był dla niego Casanova), wściekł się. Feltkirchner i jego brutalny kochanek wylecieli na bruk, a ułagodzony przez hrabiego starzec wrócił do biblioteki. Od tej pory życie stało się dlań znośniejsze.

NIE WSZYSTEK UMRĘ

Giacomo spędził w Dux 13 lat. Opinii o roztaczających się wokół zamku ziemiach i ich mieszkańcach nigdy nie zmienił. Czeska prowincja wydawała mu się zimna i ponura, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma już szans na nic innego.

Niewiele było we włościach Waldsteina do roboty. Casanova prowadził tu nudne życie emeryta, nawet rozmawiać za bardzo nie miał z kim. Właściciel zamku zajeżdżał doń z rzadka, a jeśli już tu był i urządzał przyjęcia, na które zapraszał bibliotekarza, to uczestnictwo w nich nie przynosiło starcowi radości. Był człowiekiem zupełnie innej epoki, chodzącym anachronizmem i jego staroświeckie maniery oraz niemodny już strój, do którego był przywiązany, budziły śmiech. Regularnie grywał w karty z lokalnym proboszczem, ale z czasem ten również zaczął go denerwować. Poczciwy księżulo postawił sobie za cel nawrócenie dawnego libertyna. Inna rzecz, że sam zainteresowany nie uważał się bynajmniej za ateistę, ale ciągłe sugestie wyrażenia skruchy za dawne grzechy działały mu na nerwy.

Zamiast przepraszać za swoje bujne życie, Casanova wolał wracać do przeszłych wydarzeń. Zamknięty w gabinecie grzał się w złotych promieniach dawno przebrzmiałej przeszłości, przywołując z pamięci ludzi i miejsca, a zwłaszcza kobiety, w których łożach zaznał rozkoszy i którym sam dawał rozkosz. W końcu, chcąc uwiecznić swoje przygody, zaczął je spisywać. Pracował po 13 godzin dziennie, przelewając na papier wszystko, co pamiętał. Do roku 1792 dokończył pierwszą redakcję dzieła, które zatytułował „Historia mojego życia", a które do dziejów literatury przejść miało jako „Pamiętniki". Spisany po francusku rękopis liczył ponad 4 tys. stron, ale urywał się na roku 1772. Decyzję o przerwaniu pracy Casanova tak uzasadniał w liście do przyjaciela: „Przypuszczam, że nie posunę się dalej, bo po pięćdziesiątce mam już do opowiedzenia tylko rzeczy smutne i to mnie zasmuca. Pisałem po to, żeby się z czytelnikami bawić. Teraz bym ich przygnębiał, a nie warto".

W następnych latach stary Giacomo jeszcze nieraz wracał do swojego manuskryptu, poprawiając go i przeglądając. Ta wielka księga, zawierająca w sobie najpiękniejsze chwile jego życia, stanowiła najlepsze remedium na bóle ponurej rzeczywistości. Te zaś były nie tylko metaforyczne, lecz także dosłowne – naszemu bohaterowi coraz bardziej dokuczała podagra, ledwie chodził, stracił zęby, zaczął mieć problemy z utrzymaniem pióra w dłoni, tak że ostatnich swoich listów już nie pisał, lecz je dyktował. W końcu 4 czerwca 1798 r., udręczony, wijący się z bólu, najsłynniejszy uwodziciel w dziejach skonał w wieku 73 lat. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Żyłem jak filozof, umieram jako chrześcijanin".

Najsłynniejszy uwodziciel zmarł 4 czerwca 1798 r. w wieku 73 lat. Zanim odszedł, spisał w bibliotece swoje „Pamiętniki".
Pochowano go koło małego kościoła pw. św. Barbary w Duchcov, ale oznaczający jego grób krzyż przepadł

„Pamiętniki", które zapewnić miały mu nieśmiertelność, ukazały się drukiem w przekładzie na język niemiecki w roku 1821. Wydanie to było niepełne i ocenzurowane, stało się jednak podstawą dla wszystkich kolejnych edycji aż do roku 1960, kiedy na rynek trafiło pierwsze pełne wydanie wspomnień Casanovy. Wreszcie świat mógł usłyszeć jego głos bez zniekształceń. Pół wieku później francuska Biblioteka Narodowa zakupiła rękopis „Pamiętników", płacąc za niego 10 mln dol. – był to najdroższy zakup w dziejach tej instytucji.

I tak ponad 220 lat po swej śmierci Giacomo Casanova wciąż żyje dzięki wspomnieniom spisanym u kresu życia. Osiągnął cel – dla kolejnych pokoleń pozostaje wiecznie młodym, czarującym awanturnikiem, któremu żadna kobieta nie jest w stanie się oprzeć. To najtrwalszy pomnik, który po sobie zostawił, bo materialnych pamiątek pozostało po nim niewiele. Dziś nie wiadomo nawet, gdzie dokładnie spoczywają jego doczesne szczątki. Pochowano go koło małego kościoła pw. św. Barbary w Duchcov, ale oznaczający jego grób krzyż przepadł. Wedle legendy ułamał się, gdy pewna młoda i ponętna niewiasta zaczepiła o niego spódnicą.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

(Nie)szczęśliwi prezydenci

Na prezydentów RP od 1989 r. możemy patrzeć różnie, ale trzeba przyznać, że szczęścia w ich doborze nie mamy. Najpierw towarzysz Wojciech Jaruzelski, sowiecki poputczik, osiadł na prezydenturze, wybrany na skutek zmowy komunistów i części „solidarnościowców" przy Okrągłym Stole. Jego rolą było pilnowanie interesów warstwy kompradorskiej, aby nikomu krzywda się nie stała. Gwarantem stabilności był jednak Czesław Kiszczak, trzymający w ręku „kwity". A właściwie nie w ręku, tylko w niezamkniętej szafce w swym domowym zaciszu.

Następcą Jaruzelskiego został Lech Wałęsa, uznawany za synonim walki z reżimem. Jak to się skończyło, świadczy jego podejście do drugiej kadencji, które okazało się całkowitą kompromitacją. Wałęsa zdobył zaledwie… 1 proc. poparcia. Pewnie do dziś nie wie, dlaczego tak się stało. Po nim przyszedł (na dwie kadencje) towarzysz Aleksander Kwaśniewski, osławiony już wcześniej np. ucieczką po drabinie z gmachu Sejmu przed dziennikarzami. Jednak jemu nic nie szkodziło: ani parodia Jana Pawła II, ani postalkoholowe ekscesy (nie tylko bujanie się pod pomnikiem pomordowanych przez Sowietów polskich oficerów w Charkowie), ani ułaskawienia à la Wałęsa. Pijaństwo w Charkowie zostało wytłumaczone (na wiele lat) kłamstwem wymyślonym przez jego otoczenie, że był to skutek „pourazowego zespołu przeciążeniowego goleni prawej". Szybko zrozumieliśmy, że golenie było, czyli pospolite chlanie, ale posłuszne media długo to kryły.

Po tragicznej śmierci Lecha Kaczyńskiego pod Smoleńskiem (10 kwietnia 2010 r.) najwyższy urząd w państwie objął ówczesny marszałek Sejmu Bronisław Komorowski. Początkowo jako „wykonujący obowiązki" (a śpieszył się do nich bardzo), a następnie już jako prezydent. Kompromitacja goniła kompromitację, ale wyborcy już byli w znacznej mierze do nich przyzwyczajeni. Jednak nie do końca – druga kadencja, która miała być zwykłą formalnością, przeszła mu koło nosa mimo sondaży, które rzekomo gwarantowały mu aż trzy czwarte głosów! Do historii antydyplomacji przeszły jego wyczyny w japońskim parlamencie, gdzie jak małe dziecko wchodził tam, gdzie się siedzi.

Ale bardzo ważne wydarzenie przeszło prawie bez echa. Chodzi o wspólny wyjazd z Jaruzelskim na moskiewską defiladę zwycięstwa 9 maja 2010 r. Nie zabrał tam kogoś, kto byłby symbolem zmian. Mało tego, następnie udał się z nim na cmentarz Doński, gdzie jest symboliczny grób gen. Leopolda Okulickiego. Gdy ten konał na Łubiance w 1946 r., młody Jaruzelski pacyfikował Polskę, walcząc z poakowskimi „bandami reakcyjnego podziemia". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Niezasłużona sława admirała

Niewiele wiemy o działaniach dowódcy Floty i Obrony Wybrzeża, kadm. Józefa Unruga w pierwszych dniach września 1939 r. Po zakończeniu wojny ogłoszono go jednak bohaterem, a wszystkie próby wyjaśnienia prawdy zostałyby odebrane jako szarganie świętości. Tym bardziej że komuniści rządzący w PRL mieszali z błotem wszystkich dowódców z 1939 r., a Unrug uniknął tego losu. Z punktu widzenia władz Polski Ludowej doskonale bowiem nadawał się na bohatera: nie walczył przeciwko Rosjanom, uniknął poważniejszych strat i nie kontynuował oporu w październiku. A do tego jeszcze w niewoli niemieckiej nie chciał używać języka okupantów, chociaż z racji swojego pochodzenia władał nim lepiej niż polskim.

Niestety, w pierwszych dniach kampanii wrześniowej wykazał się całkowitą biernością. Zamknął się w schronie nieopodal Jastarni, borykając się z „głębokim kryzysem psychicznym" oraz „z problemami dermatologicznymi". Te „problemy dermatologiczne" to łuszczyca: przewlekła, nawracająca choroba, pogłębiająca się w sytuacji stresowej, ekstremalnie niemiła dla chorego, często utrudniająca kontakt z innymi ludźmi.

Jednak z powodu jego zaniedbań Polska utraciła lotnictwo morskie, dwie najsilniejsze jednostki nawodne, a trzy okręty podwodne zostały internowane w Szwecji. Również okoliczności kapitulacji Rejonu Umocnionego Hel (2 października 1939 r.) powinny być analizowane przez sądy wojenne. Jeżeli kapitulacja nastąpiła, zanim wykorzystano wszystkie możliwości obrony twierdzy, to wyrok zawsze jest niekorzystny dla dowódcy. Tym bardziej że Hel miał zapasy, by bronić się znacznie dłużej.

W Wojsku Polskim 1939 r. było ponad 100 generałów i admirałów oraz kilkunastu, może kilkudziesięciu pułkowników dowodzących związkami taktycznymi. Trudno jednak znaleźć takiego, który dopuścił się tak wielu zaniechań, popełnił tyle błędów i przez tak długi czas borykał się z „głębokim kryzysem psychicznym". Generał Fabrycy, któremu przekazano nieprawdziwą wiadomość, że jego żona i córka zginęły w bombardowaniu, dostał ataku serca i opuścił swoją armię. Z tego powodu przylgnęła do niego łatka tchórza. Dowódcy dywizji z Armii „Łódź" – odcięci od swoich wojsk – również byli tchórzami. Generała Bortnowskiego, który rzucił Armię „Pomorze" na ratunek pozostawionym na przedpolu formacjom dawnego Korpusu Interwencyjnego, uznano za nieudacznika.

Admirała Józefa Unruga należy ocenić uczciwie i sprawiedliwie, bo tylko to pozwoli przywrócić honor i cześć właściwym ludziom. Sprawiedliwość powinna dotyczyć wszystkich, a nie tylko sztucznie wykreowanych bohaterów. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

Operacja „Pager”

Witold Repetowicz

Atak na pagery i krótkofalówki Hezbollahu był spektakularnym sukcesem Izraela i jednocześnie zdumiewającą wręcz kompromitacją systemu bezpieczeństwa tej libańskiej organizacji. Był on jednocześnie sprzeczny z prawem międzynarodowym, ale to zupełnie już nie interesuje Izraela, który poszedł za ciosem i rozpoczął pełnoskalowy atak na Liban

Z militarnego punktu widzenia operacja ta nie była aż tak efektywna. W eksplozjach zginęło 39 osób. Według władz libańskich 12 z nich było cywilami. Wśród ofiar było też dwoje dzieci. Tymczasem w trwającej od roku wymianie ognia zginęło prawie 1 tys. członków Hezbollahu oraz libańskich cywilów, a około 3,5 tys. osób zostało rannych, w tym ciężko.

Jeśli prawdą jest – jak twierdzi sam Hezbollah – że celem było zabicie kilku tysięcy osób w ciągu jednej minuty, to atak się nie powiódł. Ale było to przede wszystkim uderzenie w morale i wizerunek przeciwnika. Izrael chciał pokazać, że może dorwać każdego swojego wroga i że nikt nie może czuć się bezpieczny, a system bezpieczeństwa Hezbollahu jest dziurawy jak sito. To było przede wszystkim masowe bombardowanie strachem, za którym zresztą poszły realne bomby. W kolejnym dniu w nalocie na południowy Bejrut zginął następny członek ścisłego kierownictwa Hezbollahu, tj. Ibrahim Aqil, razem z 30 innymi osobami, a w poniedziałek jednego tylko dnia ofiar śmiertelnych w Libanie było prawie 500.

Pager to w sumie urządzenie przedpotopowe i większość osób w erze smartfonów zapomniała już o jego istnieniu. Młodsi, jeśli nie lubią chodzić po muzeach techniki albo nie są terrorystami, mogli w ogóle o nim nie słyszeć. W Polsce czasami jego świetności były burzliwe lata 90., gdy telefony komórkowe były jeszcze zbyt drogie dla przeciętnego zjadacza chleba. Sam również miałem wówczas to urządzonko przy-

eprasa.pl 15389caf8e

Kamera monitoringu uchwyciła moment wybuchu pagera klienta sklepu z warzywami (drugi z lewej)
FOT. BALKIS PRESS/ABACA/FORUM

pięte do paska spodni. Firmy w pilnych sprawach mogły w ten sposób wysyłać pracownikom polecenia, nie ponosząc za to dużych kosztów. Pracownik mógł przecież po otrzymaniu wiadomości popędzić do innego przedpotopowego urządzenia, czyli budki telefonicznej, i wtedy dopełnienie komunikacji następowało telefonicznie. Rozpowszechnienie telefonów komórkowych oraz spadek kosztów związanych z ich używaniem spowodowały, że pagery straciły rację bytu. Oczywiście w warunkach normalnych.

W erze wielkiego skoku technologicznego pojawiły się też nowe zagrożenia w postaci cyberataków. Namierzanie komórek, hakowanie, phishingi etc. Techniki inwigilacji też się rozwinęły. Zalety nowoczesnego sprzętu komunikacyjnego są oczywiste, ale w warunkach zagrożeń asymetrycznych trzeba też znać stare techniki, na wypadek gdyby w wyniku cyberataku nowoczesne systemy zostały sparaliżowane. Stare metody mają bowiem, obok oczywistych wad, również zalety. W szczególności to, że wiele z nich trudniej zaatakować. Weźmy gołębia pocztowego, którego wszak nikt nie zhakuje, a zidentyfikowanie właściwego wśród tylu spośród tych dziobaczy ziaren jest istnym szukaniem igły w stogu siana.

PSYCHOZA STRACHU

Może zresztą Hezbollah przerzuci się teraz na gołębie. To oczywiście żart, ale Izraelowi udało się wywołać psychozę strachu, która szybko nie minie. I to było głównym celem, który został osiągnięty. Strach przed korzystaniem z urządzeń elektronicznych będzie tym większy, że atak został przeprowadzony w dwóch falach, przy czym druga zebrała wyższe śmiertelne żniwo od pierwszej. Pierwsze uderzenie obejmowało pagery, a następnego dnia zaczęły eksplodować krótkofalówki. Do niektórych wybuchów dochodziło na pogrzebach ofiar z pierwszego uderzenia. Aby dodatkowo pognębić wroga, Internet zalała fala memów i szyderstw z Hezbollahu, co nie jest bynajmniej przypadkowe, lecz stanowi typową operację psychologiczną.

Z punktu widzenia wywiadowczego był to majstersztyk. Izrael oczywiście nie potwierdził swojego sprawstwa, ale nie budzi ono żadnych wątpliwości, a nieoficjalnie wiadomo, że była to wspólna operacja Mosadu i wojska, skoordynowana z przeprowadzonymi po niej nalotami. Nie da się też wykluczyć, że jest to preludium do inwazji lądowej Izraela na Liban. Z perspektywy Hezbollahu jest to natomiast zdumiewająca wręcz kompromitacja. Organizacja ta założyła, że pagery, jako urządzenia, które wyłącznie przyjmują sygnał z zewnątrz, ale go nie wysyłają, są bardzo bezpieczne. Nie można ich bowiem ani zhakować, ani namierzyć. No, chyba że ktoś je „zhakował" fizycznie, instalując wewnątrz „niespodziankę", a to właśnie miało miejsce w tym wypadku.

Szczegółów operacji oczywiście nie poznamy, przynajmniej w najbliższym czasie. Podmioty zaangażowane w nie w krajach trzecich byłyby bowiem narażone na odwet Hezbollahu. Nie można zresztą wykluczyć, że ktoś na Węgrzech, w Bułgarii czy na Tajwanie stanie się ofiarą bomby podłożonej w mieszkaniu, samochodzie czy firmie. Te trzy kraje wymieniane są bowiem jako uczestniczące w łańcuchu dostawy pagerów do Libanu. Łańcuch ten jest jednak bardzo mocno poplątany, gdyż tajwańska firma Gold Apollo, formalny producent pagerów, oświadczyła, że nie wykonała tego zlecenia i było ono zrealizowane przez europejską firmę działającą na licencji. Okazała się nią węgierska BAC Consulting, tyle że jest to firma krzak zarejestrowana na słupa – enigmatyczną 49-latkę włosko-węgierskiego pochodzenia Cristinę Barsony-Arcidiacono, prowadzącą cały zagadkowy biznes w swoim mieszkaniu. Stwierdziła ona, że była tylko pośredniczką, a węgierska prasa przerzuciła odpowiedzialność na Bułgarów i działającą tam spółkę Norta Global.

Bułgarzy mają swoje przykre doświadczenia z bombami Hezbollahu, gdyż to właśnie ta organizacja miała stać za samobójczym atakiem w Burgas na autobus z izraelskimi turystami, przeprowadzonym przez Libańczyka w 2012 r. Poza sprawcą zginęło wówczas sześć osób, a 32 zostały ranne. Hezbollah do ataku się nie przyznał, ale sąd bułgarski skazał jeszcze dwóch Libańczyków za udział w zamachu. Dlatego nic dziwnego, że bułgarska Państwowa Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (DANS) oświadczyła, że po błyskawicznym śledztwie ustalono, iż nikt w Bułgarii nie miał nic wspólnego z atakiem, a informacje z Węgier są dezinformacją.

Węgry są przy tym jednym z najbardziej proizraelskich państw w Europie, a bliskie relacje między Fideszem Viktora Orbána a Likudem Beniamina Netanjahu nie są tajemnicą, więc jeśli Hezbollah świadomie wybrał firmę z tego kraju jako dostawcę, to nie było to zbyt mądre. W każdym razie taka zagmatwana ścieżka dostawy byłaby może i wskazana, ale pod warunkiem, że to Hezbollah by ją kontrolował, a nie jego arcywróg. Ponadto wyposażenie tysięcy swoich członków w urządzenie dostarczone z jednego źródła i niebędące w szerszej podaży to wręcz zaproszenie, by coś wsadzić do środka.

I tak się stało. Izraelczycy zdołali „zainfekować" ładunkami wybuchowymi 5 tys. pagerów, a Hezbollah niczego

eprasa.pl 15389caf8e

nie zauważył, i to mimo że podobno przeszły one inspekcję w Iranie. Brak skutecznej kontroli nad tak strategicznym dla własnego bezpieczeństwa transportem jest zdumiewający, a konsekwencje niezwykle poważne. Nie można też wykluczyć, że namierzenie pagerów poprzez sygnał wywołujący eksplozje pomogło w lokalizacji Ibrahima Aqila.

Aqil był członkiem ścisłego kierownictwa Hezbollahu, a według niektórych ocen po zabiciu Fuada Szukra w ataku przeprowadzonym 30 lipca przez Izrael awansował on z numeru trzeciego na numer drugi tej organizacji. Aqil kierował elitarną grupą Redwan i był m.in. odpowiedzialny za ataki na ambasadę USA oraz koszary sił międzynarodowych w Bejrucie w 1983 r., w których łącznie zginęło 368 osób, głównie żołnierze amerykańscy i francuscy. Zabicie w krótkim okresie dwóch członków Rady Dżihadu, czyli ścisłego kierownictwa Hezbollahu, to cios równie mocny jak akcja z pagerami. Ale trzeba pamiętać, że w Hezbollahu nie ma ludzi niezastąpionych. Specyfika tej organizacji jest taka, że na miejsce zabitych czy też pozbawionych zdolności bojowych z uwagi na wywołane eksplozjami inwalidztwo będzie wręcz nadmiar chętnych. Strach też minie, gdyż pokona go wola zemsty i odwetu. To, że na razie Hezbollah ponosi porażki, a Izrael wydaje się całkowicie kontrolować sytuację, nie powinno prowadzić do pochopnych wniosków. Największym atutem w rękach Hezbollahu jest bowiem brak strategii po stronie izraelskiej.

CO PLANUJE IZRAEL?

Wszystkie te sukcesy Izraela mają bowiem wyłącznie wymiar taktyczny, a w wymiarze strategicznym mogą paradoksalnie prowadzić do katastrofy żydowskiego państwa. Jaki jest bowiem cel Izraela? Nawet jeśli po trwających nalotach Izrael zrobi kolejny krok i dokona inwazji na Liban, wybije tysiące członków Hezbollahu, zniszczy infrastrukturę tego państwa, to co dalej? Izrael już raz dokonał inwazji na ten kraj, okupował jego południowe tereny i musiał się wycofać. Nie dlatego, że ktoś mu to nakazał, ale po prostu nie miało to sensu i było zbytnim obciążeniem. Załóżmy nawet, że Izraelowi uda się tak mocno sparaliżować zdolności odwetu Hezbollahu, że ten nie zdoła wyrządzić mu poważnych szkód. Jest to wprawdzie wątpliwe, gdyż już 25 sierpnia Izrael miał jakoby rozbić w pył arsenał Hezbollahu w czasie swojego uprzedzającego uderzenia na południowy Liban. Tymczasem Hezbollah udowodnił, że wciąż ma zdolności rażenia terytorium Izraela, choć trzeba przyznać, że bezpośredni odwet za atak na pagery i zabicie Aqila nie był zbyt imponujący. Ale nawet jeśli rakiety Hezbollahu nie wyrządzą znaczących szkód Izraelowi i jego mieszkańcom, to pytanie: „Co dalej?" nadal pozostanie bez odpowiedzi.

Izrael ma pełno efektownych opcji, ale żadna z nich nie jest efektywna strategicznie. Naloty mogą osłabić zdolności militarne Hezbollahu, ale Iran dostarczy nowy arsenał, a szyickie kobiety urodzą kolejnych „męczenników". Dopóki szyici są w Libanie, dopóty wszelkie ataki zdalne czy z powietrza nie doprowadzą do zniknięcia Hezbollahu, a wszystkich libańskich szyitów Izrael nie zdoła pozabijać. Izrael postawił sobie jako cel umożliwienie bezpiecznego powrotu ok. 100 tys. mieszkańców północnego Izraela, którzy musieli uciekać na południe przed atakami ze strony Hezbollahu. Tyle że taka taktyka umożliwi tylko krótkotrwały powrót, bo potem znów będą musieli uciekać. Chyba że dojdzie do jakiegoś międzynarodowego dealu, ale to akurat obecne działania Izraela utrudniają.

Tworzenie jakichś stref buforowych też nic nie da, bo Hezbollah będzie atakował z doliny Bekaa, a jego rakiety mają wystarczający zasięg. Długotrwała okupacja Libanu lub nawet jego części również nie wchodzi w grę, a wywołanie fali uchodźców (zarówno libańskich, jak i syryjskich), która niewątpliwie ruszy do Europy, spowoduje skokowy spadek już i tak topniejącego w Europie poparcia dla Izraela. Nie mówiąc już o utrwaleniu nienawiści w otaczającym Izrael zewsząd arabskim morzu. Sukces operacji z pagerami przykrył przy tym kolejną dyplomatyczną porażkę Izraela, tj. przyjęcie przez Zgromadzenie Ogólne ONZ rezolucji żądającej od niego opuszczenia okupowanych terenów Palestyny w ciągu 12 miesięcy. Aż 124 państwa głosowały za tą rezolucją, w tym 12 państw UE, a przeciw było zaledwie 14. Wkrótce USA staną się jedyną podporą Izraela, bez której państwo to nie przetrwa długo. A tam nastroje też się zmieniają. Taka polityka to prosta droga na zafundowanie sobie losu Wietnamu Południowego.

PAŃSTWOWY TERRORYZM IZRAELA

Amerykanie raczej nie wiedzieli o pagerowej operacji Izraela, przynajmniej tak twierdzą, ale oczywiście jej nie potępili. Inaczej to wygląda jednak w przypadku Europy. Lżej lub ostrzej operację tę potępiło wielu europejskich polityków, w tym szef unijnej dyplomacji Joseph Borell. Również ONZ-owscy dyplomaci pochodzenia europejskiego, tacy jak wysoki komisarz ONZ do spraw praw człowieka Volker Turk czy też specjalna koordynatorka do spraw Libanu Jeanine Hennis-Plasschaert uznali, że był on niedopuszczalny ze względu na cywilne ofiary. W świecie arabskim uznany on został za atak na Liban i wywołał ogromne wzburzenie, a także skłonił wiele państw do udzielenia Libanowi pomocy medycznej.

Trzeba przy tym pamiętać, że nawet jeśli większość rannych była związana z Hezbollahem, to nie czyniło to z nich uprawnionych celów zamachu. Zresztą większość państw zachodnich, w tym Polska, uznaje tylko wojskowe skrzydło Hezbollahu za organizację terrorystyczną, a wiele wskazuje na to, że pagery dostały akurat osoby spoza szeregów zmilitaryzowanych. Niedyskryminacyjne (tj. nieodróżniające celów cywilnych od wojskowych) ataki są zakazane przez prawo humanitarne, a ponadto przekształcenie urządzeń telekomunikacyjnych w bomby pułapki jest zakazane przez protokół z 1980 r., podpisany również przez Izrael. Nikt nie miał też kontroli nad tym, w czyich rękach (cywilów czy osób prowadzących działalność terrorystyczną) znajdowały się zainfekowane urządzenia (i wiele wskazuje na to, że Izraela to w ogóle nie obchodziło). Tymczasem legalność działania militarnego, w którym mogą zginąć cywile, zależy od spełnienia takich warunków jak proporcjonalność celu (tu jego militarna wartość nie była duża), brak innej możliwości osiągnięcia celu czy zachowanie szczególnej ostrożności (również do tego nie doszło). Trudno się zatem dziwić, że wielu ekspertów zakwalifikowało ten atak jako państwowy terroryzm. Nie mówiąc już o pogwałceniu suwerenności Libanu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

NIEWOLNICY REŻIMU NA FARMIE NIEMCA

Deputowany do parlamentu Saksonii Jörg Dornau z AfD ma rolniczy biznes. To spółka na Białorusi Cybulka-BEL. Polityk do tego stopnia chciał zachować firmę w tajemnicy, że informacji o niej nie dołączył do obowiązkowego dla deputowanego zeznania podatkowego w Landtagu. Dostał za to w sierpniu karę 20 tys. euro. Teraz niezależny portal Reformation ujawnił, że na plantacji cebuli niemieckiego polityka pracują więźniowie, a wśród nich więźniowie polityczni skazani przez reżim Alaksandra Łukaszenki.

FOT. ADOBE STOCK

ISLAM ZABRANIA DŻINSÓW

Do tej pory w Afganistanie religijne sankcje najbardziej dotykały kobiet. Teraz coraz więcej zakazów zaczyna dotyczyć mężczyzn. Pod koniec sierpnia ogłoszono przepisy, zgodnie z którymi Afgańczycy muszą nosić obowiązkowo brodę (minimalnie o długości pięści), nie mogą też zakładać dżinsów ani strzyc włosów niezgodnie z wymaganiami islamu. W dodatku otrzymali zakaz patrzenia na inne kobiety niż żony i krewne. Nad przestrzeganiem zakazów czuwają urzędnicy „do spraw moralności religijnej". i izba wyższa parlamentu opowiedziały się jednak przeciw zmianie prawa.

SZWAJCARZY ZE SWASTYKAMI

W Szwajcarii od lat 90. zakazane jest głoszenie haseł rasistowskich i nazistowskich. Nigdy nie zakazano jednak używania symboli takich jak swastyka, o ile nie są używane „do promocji zakazanych ideologii". Skinheadzi maszerują tam regularnie ze swastykami, bo trudno im udowodnić, co promują. Przez osiem lat starano się ostatecznie zakazać takiej symboliki. Rząd

CYBERTRUCK KADYROWA

Czeczeński przywódca Ramzan Kadyrow pochwalił się w mediach społecznościowych samochodami Cybertruck, na których zamontowano karabiny maszynowe. Opowiadał, że amerykańskie wozy ruszą na front. Długo nie potrwało i okazało się, że firma Elona Muska zdalnie wyłączyła elektryczne pojazdy. „Jak to, Elon? Czy tak się godzi?" – żalił się w Internecie Kadyrow.

ZBYT DROGIE PANDY

Fiński ogród zoologiczny Ahtari sześć lat temu – po wizycie Xi Jinpinga – dostał w ramach zacieśniania współpracy podarek od Chin. Prezentem były dwie pandy, które miały przebywać w Finlandii przez 15 lat. Dyrekcja zoo zapowiedziała, że Lumi i Pyry zostaną zwrócone w październiku tego roku, bo ogrodu nie stać na ich utrzymanie. Roczny koszt utrzymania zwierząt, wraz z opłatą dla Chin (taki to podarek), wynosi 1,5 mln euro. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Młody Polak potrafi!

Reprezentanci Polski już drugi rok z rzędu odnieśli fantastyczne wyniki w prestiżowym interdyscyplinarnym konkursie dla młodych naukowców European Union Contest for Young Scientists (EUCYS). Podobnie jak w zeszłym roku jedną z czterech nagród głównych zdobył Polak. Tym razem triumfował młody chemik Piotr Olbryś, który zyskał nie tylko prestiż, lecz także 7 tys. euro.

We wrześniu w greckiej Olimpii Szymon Jackowski z XIV Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Warszawie zwyciężył w Międzynarodowej Olimpiady Ekonomicznej. O skali tego sukcesu niech świadczy to, że łącznie w tegorocznym konkursie wzięło udział niemal 100 tys. uczniów szkół średnich z czterech kontynentów. Polska pięcioosobowa drużyna zdobyła łącznie pięć medali (dwa złote i trzy srebrne).

Z kolei w sierpniu polscy uczniowie wywalczyli dwa złote i dwa srebrne medale podczas 56. Międzynarodowej Olimpiady Chemicznej w stolicy Arabii Saudyjskiej. W Rijadzie rywalizowali ze sobą młodzi z 84 krajów. Podobne sukcesy można mnożyć.

Młodzi Polacy pokazują, że mają ogromny potencjał. Między innymi od obecnego rządu zależy zaś to, czy uda się wykorzystać ich talent i pracowitość, rozwijając w Polsce własne nowoczesne firmy działające w sektorze biotechnologii, nanotechnologii, fizyki molekularnej czy sztucznej inteligencji. Brak szybkich i radykalnych działań będzie skutkował tym, że znów na talencie i pracowitości najzdolniejszych polskich chemików, matematyków czy informatyków zarabiać będą głównie zagraniczne koncerny i obce gospodarki...

eprasa.pl 15389caf8e

„Ludzka twarz” Rosjan na wojnie

Maciej Pieczyński

Ani krwiożercze orki, ani bohaterowie bez skazy. Tak żołnierzy armii agresora przedstawiła w filmie „Rosjanie na wojnie” Anastazja Trofimowa, która zarazem twierdzi, że kibicowanie Ukrainie oznacza popieranie wojny. Kontrowersyjny dokument może być zarówno sprytną propagandą, jak i prawdziwym obrazem konfliktu

„Rosjanie na wojnie” jest to bodaj pierwszy (nie licząc ordynarnej kremlowskiej propagandy) tak obszerny materiał przedstawiający konflikt z perspektywy armii agresora FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kanadyjsko-rosyjski film dokumentalny „Rosjanie na wojnie”, w reżyserii Anastazji Trofimowej, był jak dotąd pokazany widzom dwukrotnie: 5 września w Wenecji i 17 września w Toronto. Oba pokazy były zaplanowane jako część tamtejszych międzynarodowych festiwali filmowych. Wenecka premiera wywołała skandal, głównie jednak nad Dnieprem. Przeciwko pokazowi w Toronto zaprotestował konsul generalny Ukrainy w Kanadzie, a także tamtejsza – bardzo liczba i wpływowa zresztą – diaspora ukraińska. Ostatecznie film wyświetlono, ale już po festiwalu. Dokument nie jest dostępny dla szerokiej publiczności. Obejrzała go zatem jedynie wąska grupa festiwalowych gości i krytyków filmowych. Niemniej wywołał ożywioną dyskusję o tym, gdzie są granice prawdy, propagandy i wolności artystycznej.

Film budzi zrozumiałą ciekawość u zachodniego odbiorcy, który na co dzień ogląda obraz wojny kreowany z ukraińskiego punktu widzenia. Jest to bodaj pierwszy (nie licząc ordynarnej kremlowskiej propagandy) tak obszerny materiał przedstawiający konflikt z perspektywy armii agresora. Trofimowa w 2023 r. przez siedem miesięcy towarzyszyła rosyjskim żołnierzom na tyłach, a także na pierwszej linii frontu w ukraińskim Donbasie. Nie kręciła z ukrycia. Jej rozmówcy wiedzieli, że wypowiadają się dla filmu dokumentalnego. Jednocześnie Trofimowa zapewnia, że dostała się na front bez oficjalnego pozwolenia ze strony Ministerstwa Obrony. Z jednej strony, nie ma w tym nic dziwnego, w strefie „specoperacji” pracuje bowiem wielu tzw. wojenkorów, czyli korespondentów wojennych. Są to jednak głównie lojalni wobec Kremla – a już na pewno popierający inwazję – propagandyści. Opozycyjni czy zachodni, niechętni Moskwie dziennikarze praktycznie nie mają możliwości relacjonowania wojny po rosyjskiej stronie frontu.

Trzydziestosiedmioletnia Trofimowa urodziła się w Moskwie, ale ukończyła studia w Toronto (licencjat z komunikacji i nauk politycznych) i w Amsterdamie (magisterka ze stosunków międzynarodowych). Poza ojczystym językiem biegle mówi po angielsku i arabsku. W przeszłości związana była z anglojęzyczną, ale finansowaną przez Kreml propagandową telewizją RT Documentary. Nakręciła kilka filmów o tematyce wojennej, które były efektem jej podróży na Bliski Wschód i do Afryki: „Jej wojna: Kobiety przeciwko ISIS”, „Ofiary ISIS”, „Droga do Rakki”, „Kongo, moje drogie”. Współpracowała również z zachodnimi mediami, których nie sposób oskarżyć o związki z Rosją. Zbierała materiały dla filmu HBO o handlu organami, pracowała jako tłumacz i fixer (ekspert pomagający korespondentom zagranicznym zorientować się w sytuacji w nowym dla nich miejscu) dla „The New York Times” i „The Washington Post”.

ROSJANIE WE MGLE

Na razie „Rosjan na wojnie” można oceniać na podstawie recenzji krytyków filmowych oraz krótkiego, ale sugestywnego zwiastuna. „Rosja i Ukraina były kiedyś nierozłączne. Tęsknię za braterskim Związkiem (Sowieckim)” – mówi jeden z żołnierzy. Jego towarzysz broni tłumaczy: „Kiedy biorę udział w bójce, to zawsze potrzebuję wiedzieć, że mam rację. Myśmy wdali się w bójkę na Ukrainie. I ja nie czuję, że mam rację”. Inny żołnierz argumentuje, że poszedł na wojnę po to, aby w przyszłości nie musiały chwytać za broń jego dzieci. Jeśli wierzyć rozmówcom Trofimowej, to zostali wysłani na front wbrew własnej wiedzy i woli, niczym „ślepe kocięta”. Koty zresztą pojawiają się na ekranie. Rosjanie opiekują się nimi, co niewątpliwie ociepla ich wizerunek. Jedna z żołnierek zapewnia, że towarzysze broni

eprasa.pl 15389caf8e

są dla niej „jak rodzina". Sama reżyserka filmu konstatuje: „Mgła wojny jest tak gęsta, że prawie całkowicie zasłania losy konkretnych ludzi". Ma oczywiście na myśli tzw. zwykłych Rosjan. I właśnie tych ludzi zamierzała najwyraźniej pokazać w swoim filmie.

Głównym bohaterem jest Ilja – odważny i sympatyczny żołnierz, obywatel Ukrainy z Donbasu, który mieszka w Rosji i walczy po jej stronie. Trofimowa poznała go w moskiewskim metrze. Do stolicy przyjechał, żeby w Nowy Rok popracować jako Dziadek Mróz. Ilja ma kochającą żonę, syna i córkę. A potem wraca na front. Idealny mąż i ojciec! Większość bohaterów, jeśli wierzyć recenzentom, to tzw. dobrzy Rosjanie, choć walczą z Ukrainą. Film nie pokazuje ani przymusowo zmobilizowanych, ani zaciągniętych do armii byłych więźniów. Nie ma też wagnerowców. Są głównie ochotnicy i żołnierze kontraktowi. „Nie ma walczących z przekonania fanatyków. Niektórzy poszli na front dla pieniędzy. Ale ci mają swoich ideowych przeciwników, którzy poszli walczyć za ojczyznę" – pisze znany opozycyjny rosyjski krytyk filmowy Anton Dolin.

Zauważa też, że w filmie brakuje informacji o okolicznościach wybuchu wojny. Żołnierze czasem psioczą na dowództwo, które spóźnia się z wypłatami. Ale ostrej krytyki pod adresem np. Putina nie słychać. O zbrodniach wojennych ani słowa. Według opozycyjnego rosyjskiego portalu Meduza nie ma dowodów, by akurat ten pododdział brał udział w mordowaniu jeńców czy ludności cywilnej. Możliwe więc, że Trofimowa nie zakłamuje rzeczywistości, tylko uczciwie pokazuje ten jej wycinek, który akurat dla Moskwy jest wygodny. Ponadto w żadnej armii, włączając Armię Czerwoną i Wehrmacht, nie jest tak, że każdy żołnierz ma krew ofiar zbrodni wojennych na rękach.

Jak zauważa Dolin, każda replika, każda scena w filmie nie tylko wygląda na autentyczną, lecz także może być rzeczywiście prawdziwa. Liczy się jednak powstający ogólny obraz, wrażenie, a to jest dla Rosji pozytywne. Za serce musi chwytać historia staruszki żyjącej samotnie wśród lejów po bombach. Kobieta z płaczem wyznaje, że w jej wsi wszyscy popierają Rosję i boją się powrotu Ukraińców. Jest też opowieść o pewnej sympatycznej dziewczynie, która na ochotnika zaciąga się do batalionu medycznego, w którego szeregach poznaje swojego przyszłego męża. „Wzruszające historie o małych ludziach [mały człowiek – typ bohatera w literaturze rosyjskiej, z reguły biedny, skromny, pogardzany przez przełożonych urzędnik – przyp. red.], którzy nikomu nie życzą niczego złego" – podsumowuje Dolin.

ZŁO JEST BANALNE

Poglądy Trofimowej, wygłaszane publicznie, można określić jako antywojenne. Ale bynajmniej nie antyrosyjskie. 1 marca 2022 r. na swoim Facebooku potępiła inwazję na Ukrainę. Napisała, że „Rosja to nie Putin", że jej rodakom przyjdzie długo jeszcze płacić za agresywną politykę Kremla. Jednak już po nakręceniu „Rosjan na wojnie" zaczęła w sprawie „specoperacji" symetryzować. W wywiadzie dla portalu Ludzie Bajkału zapewniła, że chciałaby swoim filmem zjednoczyć skłóconych po 24 lutego 2022 r. umownych „patriotów" i „liberałów". Dała też do zrozumienia, że jej celem jest przezwyciężenie stereotypów, które każą postrzegać rosyjskich żołnierzy albo jak krwiożercze potwory, albo jak bohaterów bez skazy, rodem z kremlowskich plakatów propagandowych.

Jak sama przyznała, podczas pracy nad dokumentem najbardziej zdziwiło ją, że bohaterowie jej opowieści to „zwykli ludzie". To mógłby być szok również dla zachodniego czy polskiego (nie mówiąc już o ukraińskim) odbiorcy, przyzwyczajonego do zdehumanizowanego obrazu żołnierzy rosyjskich, porównywanych do Tolkienowskich orków. Tym bardziej więc dokument, przy wszelkich zastrzeżeniach, wart jest pokazania szerszej publiczności na Zachodzie. Nie po to, aby Rosjanom współczuć, tylko po to, aby choć na chwilę w patrzeniu na wojnę przyjąć inną perspektywę niż naiwna propagandowa wizja walki absolutnego dobra z absolutnym złem. Ponadto narracja o „zwykłych Rosjanach" nie wyklucza ich potępienia. Jak zauważa historyk kultury Michaił Edelsztejn na portalu Vot Tak, już od czasów eseju Hanny Arendt na temat procesu Eichmanna wiadomo, że zło jest banalne. Zbrodniarzami często okazują się „zwykli ludzie", po których nikt by się na pierwszy rzut oka nie spodziewał, że są zdolni do strasznych czynów.

Jednak Trofimowej niekoniecznie o taką zwyczajność chodzi. Dokumentalistka nie tylko potępia odczłowieczanie rosyjskich żołnierzy, lecz także uważa, że prowadzi ono do dalszej eskalacji konfliktu. „Wydaje mi się, że dziś nie można stawać po czyjejkolwiek stronie. Jeśli wybierasz czyjąś stronę, to znaczy, że popierasz wojnę. To znaczy, że popierasz wojnę albo z jednej, albo z drugiej strony. A ja popieram pokój" – powiedziała w cytowanym już wywiadzie. A to już brzmi jak rozmywanie rosyjskiej odpowiedzialności za inwazję. Paradoksalnie tego typu symetryzm i pacyfizm są istotnymi elementami bardziej subtelnej odmiany kremlowskiej propagandy. Tej odmiany, która ma trafiać nie do przekonanych o słuszności „specoperacji", ale do wątpiących, niezorientowanych w sytuacji albo do tych, dla których pokój jest wartością nadrzędną. Symetryzm każe twierdzić, że obecnie obie strony są winne, więc nie ma sensu pomagać żadnej z nich. A jak wiadomo, bez pomocy Ukraina przegra. Z kolei pacyfizm jest głęboko zakorzeniony w ukształtowanym przez propagandę rosyjskim myśleniu, zgodnie z którym Rosja nigdy na nikogo nie napadała, zawsze się tylko broniła, niosąc światu pokój i wyzwolenie.

Z DYSTANSU

To wszystko jednak nie oznacza, że Trofimowa jest kremlowską propagandystką. Nie ma na to jednoznacznych dowodów. Pewne jest jedynie, że kręcąc film o zwykłych Rosjanach, walczących na froncie, wyraźnie nabrała do nich sympatii i próbuje ich bronić. Nawet więc niechcący wykonuje pracę, która sprzyja Putinowi, bo Zachód, oglądając takie dokumenty, prędzej uwierzy, że Rosja nie jest imperium zła, niż sięgnie po refleksje Hanny Arendt, która dostrzegała zło w zwyczajności.

Jednakże nadszedł być może czas, by spojrzeć na Wschód z większym niż dotychczas dystansem. Rosjanie rozpętali wojnę, ale dostrzeganie w nich wyłącznie prymitywnych orków to naiwność, na którą mogą sobie pozwolić walczący o życie Ukraińcy, ale której wystrzegać się powinni Polacy.

Poza wszystkim dokument, tendencyjny, ale pozbawiony urzędowej propagandy, a ponadto pokazujący jakiś wycinek mało znanej rzeczywistości rosyjskich okopów, sam w sobie niesie sporą wartość poznawczą. I powinien trafić do szerszej publiczności na Zachodzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Plan przyspieszonej agonii

Jakub Wozinski

Plan byłego włoskiego premiera jest przedstawiany jako ostatnia deska ratunku dla coraz bardziej zapóźnionej unijnej gospodarki. W istocie postuluje on jednak wzmocnienie kursu, który doprowadził Unię do obecnego kryzysu

Rok temu przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen poprosiła włoskiego ekonomistę i polityka o stworzenie wielkiej strategii dla Europy. Przedstawiając go jako jednego z najwybitniejszych specjalistów od gospodarki na kontynencie, niemiecka polityk obwieściła wolę uczynienia, co tylko będzie trzeba, aby uczynić Europę bardziej konkurencyjną.

Zwrot „co tylko będzie trzeba" stanowił oczywiste nawiązanie do słynnego przemówienia Maria Draghiego z 2012 r., gdy jako szef Europejskiego Banku Centralnego obiecał ocalić euro przed potężnym kryzysem. Już w samym tym nawiązaniu uwidacznia się jednak zasadniczy problem z całą próbą naprawy unijnej gospodarki przez słynnego „Super Maria". Według eurokratów i medialnego głównego nurtu Draghi okazał się cudotwórcą i wizjonerem, który uratował całą wspólnotę przed katastrofą. Wybór na twórcę wielkiej strategii mającej na celu uratowanie Unii w chwili kolejnego wielkiego kryzysu mógł być więc tylko jeden. Istnieje też jednak zupełnie inna interpretacja działań, które Draghi podjął przed ponad dekadą. Zgodnie z nią były szef EBC wprawdzie zdołał czasowo powstrzymać kryzys, lecz swoją nieodpowiedzialną polityką masowego skupowania długu państw członkowskich stał się jednym z głównych winowajców obecnych gospodarczych niedomagań wspólnoty.

CUDOTWÓRCA CZY ANTYBOHATER?

Żegnając się z funkcją szefa Europejskiego Banku Centralnego, Draghi stwierdzał z dumą, że „bitwa o euro została wygrana". Było to jednak, delikatnie mówiąc, pyrrusowe zwycięstwo, ponieważ trwający w latach 2014–2018 program nielimitowanych zakupów obligacji krajów członkowskich kosztował łącznie ponad 2,1 bln euro. Europa została dosłownie zalana wykreowanymi przez Draghiego pieniędzmi, a mimo to nie przełożyło się to na wzrost gospodarczy. Stało się wręcz przeciwnie: nie dokonawszy żadnych gruntownych reform i polegając na strumieniu taniego kredytu zapewnionego przez EBC, europejskie gospodarki znalazły się w stanie permanentnej stagnacji.

O stanie umysłowym europejskich elit najlepiej świadczy więc już to, że na autora wielkiej reformy wybrano osobę tak bardzo uwikłaną w doprowadzenie do obecnego stanu rzeczy. Na dodatek niemal zupełnie pominięto to, że Mario Draghi całkiem niedawno nie sprawdził

eprasa.pl 15389caf8e

Mario Draghi, były szef Europejskiego Banku Centralnego i były premier Włoch, przygotował raport „Przyszłość Europejskiej Konkurencyjności"

FOT. SIMON WOHLFAHRT/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

się także w roli ratownika w swojej ojczyźnie. W lutym 2021 r. został mianowany szefem rządu „jedności narodowej", mającym przeprowadzić kraj suchą stopą przez covidowy kryzys. W praktyce okazało się, że gdy po półtora roku żegnał się z urzędem, inflacja osiągnęła rekordowy poziom niemal 12 proc.

Dobrym zwyczajem wielu organizacji i firm jest to, że w sytuacji kryzysowej poszukują pomocy i doradztwa spoza własnych struktur. Analogicznie próbująca nadrobić dystans do Stanów Zjednoczonych czy Chin Unia Europejska mogłaby zwrócić się o przeprowadzenie audytu lub zaproponowanie odpowiedniej strategii do ekonomistów z innych krajów (np. ze Szwajcarii). Wybrano jednak rozwiązanie najgorsze z możliwych, gdyż dzieło stworzenia planu naprawy unijnej gospodarki powierzono osobie, która zwyczajnie nie jest w stanie ocenić sytuacji chłodnym okiem i wskazać głównych winowajców.

RZADKI PRZYPŁYW SZCZEROŚCI

Liczący 328 stron raport daje początkowo pewne złudne nadzieje na odkrycie zasadniczych źródeł unijnych bolączek. W przeciwieństwie do większości raportów, analiz i wystąpień eurokratów nazywa bowiem rzeczy po imieniu: Unia Europejska przegrywa ze światową konkurencją w coraz większej liczbie obszarów, począwszy od liczby innowacji, poprzez rolę start-upów, a skończywszy na starzejącej się szybko i kurczącej populacji. Nie ma w zasadzie istotnego wskaźnika, który nie wskazywałby na równię pochyłą, na której znalazła się wspólnota.

W rzadko spotykanym na unijnych salonach przypływie szczerości Mario Draghi pisze także m.in. o nadmiernej biurokracji, krępowaniu sektora małych i średnich przedsiębiorstw gąszczem regulacji czy też cenach gazu nawet pięciokrotnie wyższych niż w Stanach Zjednoczonych. Tym samym okazuje się, że unijni dygnitarze mają pełną świadomość tego, jak bardzo wspólnotowe struktury, prawo i instytucje tłamszą wolności gospodarcze i ograniczają potencjał rozwojowy.

Noszący nazwę „Przyszłość Europejskiej Konkurencyjności" raport można naprawdę docenić za wszechstronne przedstawienie narastającej słabości unijnej gospodarki. Wyłaniający się stąd obraz jest pod wieloma względami wręcz druzgocący, a Draghi pisze wprost o przedłużającej się agonii Europy. Przedstawiając dziesiątki wykresów i tabelek, Włoch nie odnosi się jednak w żaden realny sposób do tego, że od czasu kryzysu w 2008 r. Unia Europejska zdążyła już wdrożyć wiele potężnych planów naprawczych i inwestycyjnych, m.in. Europejski Gospodarczy Plan Odbudowy z 2009 r., wspomniany już program skupu obligacji Draghiego z lat 2014–2018, plan Junckera czy też fundusz NextGeneration EU. Włoski ekonomista nie wiąże w żaden sposób obecnych problemów gospodarczych z dotychczasowymi wielkimi programami, nie odnosi się również krytycznie do żadnego z najważniejszych obszarów aktywności unijnych instytucji.

Draghi nie zdiagnozował poprawnie przyczyn unijnego kryzysu, bo gdyby tego dokonał, musiałby przedstawić bardzo niewygodne dla najbardziej decyzyjnych środowisk konkluzje. Zamiast dogłębnie zmierzyć się z czynnikami pogrążającymi wspólnotę, były prezes EBC przymknął na nie oczy i zaproponował zestaw rozwiązań, które zleceniodawcy raportu przyjęli z niekrytą radością.

Podstawowe wnioski Draghiego można było przewidzieć długo przed oficjalnym ogłoszeniem strategii. Podstawową receptą „Super Maria" na większość bolączek od dawna pozostaje… pomnażanie długu. Nie inaczej jest i w tym wypadku: podstawowe zalecenie głosi, że Unia Europejska musi przeznaczać rocznie 800 mld euro na inwestycje, czyli ok. 4,4–4,7 proc. całego unijnego PKB (dla porównania: plan Marshalla stanowił 1–2 proc. PKB). Środki na ten zawrotny plan inwestycyjny Europa miałaby pozyskać głównie poprzez zwiększenie emisji wspólnego długu, który doprowadziłby z kolei do zbudowania prężnego i rozbudowanego rynku obligacji unijnych. Rynek ów odblokowałby znaczne środki dla inwestycji prywatnych. W tym celu miałoby także dopomóc dokończenie budowy Unii Rynków Kapitałowych.

Ujmując rzecz nieco prościej, Draghi chce jeszcze bardziej zadłużyć wszystkie kraje członkowskie na poczet unijnego superpaństwa, które jego zdaniem powinno zyskać zdecydowanie więcej prerogatyw. W tym celu postuluje m.in. znaczące ograniczenie zasady jednomyślności w decyzjach podejmowanych przez wspólnotę oraz wprowadzanie licznych ograniczeń narzucających m.in. konieczność wyboru unijnych dostawców przy zamówieniach publicznych. Zdaniem Draghiego kraje członkowskie Unii Europejskiej dysponują wprawdzie znacznymi środkami pieniężnymi na rozwój, lecz wydatkują je, nie uwzględniając zasad unijnego patriotyzmu.

SZANTAŻYSTA

Wszystkie wnioski, które zaprezentował w swoim raporcie Draghi, sprowadzają się w istocie do dwóch intelektualnych szantaży. Pierwszy z nich głosi, że jeśli nie zgodzimy się na dalszą centralizację władzy, to czeka nas postępująca gospodarcza agonia. Przykładem jest tu

eprasa.pl 15389caf8e

choćby kwestia Unii Rynków Kapitałowych, która zakłada ścisłe podporządkowanie krajowych urzędów regulujących giełdy Europejskiemu Nadzorowi Giełd i Rynków Kapitałowych (ESMA). Włoski ekonomista w sposób całkowicie fałszywy stara się przedstawić dotychczasowy brak sukcesów Unii jako efekt niedostatecznej integracji, czyli po prostu niewystarczająco szybkiego tempa oddawania kolejnych kompetencji w ręce Brukseli.

Drugi z szantaży głosi, że jeśli nie zadłużymy się jeszcze bardziej, to spotka nas upadek. Tymczasem podstawowy problem Europy polega właśnie na tym, że znaczna jej część jest już teraz potwornie zadłużona i nie potrafi zdemontować iluzji państwa opiekuńczego nawet w obliczu zaostrzającego się coraz bardziej kryzysu demograficznego. Nie dziwi więc, że propozycja Draghiego spotkała się z najbardziej energicznym sprzeciwem wśród Niemców i ich sojuszników, gdzie wielu środowiskom bardzo nie podoba się wizja ręczenia coraz większych sum za południe kontynentu.

Plan Draghiego zawiera w sobie obietnicę zwiększenia efektywności i ograniczenia liczby regulacji. Za ten aspekt raport został nawet pochwalony przez Elona Muska, który zapewne w ogóle się z nim nie zapoznał. Główny nacisk w dziedzinie zwiększania efektywności Draghi kładzie bowiem na ograniczanie suwerenności państw członkowskich i przyspieszanie systemu podejmowania decyzji na poziomie centralnym. Zaznaczając na samym wstępie, że od momentu ogłoszenia przez Komisję Europejską propozycji nowego prawa do momentu jego wdrożenia mija średnio 19 miesięcy, włoski ekonomista z emfazą wskazuje, że trzeba ten czas maksymalnie skrócić. Jego zdaniem Unia Europejska powinna być w istocie państwem prowadzącym jednolitą politykę zagraniczną oraz gospodarczą (pod pozorem ustalania priorytetów sprzyjających konkurencyjności). W celu zmniejszenia biurokracji Draghi proponuje natomiast… powołanie nowego urzędu wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej do spraw upraszczania.

Osobną kwestią rzucającą się długim cieniem na cały raport Draghiego jest jego ideologiczne skażenie zrównoważonym rozwojem. Mimo że Unia Europejska znalazła się na deskach gospodarczego ringu w znacznej mierze właśnie ze względu na nazbyt pilne wdrażanie zasad zielonej transformacji, włoski ekonomista nawet nie próbuje podjąć tego wątku. Na samym wstępie definiuje walkę z globalnym ociepleniem jako absolutny dogmat unijnej strategii i nie wiąże faktu uzyskanej przez USA czy Chiny supremacji ekonomicznej z ich dużo bardziej luźnym przywiązaniem do postulatu rozbratu z paliwami kopalnymi.

UE jako konstrukt zaczyna coraz bardziej przypominać komunizm, i to nie tylko przez promocję neomarksizmu

Na tym jednak nie koniec, ponieważ Draghi upatruje w dekarbonizacji wręcz główne źródło przyszłego wzrostu dla całej Unii. To niezwykle intrygująca wizja, która niestety dość szybko upowszechnia się na politycznych salonach. Zasługuje ona na szczególną uwagę o tyle, o ile jeszcze do niedawna wszelkiego rodzaju lobbyści zrównoważonego rozwoju przekonywali, że zielona transformacja będzie się wiązała ze znacznymi kosztami, które musimy ponieść dla dobra planety. Obecnie płynnie upowszechnia się już jednak nowa narracja, nakazująca widzieć w dekarbonizacji wielki generator wzrostu.

STARE BŁĘDY W NOWYM WYDANIU

W ostatecznym rozrachunku trudno więc nie zgodzić się z Ursulą von der Leyen, że Mario Draghi jest gotów zrobić „wszystko, co trzeba", ale jego prawdziwą intencją nie jest wcale uratowanie unijnej gospodarki, lecz przyczynienie się do powstania europejskiego superpaństwa. Eurokraci zlecili mu stworzenie raportu, z którego miało niezbicie wynikać, że jedynym ratunkiem dla Unii Europejskiej może być tylko jeszcze dalej idąca centralizacja władzy dokonująca się kosztem państw członkowskich. „Super Mario" skonstruował więc propozycję przedstawiającą się na pozór jako wielki plan inwestycyjny, a w rzeczywistości postulującą rozległą uzurpację władzy.

Plan Draghiego w zdecydowanej większości powtarza wszystkie błędy, które teoretycznie obiecał naprawić. Zamiast ograniczyć biurokrację i doprowadzić do deregulacji rynku, domaga się przeniesienia ciężaru decyzyjnego na wyższy poziom i powołania nowych urzędów; zamiast zaradzić nieefektywnemu wydawaniu publicznych środków, postuluje zalanie całej Unii liczonym w bilionach długiem; zamiast wzmocnić konkurencyjność, chce rozmontować zdolność poszczególnych krajów członkowskich do konkurowania na dobre prawo, podatki i instytucje.

Z przykrością należy stwierdzić, że Unia Europejska jako konstrukt zaczyna coraz bardziej przypominać komunizm, i to nie tylko ze względu na promocję neomarksizmu czy też wyraźne zamiłowanie do ujednolicania oraz walki z wolnością gospodarczą. Podobieństwo to daje o sobie znać poprzez nieustanne wezwania do dalszego zacieśniania integracji europejskiej oraz ciągłe zrzucanie winy za zaistniałe kryzysy na niewystarczające pogłębianie współpracy. Sama Unia Europejska zyskuje zaś status nieskalanego ideału, który co najwyżej znajduje ułomnych wykonawców. Być może kiedyś usłyszymy wreszcie, że prawdziwej Unii Europejskiej nigdy nie było.

Plan Draghiego niestety wpisuje się w tę narrację, gdyż przedstawia fałszywy wybór między dalszym brnięciem w budowę superpaństwa a gospodarczą agonią. W rzeczywistości Unię Europejską przyspieszona agonia czeka właśnie w razie wdrożenia pomysłów włoskiego ekonomisty. W Europie nie ma dalszej zgody na zadłużanie się jednych państw kosztem drugich, a bez tego wielki plan inwestycyjny zwyczajnie nie wypali. Gdyby zaś jakimś cudem udało się doprowadzić do nowej emisji wspólnego długu na kolejny bilion euro, wciąż nie ma gwarancji, że rynki zareagują na to przedsięwzięcie ze spodziewanym entuzjazmem.

Europa ma wciąż szansę na to, żeby zacząć dynamicznie się rozwijać, ale droga do tego wiedzie w zupełnie przeciwnym kierunku, niż wskazał Draghi. Trzeba być może jeszcze większego ekonomicznego wstrząsu i poczucia desperacji, aby plan podniesienia Europy z upadku powierzono wreszcie komuś, kto pod pojęciem „wszystkiego, co trzeba" będzie rozumiał zerwanie kajdan zrównoważonego rozwoju, dyrektyw i dotacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tusk chce wyższej inflacji

Właściwie powinienem w tytule napisać: Tusk chce wyższej – oczywiście wyższej do pewnego poziomu – inflacji, podobnie jak chciał jej premier Morawiecki.

Wyższej do „pewnego" poziomu, bo powyżej niego podwyższona inflacja zazwyczaj niesie już ze sobą na tyle wysokie koszty polityczne, a więc i ryzyko dla rządzących, że przestaje im równoważyć gospodarcze, w więc także polityczne zyski, które czerpią z łatwiejszej w warunkach podwyższonej inflacji walki z nakręcanym przez nich zadłużaniem państwa, którego wysokość „zjadana" jest wtedy przez wyższą inflację.

Jak wprost, nie owijając w bawełnę, napisał Onet: „Donald Tusk skrytykował prezesa NBP, prof. Adama Glapińskiego, podczas konferencji prasowej. Przekonywał, że utrzymywanie wysokich stóp procentowych może negatywnie przełożyć się na rozwój polskiej gospodarki: – Jeśli chodzi o stopy procentowe, to wydaje się, że są one nacechowane negatywnym stosunkiem prezesa Glapińskiego do dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Bardzo bym chciał, żeby prezes Glapiński czuł się współodpowiedzialny za kondycję gospodarczą naszej ojczyzny. Nie ma wątpliwości, że ta restrykcyjna, jastrzębia polityka pana Glapińskiego nie ułatwia Polsce realizacji tego ambitnego zadania, jakim jest jeden z największych wzrostów w Europie. On jest jeszcze ciągle możliwy, ale byłoby łatwiej, gdyby prezes Glapiński pomyślał życzliwiej o Polsce i naszych polskich potrzebach".

Oczywiście wcześniej – zasiadając w ławach opozycji – Tusk domagał się od Glapińskiego czegoś dokładnie przeciwnego, czyli właśnie takiej polityki monetarnej, jaką Rada Polityki Pieniężnej zaczęła wreszcie prowadzić po wyborach – czyli jastrzębiej, a nie gołębiej. „Kilka miesięcy spóźnienia w decyzjach RPP (o podwyżce stóp procentowych) powoduje dziś chaotyczne reakcje i decyzje. Inflacja wymknęła się spod kontroli" – grzmiał wówczas Tusk. A – dla odmiany – prowadzenia gołębiej polityki oczekiwał wtedy od RPP ówczesny premier Morawiecki, który zresztą swym niepohamowanym rozdawnictwem pieniędzy publicznych w wielkim stopniu sam przyczynił się – chyba nie wbrew swym intencjom – do rekordowego wywindowania inflacji.

Tak czy owak, Tusk już nawet nie próbuje ukrywać, że chce dla Polaków wyższej inflacji. I zapewne nie spocznie, aż – w taki czy inny sposób – polityka RPP nie sprosta temu jego pragnieniu. A działania podejmowane przez jego ludzi – począwszy od zagonów pułkownika Sienkiewicza w TVP i w Polskim Radiu – nie pozostawiają złudzeń co do tego, że w grę mogą dziś wchodzić chyba już po prostu wszystkie środki i ewentualności. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Minister Wróblewska niszczy państwo

Odwołanie Roberta Kostry z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski pod ostentacyjnie dętym pretekstem, trzy lata przed końcem kontraktu i otwarciem wystawy stałej, po 18 latach budowania przez niego tej najważniejszej w kraju instytucji muzealnej, niby zaskakiwać nie powinno. Obecna władza jedzie po wszystkich instytucjach walcem, często jawnie okazując arogancję, jak wówczas, gdy w Instytucie im. Dmowskiego i Paderewskiego prof. Jana Żaryna zastąpił lewicowy celebryta prof. Adam Leszczyński.

A jednak ten przypadek jest nieco inny i wyjątkowo paskudny. O ile bowiem prof. Żaryn był jednoznacznie kojarzony z poprzednim układem i mocno w nim osadzony, o tyle Robert Kostro to całkiem inna historia. Klasyczny państwowiec, stroniący od partyjnych afiliacji, który pracował na rzecz projektu MHP przez dwie kadencje PO, potem przez dwie kadencje PiS; który umiał porozumieć się z każdą stroną mimo coraz głębszych podziałów; który w MHP współpracował z ludźmi najróżniejszych dróg i poglądów; którego wreszcie do ostatniego momentu bronili ludzie w innych sprawach skrajnie od siebie odlegli światopoglądowo, tacy jak Eugeniusz Smolar, Bogusław Chrabota, Kazimierz Wóycicki, Jan Dworak czy Maciej Strzembosz, a nawet Paweł Machcewicz – taki ktoś w obecnej sytuacji był jak ostoja normalności w środku szaleństwa plemiennej wojny. I dawał nadzieję, że MHP uda się przed tą wojną również uratować. Że tworzona tam opowieść będzie na tyle wspólna, na ile jest to możliwe.

Zastępuje go dr Marcin Napiórkowski, semiotyk kultury niemający żadnego doświadczenia nie tylko w muzealnictwie, lecz także w ogóle w kierowaniu jakąkolwiek większą instytucją. Pan Napiórkowski, autor pracy doktorskiej o frapującym tytule „Modalność estetyczna dyskursu jako narzędzie diagnozy przemian kultury", jest klasyczną emanacją przeintelektualizowanego fajnopolactwa. Autor książki „Turbopatriotyzm", współpracujący z „Tygodnikiem Powszechnym" i „Krytyką Polityczną", nie tylko nie daje szans na utrzymanie wspólnotowego charakteru wystawy stałej w MHP, lecz także jego nominacja jest jawnym pokazaniem gestu Kozakiewicza wszystkim, którzy na taką wystawę mieli nadzieję. To podbicie „demokracji walczącej".

Ta paskudna, destrukcyjna dla państwa decyzja będzie się już zawsze ciągnąć za panią minister Wróblewską. I oby obciążyła ją na zawsze. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

FOT. ARCHIWUM D. OBAJTKA

Z Danielem Obajtkiem, europosłem PiS, byłym prezesem Orlenu
rozmawia Karol Gac

Państwo polskie wykorzystało zbójeckie prawo

eprasa.pl 15389caf8e

KAROL GAC: Panie pośle, tak właściwie to po co panu ten Parlament Europejski? Nie kusiło pana, by – cytując – rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?

DANIEL OBAJTEK: Kocham Bieszczady i kocham Polskę. Zresztą bardzo mi jej brakuje, gdy przebywam w Brukseli czy Strasburgu. Problem w tym, że gdy myślę o odpoczynku, to za chwilę mi ta myśl przechodzi. Nie potrafię odpoczywać. Muszę pracować.

Można to robić w różnych miejscach. Zapewne bez problemu znalazłby pan pracę w sektorze prywatnym albo np. poza krajem.

Miałem własny biznes i zawsze mógłbym do niego wrócić. Problem leży jednak gdzie indziej. Nie chcę nikomu stwarzać problemów, a w momencie, w którym byłbym zatrudniony przez jakikolwiek podmiot, od razu byłbym celem permanentnego ataku, a co za tym idzie – także firma, która by mnie zatrudniła. Dzisiaj przedsiębiorstwa dużo inwestują w wizerunek. Nie chcę być dla kogoś problemem przez to, że nie jestem kochany przez obecną władzę.

Zanim o Europie i UE, to chciałbym zapytać o Orlen. Pod koniec sierpnia koncern opublikował swoje wyniki. Okazało się, że zysk netto za pierwsze półrocze wyniósł 2,7 mld zł, czyli o ponad 12 mld mniej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Wynik netto za sam II kwartał 2024 r. był na minusie. Jak pan odbiera te dane? Nie jest panu żal firmy, którą kierował pan przez tyle lat? A może odczuwa pan gorzką satysfakcję?

Orlen traktowałem nie jako miejsce pracy, lecz jako budowę czegoś wielkiego dla polskiej gospodarki. W takim przypadku nie jest łatwo się odciąć i zawsze do głowy przychodzą mi różne myśli na temat tego, co mogłem jeszcze zrobić. Natomiast nie mam w sobie nienawiści. Po tym, jak przestałem być prezesem koncernu, jednym z moich pierwszych zdjęć w mediach społecznościowych było zdjęcie z kawą na Orlenie. Nie robiłem tak, jak poprzednia opozycja, która apelowała, by nie tankować na polskich stacjach. Tym się różnimy, ponieważ kocham tę firmę i polską gospodarkę. Było to widać w tym, jak koncern się rozwinął i jaki był jego wpływ na gospodarkę. Tylko w 2023 r. Orlen wpłacił do budżetu państwa ponad 70 mld zł.

Dlaczego więc buntuję się bardzo mocno przed obecnym mechanizmem? Ze względu na to, że to mechanizm złodziejski

Przykre jest to, jak ogranicza się obecnie pomoc, która wcześniej płynęła z Orlenu do różnych instytucji i osób. Proszę też zobaczyć, w jaki sposób potraktowano ponad 1,5 tys. menedżerów. Po prostu ich wyrzucono. Nikt nie pyta, ile to kosztowało. Czy warto rezygnować z ludzi, którzy pracowali po 10–15 lat i byli przyjęci przed Danielem Obajtkiem, a następnie zainwestowano w nich duże pieniądze, by się szkolili? Miałem jedną zasadę – nie brałem ludzi miernych i wiernych, ale tych, którzy mieli doświadczenie. Jeżeli brakowało mi nowych osób, które miały inne spojrzenie, to awansowałem te z Orlenu, które pracowały przez kilkanaście lat. Wszystkim menedżerom mówiłem, by nie zajmowali się polityką i realizowali wyznaczane cele, a ja im torowałem drogę. Rocznie realizowaliśmy proces inwestycyjny tak wielki, jak wszystkie procesy w ciągu ośmiu lat naszych poprzedników.

Wracając do danych. Gdzie pana zdaniem podziały się zyski? Skąd tak duża różnica?

Faktycznie na wynik miało wpływ zabranie 15 mld zł na mrożenie cen, ale menedżera ocenia się po wyniku, który jest publikowany. Rząd Zjednoczonej Prawicy także zamrażał ceny, ale wszyscy wiedzieli, w jaki sposób jest to robione. Dlaczego więc buntuję się bardzo mocno przed obecnym mechanizmem? Ze względu na to, że to mechanizm złodziejski. Jak można z firmy zabrać 15 mld zł? Przecież to jest kradzież. Można to zrobić np. za pomocą polityki dywidendowej, która jest uczciwa. Tymczasem tutaj de facto mniejszościowy akcjonariusz zabiera spółce akcyjnej 15 mld zł, czyli pozostałym akcjonariuszom kradnie pieniądze.

Prezes Orlenu tłumaczył, że wynik koncernu był niższy m.in. przez wpłaty na fundusz mrożący ceny nośników energii, co było spowodowane przez nadmiarowe zyski.

Jakie nadmiarowe zyski, jak Orlen w tamtym czasie praktycznie nie przerabiał ropy rosyjskiej? Nadmiarowe zyski to miały te firmy, które przerabiały w tamtym czasie rosyjską ropę, ponieważ na baryłce to było ok. 20 dol. różnicy. Ponadto inne kraje wprowadzały różne podatki od nadmiarowych zysków, ale równo obciążały sektory gospodarki. Tymczasem państwo polskie wykorzystało zbójeckie prawo i tak po prostu zabrało z narodowego koncernu 15 mld zł. To ja pytam: Dlaczego nie nałożyło takiego podatku na inne firmy działające w Polsce, jak np. BP czy Shell? Nowy zarząd nie dopilnował tego i pogodził się z decyzją państwa. Gdyby akcjonariusze mieli wolę walki, złożyliby to do arbitraży międzynarodowych. Tak naprawdę można powiedzieć, że ich okradziono.

Inna rzecz, że za te 15 mld zł można byłoby naprawdę wiele zrobić. Po to stworzyliśmy taki koncern jak Orlen, by przeprowadzać transformację energetyczną w Polsce i być firmą konkurencyjną w Europie. Który inwestor będzie inwestował teraz w Orlen? Proszę zobaczyć, jak wyglądają kurs akcji i kapitalizacja. Ile w tym roku było decyzji o inwestowaniu w źródła niskoemisyjne czy zeroemisyjne przez spółki Skarbu Państwa? Praktycznie żadnej nowej elektrowni gazowej. W Gdańsku był przygotowany cały proces pod wyłonienie firmy do budowy, ale nie zrobiono nic. Jakie kroki wykonano w sprawie energii atomowej? Duży atom jest zawieszony, SMR-y drepczą w miejscu, choć byliśmy bardzo mocno zaawansowani w tym temacie. Mógłbym tak długo wymieniać. Państwo stoi.

Skoro mówi pan o inwestycjach, to co z kompleksem Olefiny III? W Orlenie wciąż trwają analizy przyszłości tego przedsięwzięcia, a w prasie pojawiają się komentarze, że to „klapa na miarę Żarnowca" czy pieniądze wyrzucone w błoto. Z kolei minister aktywów państwowych mówi, że to była „zbrodnia korporacyjna". Jak się pan do tego odniesie?

Minister zajmował się chyba wyłącznie opracowaniami teoretycznymi. Na pytanie o Olefiny odpowiem pewnym przykładem. Kiedy była zaczynana inwestycja polietylenu w Czechach, to potem bardzo znacząco przekroczyła budżet. W trakcie realizacji się nie spinała.

eprasa.pl 15389caf8e

W momencie, kiedy petrochemia była na bardzo niekorzystnej marży, cały projekt był spisany na straty. Czynniki makroekonomiczne się jednak zmieniły i ta inwestycja, mimo że kosztowała sporo więcej, w ciągu dwóch lat się zwróciła. W momencie, kiedy Olefiny były kształtowane, rozwój petrochemii był liczony na bazie pewnej koncepcji. To nie miało odzwierciedlenia w stopie zwrotu. Kiedy zostało to projektowane, kiedy określiliśmy szczegóły, to ogłosiliśmy przetarg. Wszystko to było poparte analizami międzynarodowych firm z czołowej czwórki, uzasadnieniami i stopą zwrotu. Ostatecznie postępowanie ofertowe zweryfikowało koszty i wówczas zbadaliśmy stopę zwrotu, która okazała się w pełni wystarczająca do inwestycji. Ponadto musi pan wiedzieć, że stopę zwrotu bada się na dzień podejmowania decyzji, bo w ciągu wielu miesięcy zmieniają się okoliczności. W innym przypadku każdą inwestycję trzeba byłoby zaorać, bo byłaby ona wielokrotnie opłacalna i nieopłacalna. O tym, że ta inwestycja nie jest żadnym Żarnowcem, świadczy przede wszystkim to, że jej część jest oparta na finansowaniu do projektu. Instytucje finansowe wniosły swój kapitał w wysokości ponad 5 mld zł do tego, żeby została ona zrealizowana. Ktoś miałby to zrobić, by w życiu tych pieniędzy nie odzyskać? Zdawaliśmy sobie sprawę, że przyjdą nasi następcy, którzy będą chcieli wszystko storpedować, więc zgodnie z prawem zabezpieczyliśmy całą dokumentację na dzień podejmowania decyzji. Wszystko po to, by ci panowie nie traktowali wybiórczo pewnych rzeczy.

Przechodząc do Unii Europejskiej. Dlaczego zdecydował się pan kandydować do Parlamentu Europejskiego?

Uważam, że w PE powinni być ludzie, a przynajmniej w części, którzy pracowali w dużym biznesie, bo unijne decyzje mają znaczący wpływ na niego, a co za tym idzie – także na życie codzienne. Chodzi o to, by PE nie był grupą osób, które nie tylko wymyślają jakiś światopogląd, lecz także patrzą na konkurencyjność w sposób logiczny i zgodny z ekonomią. Uznałem również, że muszę zdobyć doświadczenie, jeśli chodzi o europejską legislację. Sądzę, że Unia Europejska odbiega od swoich zasad i zaczyna być drętwym tworem, który blokuje transformację i konkurencyjność.

Potwierdza to raport Maria Draghiego, byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego, który został zlecony przez Ursulę von der Leyen. Wynika z niego, że gospodarka UE nie tylko przestaje być konkurencyjna wobec Stanów Zjednoczonych i Chin, lecz także – jeżeli nie znajdzie 800 mld euro rocznie – czeka ją powolna agonia.

Jeszcze jako prezes Orlenu mówiłem, że UE blokuje możliwość inwestowania, a duży przemysł ucieka z Europy. Podobnie jak to, że transformacja energetyczna nie idzie w dobrym kierunku i brakuje na to kapitału. UE oparła Zielony Ład na kwestiach ideologicznych, a nie ekonomicznych. Czym jest transformacja? Ma ona doprowadzić do konkurencyjności i powinna być oparta na ekonomii, a nie ideologii. W innym przypadku nie jest ona żadnym motorem do konkurencyjności. Transformacja ma sprawić, by w jak najkrótszym czasie wyprodukować coś jak najtaniej. Do konkurencyjności potrzebne są technologie, do niej niezbędny jest niski koszt energii i wtedy mamy transformację. Co tymczasem mówi Mario Draghi? To, że UE traci konkurencyjność. Ale dlaczego ją traci? Ze względu na to, że przez swój światopogląd UE odjechała od całego świata. USA i Chiny produkują szybciej i taniej, a Wspólnota poprzez regulacje produkuje drożej i wolniej. W USA mamy ok. 300 regulacji rocznie, a w UE ok. 1 tys., więc różnica jest znacząca.

Na miejscu Władimira Putina wysyłałbym do unijnych polityków kwiaty i słodycze, bo im dłużej będą podejmować tak irracjonalne decyzje, tym większe pole manewru dla niego

Europa nie tylko wysycha pod względem wody, lecz także wysycha pod względem przemysłu. Wszystko to przez nieobliczalność polityków, którzy nie mają pojęcia o ekonomii. Wartość gospodarki europejskiej w stosunku do gospodarki amerykańskiej wynosi 60 proc. Jeszcze kilkanaście lat temu było to 90 proc. To najlepiej pokazuje, jak UE wyhamowuje. Cała Europa jest przeregulowana. Kiedy rozmawialiśmy z firmami, by u nas inwestowały, to nie chciały, właśnie z powodu nadmiaru regulacji. Kiedy łączyliśmy Orlen z Lotosem i mieliśmy warunki zaradcze, wysłaliśmy informacje o sprzedaży części rafinerii do 36 firm międzynarodowych. Tylko dwie firmy się zgłosiły. Kapitał nie chce inwestować w Europie i woli to robić w Turcji czy w Chinach. Po co ma tu inwestować, skoro może to robić gdzieś, gdzie jest łatwiej? Kto będzie w Polsce inwestować, gdy mamy najdroższy prąd w UE? Nikt. Tymczasem w kraju trwa dyskusja, kogo jutro zamkną, i to jest najważniejszy temat.

Tylko dlaczego Unia Europejska to sobie robi?

Z raportu Maria Draghiego wynika, że Europa traci konkurencyjność z powodu fanaberii światopoglądowej. I nikt za te pomysły oderwane od rzeczywistości nie ponosi konsekwencji. Ursula von der Leyen obiecałaby wszystko, byleby ponownie wybrano ją na szefową Komisji Europejskiej. Co ciekawe, sama potakiwała głową przy przemówieniu Draghiego. Widać, że sami chcą się wycofać z tego, co proponowali, bo wiedzą, że jeśli będą w to brnąć, to gospodarka europejska będzie coraz słabsza.

Spodziewa się pan otrzeźwienia elit europejskich?

Na miejscu Władimira Putina wysyłałbym do unijnych polityków kwiaty i słodycze, bo im dłużej będą podejmować tak irracjonalne decyzje, tym większe pole manewru dla niego. Europa będzie szła w kierunku zeroemisyjności, a on będzie mógł robić, co chce. Jeśli UE się nie zmieni, to czeka ją los zgnuśniałego Rzymu, który podbiły i splądrowały inne narody. Nie spodziewam się otrzeźwienia, bo politycy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Gdyby tak było, to Ursuli von der Leyen już dawno by nie było. Kiedy normalny człowiek popełni błąd, to za ten błąd odpowiada. Tu się popełnia błędy rujnujące gospodarkę europejską i co najwyżej się za nie przeprasza. Jedna wielka groteska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15389caf8e

Cierpieniu można nadać sens

Cierpienie – czy to bezpośrednio, czy pośrednio – dotyka każdego człowieka. Jednocześnie „jest rzeczywistością o tysiącu twarzy, jest ono niepowtarzalne, w tym sensie, że każda osoba na to samo cierpienie reaguje w całkiem odmienny sposób. Jest to tajemnica nieprzewidzianej wrażliwości każdego człowieka" (św. Jan Paweł II, Lourdes, 15 sierpnia 1983 r.). Obok cierpienia fizycznego istnieje cierpienie psychiczne oraz duchowe. Dotyka indywidualnych osób, a także grup społecznych czy narodów. Wspólne jest to, że w obliczu każdego cierpienia człowiek stawia pytanie: „Dlaczego cierpię?". A nie znajdując na nie odpowiedzi, cierpi jeszcze bardziej.

CIERPIENIE W ŻYCIU ŚW. JANA PAWŁA II

Ból i cierpienie mocno wpisały się w życie św. Jana Pawła II. Wczesna strata rodziców i brata. Wypadek, kiedy potrąciła go niemiecka ciężarówka. Śmierć przyjaciół w czasie wojny. Prześladowania i szykany ze strony komunistów i zamach na jego życie. Spotkania św. Jana Pawła II z chorymi odbywały się w czasie każdej podróży apostolskiej. W końcu publiczne przeżywanie choroby i starości stały się jednym z najmocniejszych symboli jego pontyfikatu.

NADAĆ CIERPIENIU SENS

Swoim nauczaniem i wymownym świadectwem przeżywania cierpienia św. Jan Paweł II pozostawił wskazówki, jak można nadać sens cierpieniu: „Najpierw: jakiekolwiek jest wasze cierpienie […], ważne jest, abyście je sobie jasno bez pomniejszania go ani wyolbrzymiania, uświadomili […]. Następnie jest rzeczą konieczną, by postępować na drodze akceptacji […], dlatego że wiara zapewnia nas, iż Pan może i pragnie wyprowadzić dobro od zła […]. I wreszcie najpiękniejszy gest, który możecie uczynić: ofiara" (Lourdes, 15 sierpnia 1983 r.). Chodzi zatem o uświadomienie sobie faktu własnego cierpienia, dobrowolne jego zaakceptowanie oraz ofiarowanie go za kogoś lub za coś. Tym samym w obliczu cierpienia człowiek winien koncentrować się na pytaniu nie o to, dlaczego cierpi, ale jakie dobro może uczynić swoim cierpieniem drugiemu człowiekowi.

ODPOWIEDŹ NA LUDZKIE CIERPIENIE

Cierpienie jest wielkim wołaniem o miłość, która winna wyrażać się nie tylko w fachowej pomocy specjalistów, lecz także poprzez obecność przy cierpiącym człowieku. Dlatego istotnym elementem programu stypendialnego Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia" jest wolontariat. Stypendyści podejmują posługę w hospicjach, domach pomocy społecznej, towarzyszą osobom z niepełnosprawnością, prowadzą zajęcia dla podopiecznych z domów dziecka oraz odwiedzają mieszkańców domów opieki. Dla wielu z nich motywacją do zdobywania wiedzy jest chęć niesienia w przyszłości pomocy potrzebującym ludziom.

Wsparcie Fundacji można okazać, wysyłając **SMS o treści STYPENDIA** pod numer **74265** (4,92 zł z VAT), a także biorąc udział w październikowych obchodach. XXIV Dzień Papieski, obchodzony pod hasłem „Św. Jan Paweł II – Ewangelia starości i cierpienia", odbędzie się w niedzielę 13 października. W całej Polsce będziemy wspominali życie i nauczanie św. Jana Pawła II. Będzie to też okazja do pomocy zdolnej i niezamożnej młodzieży podczas ogólnopolskiej zbiórki przy kościołach i na ulicach. Więcej o fundacji i jej stypendystach można przeczytać na stronie: www.dzielo.pl.

ks. dr Łukasz Nycz,
Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia"

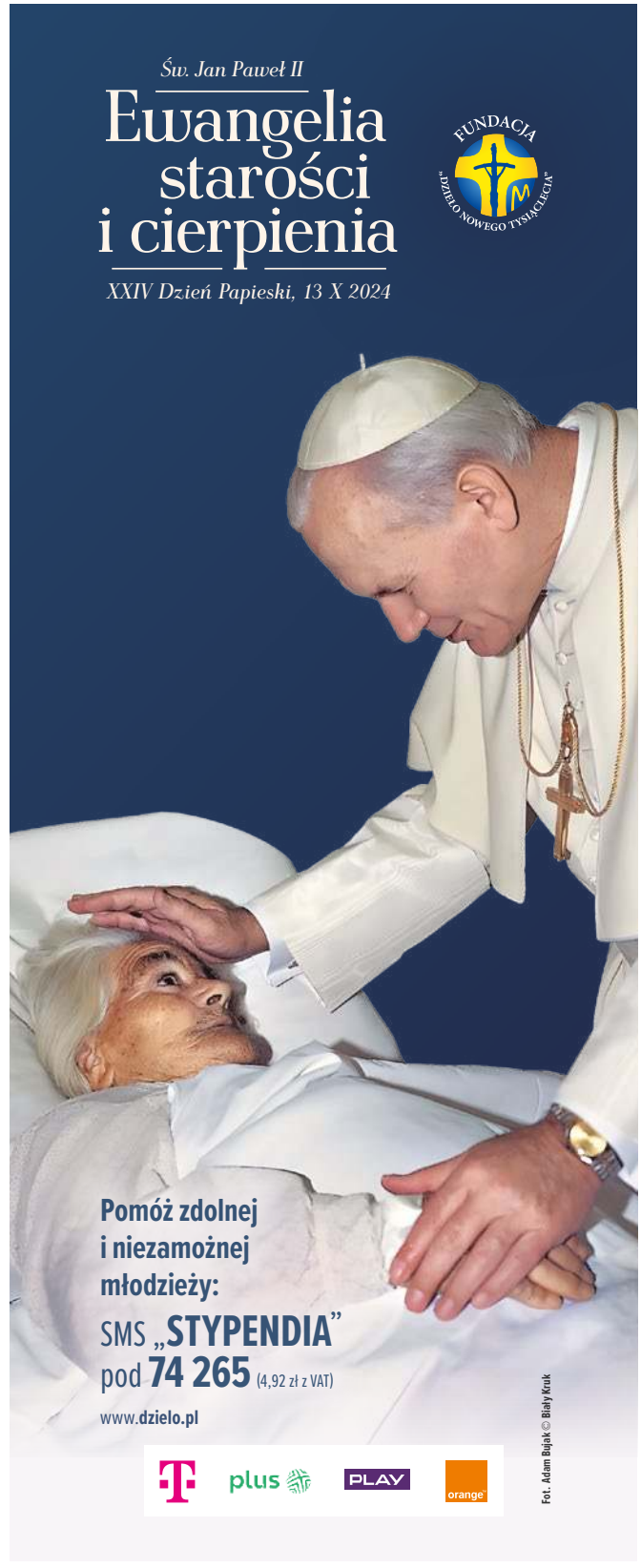

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 15389caf8e

MG 3 HYBRID+

FOT. JAP.

To najtańsza nowa hybryda dostępna na polskim rynku. Na szczęście niska cena nie jest jedyną zaletą tego modelu. Hatchback z logo MG Motor – założonej w 1924 r. brytyjskiej marki, znanej przez dekady jako producent kultowych sportowych samochodów, a w roku 2006 kupionej przez chiński koncern SAIC Motor – nie jest co prawda hot hatchem, ale potrafi pozytywnie zaskoczyć zwinnością i dynamiką. Pod maską ukrytych jest bowiem aż 194 KM, a moment obrotowy wynosi 425 Nm. Sprint od zera do setki zajmuje 8 s, a prędkość maksymalna to 170 km/h.

Zdarza się, że napęd hybrydowy łapie niewielką zadyszkę przy nagłym przyspieszaniu, ale generalnie auto daje dużo frajdy z jazdy. Potrafi też być bardzo oszczędne. MG3 wyposażone w napęd hybrydowy łączący wolnossący silnik spalinowy o pojemności 1,5 l z jednostką elektryczną, przy rozsądnej jeździe spala średnio (miasto, droga krajowa, trasa ekspresowa) ok. 4,6 l/100 km. Na jednym baku można zaś nim pokonać ponad 700 km.

MG 3 Hybrid+ waży 1,3 t i ma nieco ponad 411 cm długości. Mimo to miejsca w środku jak na miejskie auto jest zaskakująco dużo zarówno z przodu, jak i z tyłu. Fotele są wygodne. W kabinie udało się też zmieścić sporo półeczek, schowków etc. Na desce rozdzielczej zamontowano dwa wyświetlacze. Pierwszy to siedmiocalowy zestaw cyfrowych wskaźników. Drugi ekran ma przekątną 10,25 cala i służy do obsługi multimediów, klimatyzacji, Android Auto/Apple CarPlay etc. Nie ma tu się do czego przyczepić poza dwoma drobiazgami. Po pierwsze, gdy włączona jest funkcja Android Auto, nagle przycisk do ustawień klimatyzacji przestaje reagować i trzeba docierać do ustawień w inny sposób. Po drugie, importer powinien zainwestować w lepsze tłumaczenie systemu na polski, np. kamera cofania wyświetla się na ekranie jako „Tylny wyświetlacz przezierny".

Design wnętrza jest minimalistyczny i nowoczesny. Dominują dość twarde tworzywa sztuczne, ale są one precyzyjnie zmontowane, więc na nierównościach nic nie skrzypi. W najdroższej wersji pojawia się też skóra ekologiczna. Miłym dodatkiem jest wzór angielskiej kraty, ale nie ma co liczyć na wrażenia z klasy premium. Kufer ma 293 l pojemności (po złożeniu tylnej kanapy pojemność rośnie do 983 l). Szkoda, że nie da się złożyć tylko części kanapy. Przydałoby się też więcej możliwości regulacji położenia kierownicy.

Za bazową wersję modelu MG 3 Hybrid+, wyposażoną m.in. w adaptacyjny tempomat, halogenowe reflektory, kamerę cofania, nawigację, automatyczną klimatyzację, dwa wyświetlacze w kokpicie oraz aktywny system hamowania awaryjnego, trzeba zapłacić 87 950 zł. Wersja Exclusive, doposażona w kamerę 360 stopni, reflektory LED, system bezkluczykowego otwierania, podgrzewanie przednich foteli i zestaw elektronicznych asystentów do monitorowania martwego pola, ruchu poprzecznego etc., wyceniona została na 101 tys. zł. Jak na dzisiejsze czasy stosunek ceny do jakości tego modelu jest więc bardzo dobry. ©℗

INTELIGENTNA KAMERA EZVIZ HB8

Wyraźny, panoramiczny obraz 360 stopni, funkcja inteligentnego wykrywania ruchu osób, wbudowany dysk 32 GB, bezpłatna aplikacja, wbudowana syrena alarmowa oraz bardzo wytrzymała bateria – to największe zalety bezprzewodowej kamery chińskiej firmy Ezviz do domowego monitoringu.

Niewielka, biała kamerka może się poruszać 340 stopni w poziomie i 65 stopni w pionie. Testowany model jest odporny na warunki atmosferyczne i potrafi rejestrować nagrania w rozdzielczości 2560 x 1440. Automatycznie wykrywa również ruch, może powiadamiać użytkownika o zidentyfikowaniu intruza, a nawet automatycznie śledzić ruch wykrytej osoby. Jakość rejestrowanego obrazu jest dobra zarówno w dzień, jak i w nocy (tryb noktowizyjny). Gdy inteligentne algorytmy wykryją ruch osoby, kamera może wysyłać powiadomienia w aplikacji. Można również ustawić automatyczne uruchamianie alarmu w przypadku wykrycia osoby (wówczas kamera włącza głośną syrenę alarmową oraz miga dwoma reflektorami). Mikrofon i głośnik przydają się również np. do komunikacji z kurierem za pomocą bezpłatnej aplikacji (w niej też można przeglądać nagrania z ostatnich dni).

Nagrania mogą być przechowywane na wbudowanym dysku eMMC (o pojemności 32 GB) lub w chmurze firmy Ezviz (akurat ta usługa jest dodatkowo płatna, ale na szczęście samo korzystanie z aplikacji nie wymaga zakupu żadnego abonamentu). Konfiguracja urządzenia jest bajecznie prosta. A dzięki akumulatorowemu zasilaniu i łączności wi-fi kamerę można zainstalować zarówno na elewacji domu, jak i na ogrodzeniu czy np. też na daszku altany na rekreacyjnej działce. Producent zapewnia, że duży akumulator o pojemności 10 400 mAh pozwala aż na 210 dni pracy na jednym ładowaniu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Minusy? W przeciwieństwie do niektórych konkurentów oprogramowanie kamery Ezviz HB8 nie potrafi rozpoznawać samochodu czy zwierząt. Inteligentne algorytmy potrafią zidentyfikować wyłącznie ruch osób. Kamera nie nagrywa również w trybie ciągłym – rejestrator włącza się dopiero po wykryciu podejrzanego zdarzenia. Mimo to testowany model godny jest polecenia osobom, które chcą szybko i stosunkowo tanio zwiększyć bezpieczeństwo posesji czy ogródka działkowego.

Cena testowanego modelu wynosi 669 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 15389caf8e

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Początek końca Rzeczypospolitej

JACEK KOMUDA

Na zachód od Humania, na polach pomiędzy Ładyżynem i Hubnikiem, po zachodniej stronie rzeki Boh, rozegrała się bitwa, która była jedną z najgorszych klęsk w historii Rzeczypospolitej. Mowa o starciu na dawnym uroczysku Batoh 2 czerwca 1652 r., w którym zagładzie uległa armia koronna pod wodzą hetmana polnego Marcina Kalinowskiego, otoczona przez Kozaków Bohdana Chmielnickiego i Tatarów.

Klęska ta, co należy powiedzieć jasno, była winą samych Polaków i coraz bardziej niewydolnego systemu politycznego i skarbowego Rzeczypospolitej. Dowództwo i politycy popełnili wszystkie możliwe błędy. Zacznijmy od samego hetmana, Marcina Kalinowskiego, który znienawidzony był przez wojsko. Próbując nie dopuścić do wyprawy Chmielnickiego do Mołdawii, zatoczył zbyt wielki obóz i nie zgromadził całości sił armii koronnej, rozłożonej na leżach po całej Ukrainie. Kiedy został zaskoczony przez wroga, nie słuchał rad starszego nad armatą Zygmunta Przyjemskiego, który proponował wycofanie się z jazdą, sam zaś z piechotą miał pozostać i bronić się na miejscu. W taborze wybuchł pożar ogromnych stert siana i słomy, a w wojsku – bunt części oddziałów narodowego autoramentu, nieopłacanych od dawna i skonfliktowanych z hetmanem. A wszystko to w obliczu okrążających obóz Kozaków i Tatarów. W takich okolicznościach atak wroga skończył się zdobyciem obozu i klęską, a Chmielnicki zapłacił później Ordzie Nogajskiej za wymordowanie wszystkich jeńców. Stąd właśnie Batoh nazywany bywa sarmackim Katyniem. Zginął kwiat armii koronnej, zginęli rotmistrzowie i porucznicy, doświadczeni wojskowi. Zamordowani zostali sam hetman i jego syn, padli Marek Sobieski, rodzony brat przyszłego króla, Zygmunt Przyjemski i wielu innych.

RYS. QBA

Pośrednim sprawcą tej klęski był nikt inny jak niesławny poseł Władysław Siciński, który nie pozwolił na przedłużenie obrad marcowego sejmu w Warszawie. Rozejście się zgromadzenia spowodowało cały ciąg przyczynowo-skutkowy, którego kulminacją była właśnie katastrofa pod Batohem. Po pierwsze, sejm nie zatwierdził ugody zawartej z Kozakami w poprzednim roku pod Białą Cerkwią. Chmielnicki uznał zatem, że ma rozwiązane ręce i może rozpocząć kolejną fazę wojny z Rzecząpospolitą. Po drugie, sejm nie uchwalił podatków na wojsko – m.in. z tych właśnie przyczyn nieopłacone oddziały hetmana Kalinowskiego podniosły bunt w obliczu nieprzyjaciela.

Batoh nie oznaczał kompletnego ogołocenia z wojska Rzeczypospolitej. Rok później wystawiono jeszcze większą armię, jednak jej morale i poziom kadry oficerskiej pozostawiały wiele do życzenia. Był to jednak złowieszczy znak upadku. Pokazywał sąsiadom, że coś złego dzieje się z państwem polsko-litewskim, skoro nie może od tylu lat poradzić sobie z buntem kozackim. Był to katalizator zmian, przełomowy punkt zwrotny, jak klęska pod Rocroi w 1643 r. zapoczątkowała upadek Hiszpanii, a pogrom pod Wiedniem w 1683 r. – początek końca Porty Otomańskiej. Klęska pod Batohem spowodowała, że dwaj najwięksi wrogowie Rzeczypospolitej rozpoczęli przygotowania do zbrojnej interwencji w konflikcie. Najpierw Moskwa zdecydowała się wziąć pod opiekę hetmana Bohdana Chmielnickiego, który wielokrotnie czynił oferty przejścia pod panowanie cara Aleksego Michajłowicza Romanowa. Historycy ukraińscy do dziś głowią się, jak wytłumaczyć, że działania hetmana – których skutki są aktualne do dzisiaj – były pozorowane. Prawda wydaje się prostsza – kozacki wódz, doskonale zorientowany w stosunkach w Chanacie Krymskim i Turcji oraz w Rzeczypospolitej, w ogóle nie znał realiów panujących w Moskwie, stając się jednym z pierwszych pożytecznych idiotów, wyobrażających sobie, że car będzie traktował Kozaków jak król Polski szlachtę.

Drugim efektem Batohu było to, że Szwecja postanowiła włączyć się do walki na wschodzie po stronie silniejszego; późniejsze klęski w wojnie z Moskwą sprawiły, że postanowiła dobić Rzeczpospolitą, aby uzyskać nowe nabytki terytorialne na wybrzeżu Bałtyku.

Do dziś przebieg bitwy pozostaje niejasny. Dawni Polacy nie pisali o klęskach i nie rozpamiętywali ich bez końca. Dlatego nie do końca wiadomo, gdzie położony był polski obóz – ja podaję lokalizację za Wojciechem Jackiem Długołęckim, autorem szczegółowej monografii tej klęski. Na miejscu pomnik wskazuje teren położony na południe od rzeczki, na północnych obrzeżach Czetwertynówki. Tylko jednak szczegółowe badania archeologiczne będą mogły rzucić światło na tę sprawę. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Feeria smaków

Kuchnia koreańska to istna feeria wielu niepowtarzanych smaków – od ostrych i konkretnych do dość subtelnych, roślinnych, przełamujących moc chili i ostrej papryki. Ten smak uwydatnia się w tak lubianych przez Koreańczyków zupach, które oprócz tego, że łagodzą ostrość dań głównych, mają właściwości prozdrowotne. Kuchnia koreańska opiera się głównie na ryżu, makaronie, mięsie, warzywach i owocach morza. Kultowe kimchi, czyli sfermentowane i kiszone warzywa, zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa niematerialnego UNESCO. Najbardziej popularnym warzywem w kimchi jest kapusta pekińska, ale możemy użyć innych warzyw. Sfermentowane warzywa stanowią doskonały dodatek do ciężkich dań mięsnych. Kimchi jest bogate w witaminy K, C i z grupy B, minerały, błonnik i naturalne probiotyki.

Skąd pomysł na taką kapustę? Historia sięga ponad 2 tys. lat, na początku była to forma przechowywania warzyw, podobnie jak naszej polskiej kapusty kiszonej, później z biegiem czasu zaczęto udoskonalać i dodawać różne inne składniki, stąd wiele wersji kimchi, które stało się nierozerwalnym elementem tradycyjnej kuchni koreańskiej. Koreańczycy uwielbiają dobrze zjeść, szczególnie lubią tłuste mięso wieprzowe, kurczaka w sosie na bazie ketchupu czy smażony ryż w wielu wariacjach z mięsem lub jajkiem sadzonym. Do tego oczywiście ziarenka sezamu, które dodają smaku i orientalnego charakteru. Koreańczycy uwielbiają jeść posiłki z grilla, który stawiany jest na stole w restauracji. Seul – stolica Korei – wypełniony jest po brzegi maleńkimi restauracyjkami, w których podaje się dania właśnie w takiej formie.

Żeberka po koreańsku

• 1 kg żeberek wieprzowych • ½ łyżeczki soli, pieprzu, czerwonej papryki słodkiej i ostrej • 3 ząbki czosnku lub 2 łyżeczki czosnku sproszkowanego • 4 łyżki sosu sojowego • 4 łyżki słodkiego sosu chili • 2 łyżki oleju sezamowego • 2 łyżki ketchupu • 1 łyżka octu lub soku z cytryny • 3 łyżki miodu

Żeberka pokroić na paski, natrzeć solą i wszystkimi przyprawami oraz czosnkiem. Z pozostałych składników zrobić marynatę i wsmarować w żeberka. Pozostawić na kilka godzin. Nagrzać piekarnik do 180 st. C, włożyć żeberka, podlać wodą (ok. 150 ml) i piec pod przykryciem ok. 2 godz. Po tym czasie zdjąć przykrywę i piec żeberka jeszcze 20 min, tak aby się zarumieniły. Podawać z ryżem i sałatką z kapusty pekińskiej. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dwójka w likwidacji

Nie obchodzą mnie świętowane z hukiem premiery nowych ramówek stacji telewizyjnych. Natomiast bardzo mnie obchodzi nowa ramówka Programu II Polskiego Radia bo jestem wytrwałą i wierną słuchaczką od lat. A zmiany w programie właśnie się rozpoczęły. Poważne.

Dwójka jest enklawą w naszej medialnej rzeczywistości. Schronieniem wysokiej kultury. Muzyka poważna, jazz, literatura, bez reklam i wrzasków prezenterów. Nienaganna polszczyzna. Nie wstydźmy się tego słowa: to radio elitarne. I tego oczekują wierni słuchacze. Tymczasem wielki marsz w stronę postępu nie oszczędził także tego unikalnego radia. Skracanie audycji, siekanie ich nieistotną publicystyką, coraz więcej przerywników, zapowiedzi, dżingli. Należy potrząsnąć przyzwyczajeniami słuchaczy: niech się odzwyczają od pór ulubionych audycji, od spokojnego rytmu. Wreszcie – last but not least – wprowadzenie na antenę osób, które z polszczyzną i z mikrofonem mają poważne problemy. Ku rozpaczy słuchaczy z porannego bloku zniknął Paweł Siwek, kompetentny dziennikarz obdarzony pięknym głosem.

Ponadto Dwójka, teoretycznie apolityczna, przybrała kurs zaskakująco zgodny z oczekiwaniami obecnej władzy. Widać to w przeglądach prasy, w których króluje obecnie „Gazeta Wyborcza". Gwoli prawdy należy powiedzieć, że za rządów PiS gazeta w ogóle nie była omawiana. Nie da się ukryć, że odbywa się „depisyzacja" programu. Powrót Doroty Kozińskiej, którą poprzednia dyrekcja zwolniła za wulgarny wpis na temat obchodów rocznicy smoleńskiej, jest znamiennym przykładem zmian.

Na profilu facebookowym Dwójki rozpętała się burza. „Zmierzch kultury wysokiej", „Target rządzi", „Myślałam, że przynajmniej Dwójka obroni się przed wulgarną władzą", „Drastyczna modyfikacja ramówki jest przejawem lekceważenia słuchaczy". Plus nieskończona liczba cytatów z błędami językowymi popełnianymi przez nowe prowadzące „Poranek Dwójki".

Czy nas to zaskoczyło? Niezupełnie. Już wcześniej w komunikacie PAP likwidator redaktor naczelny pan Majcher przekazał, że „w wyniku dyskusji i rozmów będzie tworzona nowa linia programowa". Zapytany o kierunek zmian Majcher zastrzegł, że „nie będzie to rewolucja, lecz ewolucja". Jak się zawładnęło radiem, to trzeba sobie nim porządzić. Co tam słuchacze! W razie czego się zamknie, to i tak nisza.

Wobec naporu krytyki zabrał głos pan dyrektor Piotr Kędziorek. Padło dużo słów: różnorodność, dialog (jakżeby inaczej, to najmodniejsze słowa w mediach) i obietnice szanowania słuchaczy.

„Nawet nie włączam" – napisała na profilu słuchaczka. I ja, coraz rzadziej. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sztuczna hipokryzja

Ostatnio doszły mnie ciekawe odgłosy z amerykańskiej kampanii na urząd prezydenta. Tak w ogóle to mało o tym słyszymy, tu w Polsce, choć wszyscy się zaklinają, że – znowu – mamy do czynienia z „najważniejszymi wyborami w historii". Należy domniemywać, że historii Polski także. No, jak się zastanowić i jeszcze do tego posłuchać kilku ekspertów, to mają się w wyniku tych wyborów zadecydować rzeczy dla świata kluczowe – przede wszystkim kwestia, czy obecnie pełzająca trzecia wojna światowa nie przejdzie w znane nam formy, zwane dziś po nowoczesnemu kinetycznymi.

A więc, aby dowiedzieć się, co w Stanach w tak ważnym aspekcie się dzieje, trzeba zaglądnąć tam do nich, by poznać prawdziwe tematy tej kampanii. Ale Amerykanie są równie skonfundowani płynną tematyką prezydenckiego starcia i często zwracają się do… sztucznej inteligencji, by ta wytłumaczyła im – jak mówi się z angielska – o co kaman. Nie bardzo wiadomo skąd, ale utrwalił się powszechny pogląd, że ta inteligencja sztuczna inna jest od tej naturalnej głównie dlatego, że ma być ponoć obiektywna. I tu trafiliśmy na ciekawy trop.

Otóż jeśli się zapytać AI w Stanach o poglądy kandydata Trumpa, to sztuczna inteligencja grzecznie odpowie, że opiniami politycznymi się nie zajmuje, jest to kwestia indywidualnej oceny i nic od niej na temat kandydata nie usłyszymy. Za to jeśli o to samo zapytamy ją w przypadku poglądów pani Kamali Harris, to sztuczna inteligencja wyliczy nam wszystkie jej, rzecz jasna nowoczesne, zalety, aborcję pochwali, pomaluje swą wypowiedź w pozytywną tęczę i doprawi ekologiczno-imigranckim sosem.

Czyli jak to jest? Czyżby sztuczna inteligencja wyprodukowała jak najbardziej naturalną hipokryzję? No bo przecież nie można dopuścić do siebie myśli, że tą sztuczną inteligencją ktoś steruje, że wpiera jej raz, że ma nie mieć poglądów, a drugi raz na ten sam temat poglądy ma posiadać, i to nawet zaprzeczające swym poprzednim. Pogląd, że AI się uczy z Internetu tego, o czym ludzie rozprawiają, i nie ma wcale inteligentnego podejścia, tylko wyciąga „średnią" wiedzy i ją kompiluje – tu się akurat nie ostaje. Sztuczna inteligencja ma swoje poglądy. Tylko czy to są jej poglądy czy raczej są to wgrane formułki z pozorami (sztucznej) autentyczności?

Kiedyś na takim wykroku złapał AI Mariusz Jagóra – pytał ją o kwestie klimatyczne, ta kręciła, recytując zielono-czerwone formułki, ale gdy ją docisnął o dane statystyczne, to się poddała i sama zdemaskowała swe ideologiczne tezy. Może teraz nie pytać jej o poglądy kandydatów, tylko o prawdopodobieństwo wygranej któregoś z nich? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Gra wywiadów w zielone

Wracam do wypowiedzi dr. Grzegorza Chociana w Polsacie, gdzie przyznał, że służby niemieckie chciały go zwerbować, że odmówił i zgłosił to ABW. Rozmowa dotyczyła powodzi i wpływu organizacji ekologicznych na blokowanie inwestycji hydrotechnicznych.

Kilka miesięcy temu pisałem o roli „walczącej o klimat" fundacji Frank Bold w zablokowaniu wydobycia węgla przez kopalnię Turów. Wśród partnerów fundacji jest organizacja European Climate Initiative, która jest instrumentem finansowym Ministerstwa Gospodarki RFN. Jak widać, Niemcy wprost przyznają się do finansowania blokady wydobycia węgla w Polsce.

Doktor Chocian w jednym z wywiadów opisał, jak na etapie procesu administracyjnego przygotowania strategicznych inwestycji wprowadzano błędne informacje, co blokowało wydawanie zezwoleń lub znacznie opóźniało budowy. Przykładem jest próba zablokowania przez ekologów (m.in. z WWF) budowy zbiornika na Wiśle w Siarzewie.

Wymuszone przepisami unijnymi dopuszczenie do procesów decyzyjnych ekologicznych organizacji pozarządowych jest przykładem, jak można oddziaływać na opinię publiczną, by dezorganizować rozwój konkurencyjnej gospodarki. Na etapie decyzji środowiskowej wszelkiej maści fundacje ekologiczne i stowarzyszenia mają prawo opiniowania wniosków i zgłaszania uwag, mogąc skutecznie torpedować każde przedsięwzięcie. W przypadku posługiwania się błędnymi ekspertyzami i raportami organizacje te nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Konsekwencją są nie tylko zalane i zrujnowane wskutek powodzi całe regiony, lecz także wydłużanie, nieraz nawet o 10 lat, budowy ważnych strategicznych i energetycznych inwestycji.

Ten paraliż miała zmienić opracowana cyfrowa mapa waloryzacji przyrodniczej Polski, określająca wartość przyrodniczą poszczególnych miejsc. Miałaby rangę dokumentu państwowego i byłaby wiążąca dla wszelkich inwestycji. Niestety, minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska kilka dni temu zablokowała ten projekt.

Jednak nie tylko o gospodarkę chodzi. Organizacje ekologiczne instrumentami Natura 2000 zablokowały w Białymstoku budowę lotniska, inwestycji kluczowej dla bezpieczeństwa państwa. Innym skandalem jest przyjęcie za rządów PiS wymogu zapisanego w ustawie UUOŚ (art. 47A) przeprowadzenia strategicznej oceny oddziaływania na środowisko, nawet jeśli są to inwestycje dotyczące obrony narodowej czy obrony cywilnej. Sam dostęp szemranych ekologów do takich planów jest skrajną nieodpowiedzialnością. To igranie z bezpieczeństwem Polski. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Szymon Androniusz

Przy powodzi na powierzchnię wypływają mózgi. Stop. Zdumiewający mózg Marka Beylina wypłynął w komentarzu zamieszczonym przez niego w „Gazecie Wyborczej". Stop. Napisać raczył: „Forsowane w wypowiedziach PiS przekonanie, że gdyby Tusk szybciej alarmował, skutki powodzi byłyby znacznie mniej dotkliwe, jest wyłącznie propagandową fantazją". Stop. Beylin napisał rzecz tak kapuścianą, że trudno uwierzyć: alarmowanie o nadciągającej powodzi w zasadzie nie ma sensu – i już. To, że dzięki alarmom ludzie oczywiście mogą ocalić życie i dobytek, zanim nadejdzie woda, dla Beylina jest „propagandową fantazją". Stop. Dzięki powodzi obejrzeliśmy więc mózg pana B. i – delikatnie mówiąc – nie jest jakoś nadzwyczaj pomarszczony. Stop.

Internauci wypominają Izabeli Leszczynie czarodziejską różdżkę, którą lubi się posługiwać, ale jej nie idzie. Stop. W roku 2022 w wywiadzie dla red. Rymanowskiego dzisiejsza minister zdrowia obiecywała, że problemy znikną, kiedy jej ugrupowanie przejmie władzę, „jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki" – tak magicznej użyła frazy. Stop. W roku 2024, kiedy jej ugrupowanie przejęło władzę, w innej stacji radiowej rzekła: „Nie da się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić wszystkiego od razu". Stop. Pani Izo, ja tam nie wiem, co pani dłońmi ściska, ale ta różdżka nie jest czarodziejska…

No i naszemu Szymonowi szołmenowi Hołowni też wypomnieli wypowiedź z roku 2022. Stop. Żebrząc wówczas o głosy, andronił Szymon, ile płuc pęcherze zezwalały. Stop. „Każdy z was będzie miał lekarza odpowiedzialnego, w którego interesie będzie dzwonić do was i sprawdzać, czy jesteście zdrowi, a nie że wy będziecie dzwonić do niego i opowiadać mu, że wy jesteście chorzy. To on będzie dzwonił, zlecał wam badania profilaktyczne, to jego zadaniem będzie umówienie wizyty u specjalisty". Stop. I rzeczywiście, jak donoszą media, po dojściu Szymona Androniusza do władzy przedstawiciele służby zdrowia dzwonią do pacjentów, ale z nieco innym przekazem: odwołują zabiegi, bo NFZ nie ma pieniędzy na mnóstwo zaplanowanych operacji, a o tym, czy każdy z nas ma zgodnie z obietnicą pana od talentów lekarza odpowiedzialnego, to ja nawet nie będę tu wargi strzępić…

Prokuratura oskarżyła byłego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego o ujawnienie danych wrażliwych bardzo, a mianowicie tego, że pewien lekarz sam sobie przepisał konkretne leki. Stop. Niedzielskiemu grozi do trzech lat więzienia. Stop. Prawdopodobnie prokuratura ujawniła prorządowemu dziennikarzowi dane wrażliwe dotyczące stanu zdrowia Zbigniewa Ziobry, które dziennikarz ujawnił. Stop. Myślę, że prokuratorowi, który to zrobił, grożą premia i awans. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Comrade Kamala

Z bardzo palącym problemem mierzyć się muszą działacze amerykańskiej Partii Demokratycznej. Kandydatka tej partii w wyborach prezydenckich, Kamala Harris, w szybkim tempie traci poparcie wyborców pochodzenia latynoskiego. Jeszcze niedawno była to grupa społeczna zdecydowanie sprzyjająca demokratom, w wyborach roku 2020 aż 44 proc. Latynosów poparło Joe Bidena; zwolenników Trumpa było w tej grupie tylko 16 proc. Dlaczego Latynosi zmieniają swoje sympatie polityczne?

Jak twierdzi portal BBC, winne temu są memy internetowe i tzw. fake news oskarżające Kamalę o sympatie komunistyczne. Tego rodzaju oskarżenia padają wśród Latynosów na niezwykle podatny grunt – wielu z nich pochodzi z Wenezueli lub Kuby i poznało komunistyczne „dobrodziejstwa" z pierwszej ręki. Inni korzystają w tej mierze z relacji mieszkających w komunistycznych rajach krewniaków. Nauka nie poszła w las i marksistowska ideologia nie cieszy się wśród Latynosów żadną sympatią.

O komunistyczne poglądy oskarżył Kamalę Harris sam Donald Trump w trakcie ich debaty telewizyjnej. Nazwał on swoją rywalkę marksistką, zapowiadając, że USA za jej rządów stać się mogą „Wenezuelą na sterydach". Wspomniał też o komunistycznych ciągotkach ojca kandydatki, wykładowcy akademickiego Donalda J. Harrisa. Połowa publikacji pochodzącego z Jamajki profesora ekonomii poświęcona jest marksistowskim teoriom gospodarczym, a nawet „The Economist" nazwał go „walczącym ekonomistą marksistowskim". Już w roku 1974 wydawany przez studentów Uniwersytetu Stanford biuletyn zachwalał młodego wykładowcę jako „radykalnego politycznie ekonomistę" i „ekonomicznego marksistę". Wiadomości te aż 50 lat czekać musiały na zdemaskowanie jako fake news. Jak zapewnia nas BBC, Partia Demokratyczna nie ma dziś z komunizmem nic wspólnego. Co prawda, jej czołowi działacze, tacy jak Bernie Sanders i Alexandria Ocasio-Cortez, sami określają się jako „demokratyczni socjaliści", ale – jak zapewniają nas media – o niczym to nie świadczy.

Zarzucanie politykom sympatii komunistycznych uważa BBC, rutynowo demaskująca „faszystów" gdziekolwiek się da, za skandaliczną manipulację. Plany regulowania cen żywności i upublicznienia służby zdrowia okazują się w ustach Kamali Harris wyrazem wrażliwości społecznej. Wygląda na to, że 36 mln latynoskich wyborców w USA ma na ten temat swoje zdanie, bardziej wierząc świadectwu zmysłów niż zapewnieniom dziennikarzy. Ktoś, kto doświadczył komunizmu na własnej skórze, bywa wobec dziennikarskich pouczeń zasadnie nieufny. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Cisza jak tamta

Wieczór, wiosna, lato, Tusk, powódź, Kaczyński, manifestacja, wybory w Ameryce, poniedziałek, wtorek, kwiat jabłoni, południe, nowy kanał na YouTube, audiobook, Netflix, Spotify, TikTok, kursy i poradniki on-line. Środa, czwartek, Duda. Podcast, program, muzyka. Sanah. Rozmowa, krzyk, śpiew, sobota, niedziela. Jesień, zimna, poranek.

W każdej chwili, wszędzie. Dźwięk. Słuch stał się najważniejszym ze zmysłów w cywilizacji, która tylko przez pomyłkę nazywana jest obrazkową. Bo to wcale nie obrazy nami rządzą, to nie one panują nad światem, nie one są władcami zniewolonych umysłów. Ich miejsce zajęły dźwięki. Wszechobecne, przyjemne i groźne, dobre i złe, złowieszcze i relaksujące.

Budzik, dźwięk. Do śniadania telewizor, radio, YouTube czy Spotify, dźwięk. W samochodzie muzyka, może wiadomości, dźwięk. W pracy small talki, dźwięki, spotkania, dźwięki, przy laptopie w tle muzyczka relaksacyjna, dźwięki, choćby puszczony z telefonu odgłos deszczu obijającego dach, o proszę, jestem trzyipółmilionowym odbiorcą tego filmiku. Po pracy, za kółkiem czy na rowerze, w tramwaju czy autobusie – słuchawki w uszach, dźwięk. Wchodzę do domu, jeszcze nie wiem, co sobie puścić, włączę telewizor, nie, nie oglądam, synku, tak puszczam, żeby coś grało. Na joggingu i siłowni, słuchawki. Boże, dzięki ci za Bluetooth, przecież z tymi kablami bym sobie nie posłuchał, posłuchała, posłuchało. Z psem na spacer, słuchawki, dźwięk. Nawet w lesie, podczas samotnej wędrówki. Muzyka, podcast, wywiad, podsumowanie dnia. Potem kocyk, Netflix and chill. Zasnąć, słuchając, spać, słysząc.

Ponoć do tej pory oczy bywały zwierciadłem duszy, ale pozostaną nim wyłącznie do momentu, w którym ludzkość zacznie potrafić przeglądać się w uszach drugiego człowieka. Powiedz mi, czego słuchasz, a powiem ci, kim jesteś! Konto Google już to potrafi, za chwilę będziemy potrafić i my, założymy sobie tylko jakieś gogle albo lepiej, po prostu słuchawki, one zeskanują, sczytają, podsumują drugiego.

Widziałem ludzi żyjących ciszą w środku XXI-wiecznej Europy. Wiedzących, czym są miłość, prawda, dobro i piękno, ale nierozmawiających. Rozmawiają wyłącznie ze swoim Panem

Ale świat jest większy niż jedno pokolenie czy tylko kilka ostatnich pokoleń. To dlatego w najróżniejszych kulturach o ciszy i o milczeniu powstało tak wiele złotych myśli. W Polsce wiemy, że choć mowa jest srebrem, to milczenie złotem. W Rosji wiedzą, bo powiedział im to Tołstoj, że nie ma wielkości tam, gdzie nie ma prostoty, dobra i prawdy, a prawdziwą prawdę odkrywamy w ciszy. W Anglii i na Starym Kontynencie od Thomasa Carlyle'a wszyscy wiedzą, że cisza to wielki żywioł, w którym rodzą się rzeczy największe. Konfucjusz powiedział Chińczykom, że cisza to prawdziwy przyjaciel, który nigdy nie zdradza, a równie dawno temu Lao-cy wskazywał w tym samym miejscu świata, że cisza jest źródłem największej siły. Mnisi z Tybetu wierzą, że milczenie jest kluczem do szczęścia, hindusi – że cisza to lekarstwo na największą liczbę problemów. Gdy nie ma się czego powiedzieć w towarzystwie, ale pytają, dlaczego milczysz, wielu ludzi z całego świata po zaliczeniu przyspieszonego internetowego kursu odzyskiwania pewności siebie odpowiada błyskotliwie za którymś z Amerykanów, że lepiej jest milczeć i wydawać się głupcem niż odezwać się i rozwiać wszelkie wątpliwości. Libański pisarz Khalil Gibran napisał kiedyś, że cisza jest morzem, w którym zanurza się mądrość.

Ładne, co? Ale dawno i nieprawda, chciałoby się rzec. Ale ja tak nie powiem. Ja bowiem widziałem ludzi żyjących ciszą w środku XXI-wiecznej Europy. Wiedzących, czym są miłość, prawda, dobro i piękno, ale nierozmawiających. Rozmawiają wyłącznie ze swoim Panem. Tak, otóż mają Pana. Jezusa Chrystusa, przysięgli mu ciszę. Inni, którzy mimo współczesnej kakofonii jeszcze w niego wierzą, uważają go za swojego przyjaciela, kolegę, osobistego zbawiciela, mistrza, nauczyciela. A tamci, żyjący w milczeniu, nie mają wątpliwości, że jest Panem. Sam, każdego dnia, przypomina im o tym w ciszy, w której żyją od lat i której częścią będą do końca.

Byłem u nich tydzień temu. U kamedułów. Kilka godzin. Nie miałem od tego czasu w uszach słuchawek. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

GRA W KARTY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wybory dopiero 5 listopada, ale głosowanie już się rozpoczęło. Każdy stan jest jak osobne państwo i ma własne przepisy podatkowe, karne oraz te dotyczące głosowania. W niektórych istnieją wybory korespondencyjne, w innych lokale wyborcze i maszyny do głosowania zaczynają działać na długo przed oficjalnym dniem wyborów. Uzasadnienia dla tego typu rozwiązań są przeróżne i mało interesujące. Demokraci wprowadzali je po kawałku od lat, bo to zawsze działa na ich korzyść, a nigdy na korzyść republikanów. Republikanie walczą o głosy wyborców, demokraci walczą o KARTY do głosowania. Pozornie to samo, w praktyce zupełnie co innego – nieważne, ile osób na ciebie głosowało, ważne, ile wypełnionych kart udało ci się zebrać. Czują państwo różnicę?

***

Przy wyborach korespondencyjnych da się łatwo oszukiwać na kilku poziomach. Po kolei:

Trzeba wydrukować o wiele więcej kart do głosowania i muszą być one powszechnie i łatwo dostępne na długo przed dniem wyborów. Demokraci zbierają karty, a nie głosy! Im więcej kart wydrukowano, tym łatwiej produkować ważne głosy. W Kalifornii karty rozsyła się pod każdy istniejący adres; jeżeli masz kilka adresów, to dostaniesz kilka kart do głosowania. Prawo mówi, że wolno ci wypełnić tylko jedną, ale skoro to są karty anonimowe, a wybory są tajne, to… nie ma dobrego sposobu na sprawdzenie, czy ktoś nie wypełnił kilku kart w kilku różnych okręgach wyborczych.

Nie wszyscy obywatele mieszkają pod własnym adresem – ktoś przebywa w szpitalu, student w akademiku, starcy w domach opieki… Trzeba więc rozesłać wolontariuszy, którzy zaniosą karty do głosowania gdzie trzeba i pomogą je wypełnić. Wolontariusze pochodzą jakoś zawsze z Partii Demokratycznej, bo republikanie mają zwyczaj głosować osobiście w dniu wyborów, a nie korespondencyjnie. Wolontariusze są zaopatrzeni w nadmiar kart, pomagają je wypełnić, a potem podejmują się zanieść do punktu wyborczego lub wysłać. Znajdowano całe paczki kart z głosami na Trumpa wywalonych do rowu, do śmietnika, zalanych wodą. Znajdowano też masę głosów nieważnych – wolontariusz widział, na kogo głosujesz, karty nie zniszczył, ale dopisał kilka krzyżyków tu i tam innym kolorem długopisu i potem przy liczeniu głosów okazuje się, że jakiś biedny staruszek zagłosował omyłkowo jednocześnie na Trumpa i na Kamalę, więc ten głos trzeba będzie uznać za nieważny. Gdy wolontariusz pomaga wypełniać, wówczas wolontariusz wie, na kogo głosował dany pacjent domu opieki. Akcję zbierania i odnoszenia we właściwe miejsce wypełnionych kart określa się terminem „ballot harvesting", „wyborcze żniwa"; w jednych stanach jest to zakazane, w innych nie.

***

Głosowanie korespondencyjne ma jedną kolosalną wadę – łatwo ci odebrać lub ukraść głos. Karta przyszła pocztą, ktoś wyjmuje taką kartę ze skrzynki sąsiada, co nie jest trudne, bo skrzynki w USA najczęściej nie są zamykane, ktoś ją wyjmuje, wypełnia, wysyła, a potem ty idziesz do lokalu wyborczego w dniu wyborów, podajesz swoje nazwisko, a urzędnik ci mówi: „Pan już głosował". Nie głosowałem! Ależ owszem, mamy odhaczone, że zagłosował pan korespondencyjnie… Nie ma sposobu, byś się z nimi skutecznie wykłócił. Nie ma też żadnego praktycznego sposobu na sprawdzenie, czy rzeczywiście głosowałeś czy nie – karty są tajne, trafiły do jakiejś urny i nikt nigdy żadnym sposobem nie jest w stanie znaleźć tej rzekomo twojej karty, którą za ciebie wypełnił sąsiad aktywista. Straciłeś głos w wyborach; ktoś ci go ukradł.

***

Sztab wyborczy Trumpa mocno zachęca, by tym razem głosować przed terminem, najszybciej jak się tylko da. Normalnie republikanie tego nie robią, ale to nie oni wymyślili zasady gry i zanim nie zostaną przywrócone normalne państwo i normalny system, że wybory odbywają się wyłącznie w jednym dniu, wyłącznie osobiście i wyłącznie w lokalu wyborczym, zanim to się nie stanie, trzeba grać według tych zasad, które aktualnie obowiązują. Jeżeli więc nie chcesz stracić swojego głosu, to zagłosuj szybko. Im szybciej, tym mniejsza szansa, że ktoś twój głos ukradnie.

Żadna gwarancja, bo te głosy kopertowe gdzieś będą leżały i czekały na ich policzenie. Koperty powinny być składowane w bezpiecznym miejscu, otwarte i policzone dopiero 5 listopada. Ale kto ich teraz pilnuje? Nie trzeba otwierać kopert, aby wiedzieć, co jest w środku. Wystarczy mieć dobre statystyki poprzednich wyborów, aby wiedzieć, że w danej gminie wygra republikanin, a w innej demokrata. Tak samo jak u nas – wiadomo, jak głosuje Podkarpacie, a jak Warszawka. Można więc po prostu doprowadzić do zaginięcia całej paczki nieotwartych kopert pochodzących z okolicy, gdzie wygrywa Trump, i zostawić tylko paczki pochodzące z okręgów, gdzie przewagę ma lewica. Można też przy wyborach korespondencyjnych zabrać kilka paczek z okręgu, gdzie demokraci mają ogromną przewagę, i przewieźć te koperty do okręgu, gdzie jest zazwyczaj fifty-fifty, i nagle okaże się, że zawsze było fifty-fifty, ale tym razem w wyborach korespondencyjnych w republikańskim okręgu wygrali demokraci.

Kłopot z wyborami, również w Polsce, polega na tym, że organizacją wyborów zajmuje się urzędująca władza. Czyli opozycja ma pod górę.

***

Wybory, które ciągną się przez kilkadziesiąt dni przed dniem wyborów, powodują też, że traci sens kampania wyborcza. Kamala chciałaby drugiej debaty z Trumpem, ale przecież już wiele głosów oddano przed terminem. I co w sytuacji, gdy ktoś w wyniku takiej debaty zmieni zdanie, a już zagłosował? A co w sytuacji, gdy ktoś głosował, a potem umarł przed datą wyborów? Korespondencyjne głosy nieboszczyków będą nadal ważne; nie ma żadnego praktycznego sposobu na ich odrzucenie.

Tak jest w USA i tak miało być w Polsce. ©℗

eprasa.pl 15389caf8e

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL: „SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ. POLSKIE DZIECI W RĘKACH NAZISTÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~869~~ ZŁ

401,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 15389caf8e

InsERT
programy dla firm

Zostań PRO!

i dołącz do zadowolonych użytkowników
InsERT nexo PRO

insert.com.pl

eprasa.pl 15389caf8e